

# Izabela Szylko

## Madonna z hiacyntem

Przedsiębiorstwo Wydawnicze Rzeczpospolita S.A. 2007

### ROZDZIAŁ 1

Mężczyzna w zielonej marynarce, który pojawił się właśnie u wylotu ulicy Wiktorii Wiedeńskiej, nie powinien był znaleźć się w tej okolicy.

Ulica Wiktorii Wiedeńskiej nie była główną ulicą miasta. Nie jeździły nią autobusy ani tramwaje, nie mieściły się tu żadne urzędy. Ta niewielka osiedlowa uliczka starała się jednak dzielnie sprostać wymaganiom narzuconym rangą wydarzenia, od którego wzięła swą nazwę.

Mężczyzna, od dłuższej chwili obserwujący tutejsze rezydencje mniej lub bardziej nawiązujące stylem do pobliskiego królewskiego pałacu, źle się komponował w tym krajobrazie. Jego wygląd nie wzbudzał zaufania. Miał długie włosy spięte na karku gumką, przez co kolczyk w uchu szczególnie rzucał się w oczy. Zielona marynarka była mocno wypłowiała, a czarne dżinsowe spodnie zgodnie z aktualną modą wytarte na kolanach. Gdyby był trzydzieści lat młodszy, taki strój pewnie nikogo by nie dziwił, ale siwizna i głębokie zmarszczki na czole wyraźnie świadczyły o wieku, w którym mógłby być dziadkiem, zobowiązywały więc do bardziej szacownego wyglądu. Tylko porządne zamszowe buty, dobrane do koloru marynarki, czarny golf z szetlandzkiej wełny i zapach dobrej wody kolońskiej mogłyby uważnemu obserwatorowi nasunąć podejrzenie, że Józef nie pojawił się tutaj w celu domokrażnej sprzedaży długopisów, lecz w zupełnie innej sprawie. Na ulicy nie było jednak uważnych obserwatorów.

Kiedy więc Józef zatrzymał się przed jedną z willi i zaczął przyglądać się jej z zainteresowaniem, jego zachowanie wywołało naturalną reakcję sił specjalnie do tego celu powołanych. Zza domu wyłonił się barczysty facet w czarnym garniturze i ciemnych okularach. Nie zadając sobie nawet trudu, by dopiąć marynarkę, spod której wyglądała kabura pistoletu, podszedł do ogrodzenia.

- E! Widzę pana. Tu się nie wolno zatrzymywać. Proszę stąd odejść.

Na Józefie słowa mężczyzny nie zrobiły wrażenia. Stał dalej i przyglądał się willi z jeszcze większą ciekawością.

- Proszę stąd odejść - powtórzył już ostrzej ochroniarz.

Józef, ociągając się, ruszył z miejsca. Zanim jednak ochroniarz zdążył ucieszyć się, że jego polecenie tak sprawnie zostało wykonane, Józef podszedł do furtki i nacisnął dzwonek. Tego już było za wiele. Ochroniarz popędził w jego kierunku, kładąc dłoń na kaburze pistoletu, lecz czekało go kolejne zaskoczenie. Usłyszał brzęczyk domofonu, furtka odskoczyła i podejrzany jego zdaniem obiekt został wpuszczony na teren posesji. Ochroniarz zatrzymał się, nie wiedząc, co robić. W tym momencie komórka w jego kieszeni zaczęła wygrywać motyw z serialu *07 zgłoś się*. Już sam dźwięk melodyjki spowodował, że mężczyzna w ciemnych okularach wyprężył się, niemal stając na baczność. Lewą ręką wyciągnął telefon, prawą na wszelki wypadek trzymał wciąż na pistolecie.

- Tak... tak! Oczywiście! Tak jest!

Nie było wątpliwości, że tym razem zawodowa przenikliwość go zawiodła. Ochroniarz wsunął telefon do kieszeni, pilnując, by prawa ręka zsunęła się z kabury pistoletu w możliwie naturalny sposób. Uwolnioną ręką wykonał zachęcający gest w kierunku Józefa, starając się jednocześnie przybrać przyjazny wyraz twarzy, co jednak przychodziło mu z dużym wysiłkiem. Żeby ukryć zmieszanie, podbiegł szybko do willi i usłużnym gestem otworzył drzwi.

- Dzień dobry. Proszę bardzo, proszę do środka.

Józef podszedł do wejścia, nie śpiesząc się. Przystanął na wycieraczce i z przesadną starannością zaczął wycierać buty. Gdy zniknął wreszcie w głębi korytarza, ochroniarz odetchnął z ulgą, dopiął marynarkę i pewnym krokiem wszedł do domu, zamykając drzwi.

Józef nigdy wcześniej tu nie był. Na dworze zaczął już zapadać zmrok, ale w domu nie zapalono jeszcze świateł. Zdążył tylko ogarnąć wzrokiem grube, pluszowe kotary w oknach, kanapę i krzesła obite tą samą bordową tkaniną oraz stylowe ciemne meble, gdy ochroniarz wskazał mu drogę.

- Tędy proszę, do samego końca. Gabinet łatwo pan znajdzie. - Kiwnął dłonią w kierunku okazałych schodów wyłożonych mahoniowym drewnem.

Józef dotarł na drugie piętro trochę zdyszany. Były tam tylko jedne drzwi, lekko uchylone. Zatrzymał się na chwilę, żeby złapać oddech, i dyskretnie zerknął do środka. W gabinecie panował taki sam półmrok, jak w całym domu. Na wielkim biurku pełnym papierzysk paliła się jedynie zielona lampka dająca przyćmione światło. W jej ciepłe wylegiwał się czarny kot. Fotel za biurkiem był pusty. Józef pchnął drzwi i wszedł do środka.

## **ROZDZIAŁ 2**

Gabinet miał nietypowy, okrągły kształt. Stylizacja wnętrza przypominała zamkową wieżę. Ściany z jasno-czerwonej cegły nie zostały otynkowane, zamiast normalnego okna tuż pod wysokim sufitem umieszczono rząd małych, półokrągłych świetlików, zasłoniętych teraz pluszowymi kotarami. Ciężkie regały z egzotycznego ciemnego drewna, dopasowane do kształtów wieży, od góry do dołu wypełniały książki. Na środku pokoju stało wielkie biurko, za nim fotel, obok drugi, taki sam, i mały stolik. Niektóre regały miały masywne drzwiczki zamykane na klucz. Właśnie przy jednym z takich, przypominających sejf mebli stał gospodarz domu, Stanisław Woliński. Był nienagannie ubrany w tweedowy garnitur, koszulę w niebieskie paski i czerwony krawat. Mógł mieć pięćdziesiąt kilka lat, ale bujne, ciemne włosy nie przyprószone siwizną sprawiały, że mimo potężnej tuszy wyglądał dużo młodziej. Na widok mężczyzny Józef uśmiechnął się.

- Musisz podszkolić ochronę - zauważył nie bez złośliwości.

- Złego licha nie weźmie. - Woliński nie przejął się ostrzeżeniem.

- Nie chodzi o bezpieczeństwo, tylko o maniery.

- Nie chce mi się. Musiałbym szkółkę założyć. Co tydzień przysyłają mi kogoś nowego.

A to chorobowe, a to redukcja zatrudnienia. Dzisiaj stacz mi przysługuje, jutro nie... Nie warto.

Woliński podszedł do stojącego wciąż przy wejściu Józefa.

- Witaj, kopę lat.

Mocno uścisnęli sobie ręce.

- Siadaj - Woliński wskazał ręką fotel obity ciemnozielonym pluszem - tu chyba będzie najwygodniej. Napijesz się czegoś?

- A co masz?

- Wszystko.

- No tak, obrosłeś w piórka. - Józef szerokim gestem dał do zrozumienia, że jest pod wrażeniem tego, co zobaczył, ale tym razem w jego głosie można było wyczuć raczej lekki szacunek niż drwinę. - Może być... Glenfiddich?

- Z wodą sodową?

- Nigdy.

Woliński otworzył kluczykiem jedną z szafek w gabinecie. Za rzeźbionymi drzwiczkami mieścił się spory barek, zastawiony po brzegi butelkami. Wyjął z niej whisky i rozlał do szklanek, napełniając je w jednej trzeciej.

- Glenfiddich! Osiemnastka! -mJózef nie krył zaskoczenia. - Rzeczywiście, masz wszystko.

- Mówiłem. - Woliński wzruszył ramionami.

- Ale lodu pewnie tu nie masz?

Woliński bez słowa otworzył sąsiednie drzwiczki, za którymi kryła się lodówka. Wrzucił do whisky kilka kostek lodu, podał Józefowi szklanekę, a sam usiadł za biurkiem.

- Od dawna jesteś w kraju?

- Już prawie pół roku.

- To chyba zostaniesz na stałe?

- Taki mam zamiar.

- I jak ci się tu teraz podoba? - Sądząc z ironii w głosie Wolińskiego, nie było to pytanie, tylko komentarz.

- Owszem, niczego - Józef nie zamierzał dać się sprowokować do narzekań.

- Głupi moment wybrałeś na powrót, wszyscy mówią, że lepiej już było.

To była, niestety, prawda. Józef zdał sobie sprawę, że od momentu swojego powrotu właściwie nie spotkał zadowolonej osoby. Po kilkunastu latach spędzonych za granicą zdążył już zapomnieć, że stan taki jest typowy dla mieszkańców kraju nad Wisłą, którzy na pytanie - jak leci? - odpowiadają zwykle - stara bida. Jednak takie słowa w ustach Wolińskiego, człowieka sukcesu, ministra sprawiedliwości, uświadomiły Józefowi, że przez te wszystkie lata niewiele się zmieniło.

- Ty chyba nie masz na co narzekać. - Józef jeszcze raz ogarnął pokój szerokim ruchem ręki, ale Woliński zbagatelizował ten gest.

- W tym kraju tylko ryby nie narzekają. Nawet nie wiesz, jak mam już dość tego syfu. Najchętniej właśnie teraz bym stąd wyjechał.

- Tak tylko mówisz. - Józef nie przejął się deklaracją kolegi. Od swego powrotu podobne słowa słyszał z wielu ust, nie pociągały one jednak za sobą istotnych działań.

- Naprawdę. Do jakiegoś ciepłego kraju, gdzie pomarańcze rosną, cytryna dojrzewa - Woliński niemal się rozmarzył - komórki nie działają. Z dala od tych wszystkich układzików. - Ostatnie zdanie wypowiedziane jednak zostało z taką zgryźliwością, że Józef westchnął.

- Chyba nie oczekujesz współczucia?

- Szkoda gadać. - Woliński machnął ręką. - Lepiej powiedz, co u ciebie? Jeszcze cię zniechęcę i ojczyzna znowu straci artystę.

- Bez obaw. - Józef ucieszył się ze zmiany tematu. - Nigdzie nie mam takiej wiernej publiki, jak tu. Nawet policja znalazła mnie od razu.

W tej właśnie chwili czarny kot, który do tej pory, jak się wydawało, drzemał w ciepłej lampy, prychnął nagle i zeskoczył z biurka na podłogę. Józef mógłby przysiąc, że stało się to dokładnie w momencie, kiedy wyrzekł słowo „policja”.

Przypomniało mu to pewne zdarzenie sprzed lat, gdy razem z Wolińskim chodzili jeszcze do liceum. Staszek miał wtedy w domu wyjątkowo pojętego, szarego dachowca, którego traktował zupełnie jak psa, uczył jeść na komendę, podawać łapę, miauczeć, mruzczeć lub syzczeć w zależności od podanego odpowiedniego hasła. Kiedyś, w dniu akademii z okazji rocznicy rewolucji październikowej, na którą dyrektor zaprosił specjalnych gości, Woliński przyszedł z tym kotem do szkoły. Schował go w auli, za czerwoną kotarą, do której przypięta była dekoracja ze złocistym sierpem i młotem. Normalnie do występów w takich imprezach ochotników trzeba było wyznaczać siłą, ale tym razem Woliński sam zgłosił się do recytacji. I kiedy, stojąc przed obliczem kilku niezwykle ważnych, urzędowych łysiejących głów, wygłosił kwestię „mówimy partia, a w domyśle Lenin”, zza kotary dobiegło przeraźliwe miauczenie kota. Po chwili konsternacji w kierunku tego niespodziewanego, a donośnego głosu ruszyła spontaniczna obława. Przerazone zwierzę błyskawicznie zaczęło wspinać się po kurtynie, jednak w połowie drogi zostało powstrzymane nagłym szarpnięciem. Jak się okazało, kot przywiązany był do kaloryfera kawałkiem sznurka. Wiedziony instynktem samozachowawczym wczepił się pazurami w kurtynę, spektakularnie ściągając ją na ziemię i przysparzając zgromadzonej gawiedzi radosnego widowiska w postaci upadającego sierpa i młota. Kot został w końcu odwiązany od kaloryfera. Gdy tylko udało się mu wydostać spod fałd kotary, czmychnął tak szybko, jak mógł, i tyle go wszyscy widzieli. Śledztwo w sprawie odnalezienia sprawcy całego zamieszania nic nie dało. Po tym wydarzeniu dyrektor przestał być dyrektorem, a kot został wysłany na przymusowe wakacje do rodziny na wieś.

Józef, przypomniawszy sobie tę historię, zerknął na swego kolegę nieufnie, ale jego zachowanie było zupełnie naturalne. Woliński wstał właśnie, wskazując na pustą szklankę.

- Jeszcze raz to samo? - wyglądało, że temat policji wcale go nie zainteresował.

Józef kiwnął głową. Woliński wziął od niego szklankę, podszedł do barku i nalał od razu podwójną porcję.

- A czego oni znowu od ciebie chcą, po tylu latach? - Postawił szklankę na skraju stolika i popchnął ją palcem w kierunku Józefa, starając się sprawiać wrażenie, że pyta tylko z ciekawości.

- Cóż, mam wiele przydatnych talentów.

### ROZDZIAŁ 3

Zamyślił się lekko. Jednym z jego talentów, czy też może darów, były zdarzające się czasem chwile niezwyklej jasności umysłu. Józef pamiętał doskonale, kiedy taki stan ducha przydarzył mu się pierwszy raz.

Wprowadził się właśnie do jednego z tych wieżowców mrówkowców, z długimi hotelowymi korytarzami, gdzie ludzie rzadko znają się nawet z widzenia. W takim miejscu jedynie w windzie można sąsiadowi popatrzeć w oczy, jeżeli oczywiście komukolwiek by na tym zależało. Józefowi akurat zależało. Pracował nad cyklem obrazów *Maski wielkiego miasta* i wszystkie okoliczne twarze kolekcjonował w swej pamięci z zawodową starannością. Mieszkał na ostatnim, piętnastym piętrze, toteż podróże windą stanowiły dla niego szczególnie cenną okazję do obserwacji. Zapamiętał zwłaszcza pewną niemłodą już kobietę, jak się okazało, jego najbliższą sąsiadkę. Jej twarz byłaby zupełnie przeciętna, gdyby nie wypisane na niej cierpienie. Cierpienie to, o dziwo, nie poszarzało jej twarzy, tylko dodawało blasku. Tak było, gdy jeździła windą sama. Czasami był z nią mężczyzna, chyba mąż, i wtedy na jej twarzy pojawiała się pogarda i nienawiść. Zza drzwi sąsiadów codziennie dobiegały podniesione głosy. Pewnego dnia kłótnie ucichły. Kobieta zaczęła jeździć windą sama. Gdy jechała na dół, zawsze miała ze sobą jakiś pakunek w reklamówce, na górę wracała z pustymi rękami. Jej twarz nie nosiła już śladów cierpienia, ale też straciła cały wewnętrzny blask. W końcu stała się tak przezroczysta, że niemal znikła. Dlatego to, co się stało, zupełnie Józefa nie zaskoczyło. Pewnego dnia kobieta przestała jeździć windą.

Niedługo potem do drzwi Józefa zapukał człowiek o smutnej twarzy, który na pewno nie należał do malarskiej kolekcji mieszkańców tego domu. Mężczyzna pokazał Józefowi fotografię kobiety i mężczyzny i spytał, czy nie wie przypadkiem, gdzie można tych ludzi znaleźć. Józef, zanim jeszcze wziął zdjęcie do ręki, wiedział, że chodzi o jego sąsiadów. I w tej właśnie chwili doznał olśnienia. Wszystko stało się logiczne i proste. To, co widział i słyszał, samo ułożyło się w logiczną całość. Oddał mężczyźnie zdjęcie, mówiąc z pewnością, która nawet jego samego zaskoczyła:

- To ona go zabiła. Pocięła ciało na kawałki i wyniosła w reklamówkach na śmietnik.

I gdyby na tym zakończył, jego oświadczenie dałoby się pewnie jakoś logicznie wytłumaczyć. Ale coś go podkusiło, żeby mówić dalej.

- Ona też nie żyje. Rzuciła się do Wisły. Czwarty filar mostu Poniatowskiego, północna strona.

Smutny kapitan, który pracując od lat w organach ścigania, naprawdę niejedno już widział i słyszał, patrzył na Józefa w osłupieniu.

Józefowi nigdy nie udało się dociec, skąd mu ten czwarty filar przyszedł do głowy. Może słyszał w radiu, że wyłowiono zwłoki? Może przeczytał notatkę w prasie? Samobójstwo można było dość łatwo wydedukować. Most Poniatowskiego najbliżej, więc też miało to jakieś uzasadnienie, z północnej strony ciekawszy widok, ale czwarty filar? A tam właśnie, na dnie Wisły, znaleziono ciało kobiety o przezroczystej twarzy, obciążone niczym kamieniem młyńskim plecakiem z książkami.

Dla milicji również stanowiło to problem nie do rozwiązania, gdyż niestety, wszystko, co powiedział Józef, okazało się prawdą. Kilka wielogodzinnych przesłuchań nie wniosło niczego nowego, bo Józef mógł powiedzieć tylko to, co już powiedział i żadne racjonalne uzasadnienie jego przeczuć nie wchodziło w grę. Nieplanowany kontakt z milicją miał jednak i swoje dobre strony. Kapitan z wydziału zabójstw, ten o smutnej twarzy, okazał się skądinąd bardzo miłym człowiekiem i do tego, podobnie jak Józef, lubił grać w szachy, słuchając chórow gregoriańskich. Było to przyzwyczajenie tak rzadkie, że zaowocowało nową i niecodzienną przyjaźnią.

- O tak! - z zamyślenia wyrwał go śmiech Wolińskiego. - Pamiętam nawet pewien artykuł w „Ekspresie”: „Jasnowidz z Powiśla pomaga rozwikłać mroczne tajemnice”.

Józef, niestety, też dobrze pamiętał ten artykuł. Był środek sezonu ogórkowego, a dziennikarka, która do niego przysłała, bardzo młoda i bardzo ładna, płakała, że nie ma czym zappełnić kolumny. Znany artysta, współpracujący z dzielną milicją obywatelską, idealnie by się do tego celu nadawał. Józef z uporem twierdził, że nawet jeśli jego udział w rozwikłaniu pewnej afery kryminalnej można było nazwać współpracą z milicją, to doszło do niej zupełnie niechcący i absolutnie siły nadprzyrodzone nie miały z tym nic wspólnego. W związku z powyższym nie ma o czym pisać i dziennikarka mogłaby wreszcie sobie pójść. Dziewczyna jednak nie skorzystała z propozycji, tylko chlipała bez przerwy, roztaczając apokaliptyczne wizje. Jak nie wyrobi normy, to jej szef nie puści na urlop, a jak teraz nie wyjedzie z narzeczonym, to całe jej życie uczuciowe może legnąć w gruzach. Tak wyrafinowany szantaż osiągnął w końcu skutek. Józef wymyślił na poczekaniu kilka mrozących krew w żyłach historii. Zgodził się na ich publikację pod jednym warunkiem - że jego nazwisko nie ukaże się drukiem. Wdzięczna dziennikarka warunek wprowadzić spełniła, ale zajęta ratowaniem życia uczuciowego szybko wyjechała na urlop. Nadgorliwa redakcja opatrzyła tekst rysunkiem Józefa i to akurat tym, który z plakatu do filmu Wajdy znała cała Polska, wszyscy zainteresowani mogli więc rozpoznać, o kogo chodzi. Reportaż okazał się przebojem sezonu ogórkowego. Przedrukowały go inne czasopisma, nic sobie nie robiąc z zakazu publikacji nazwiska.

Sława jasnowidza ciągnęła się za Józefem latami i na nic się zdało tłumaczenie, że został nim tylko z powodu dobroci serca, złośliwości losu i szczytu sezonu ogórkowego.

- Dziennikarze piszą różne bzdury. - Józef bez entuzjazmu podjął kolejną próbę walki z własnym mitem.

- Wiem, wiem - przerwał mu Woliński. - Ciągłe masz te swoje... - zawahał się, zastanawiając nad wyborem odpowiedniego słowa - zdolności? - dokończył, wbijając wzrok w podłogę.

- Czasami myślę jaśniej niż inni. Reszta to tylko... - trochę wyższy iloraz, chciał dokończyć Józef, ale tym razem darował sobie złośliwość - reszta to zwykła dedukcja.

- A wiesz - Woliński roześmiał się nerwowo - mam teraz taki kłopot. Może byś mi coś poradził?

- No, no? - Józef popatrzył na Wolińskiego z zaciekawionym wyrazem twarzy. Zawsze wyglądało to tak samo. Najpierw - ha, ha, tak naprawdę to ja w to nie wierzę, potem - bo wiesz, nigdy nie wiadomo, a w końcu - jestem bardzo ciekaw, co o tym sądzisz. Rola wyroczni delfickiej z czasem zaczęła mu się nawet podobać. - Ale wiesz, że nie daję żadnych gwarancji - dodał szybko, z trudem ukrywając rozbawienie.

- Muszę... - Woliński w skupieniu ważył słowa - muszę się pozbyć pewnej osoby.

Józef, widząc zaaferowanie na twarzy kolegi, nie potrafił dłużej zachować powagi.

- No wiesz, na polu jasnowidzenia może i mam pewne sukcesy, ale... do takiej roboty może by się lepiej nadał ktoś z Wołomina?

- Baaardzo śmieszne. - Do Wolińskiego dotarło wreszcie, że Józef bawi się jego kosztem. - Szybko przyswajasz realia.

Uwaga Józefa zrobiła jednak swoje. Minister rozluźnił się trochę i pociągnął ze szklanki duży łyk.

- No po prostu nie wiem, co zrobić. - Rozłożył bezradnie ręce. - Chciałbym wyrzucić z pracy pewną osobę.

- Nie nadaje się?

- Długo byłeś za granicą. - Woliński popatrzył na Józefa pobłażliwie. - Właśnie aż za bardzo się nadaje. Przychodzi do pracy, zanim ja się zdązę obudzić, wychodzi później niż sprzątaczkę. I żeby jej jeszcze za to płacił... Ale z różnych przyczyn ta osoba jest mi bardzo... niewygodna.

- Uhm - Józef przytaknął zdawkowo, bo jego uwagę zaprzętnęło właśnie coś innego. Czarny kot zaczął szarpać nogawki jego spodni, wyraźnie zamierzając wskoczyć mu na kolana. Józef delikatnie odepchnął zwierzę.



- No... po prostu jej nie lubię - Woliński wyznał w końcu szczerze.  
- Kodeks pracy chyba czegoś takiego nie przewiduje?  
- Niestety... Jeśli ją wyrzucę bez mocnego uzasadnienia, to może się zrobić szum i więcej na tym stracę niż zyskam.

- Jak poszukasz, na pewno coś znajdziesz. - Im bardziej stanowczo Józef odpychał kota, tym bardziej namolnie zwierzył mu się naprzykrzał.

- Nie tak łatwo. Ta osoba również nie lubi mnie.

- To może chciałaby odejść na własną prośbę?

- Nie żartuj. Według niej, to ja powinienem ustąpić. Ja wiem i rozumiem, że wszyscy mi obrabiają dupę, ale na boku. A ona to robi publicznie! I nazywa to jeszcze konstruktywną krytyką. Zupełnie, jakby nie miała instynktu samozachowawczego.

- Nie możesz czegoś wymyślić?

- Tak, i zaraz się na mnie rzucą. Te hieny z gazet tylko czekają na takie kąski. A do tego ona zna jakąś ważną redaktorkę z telewizji.

- Ty za to znasz prezesa.

- Nie wiem, czy zauważyłeś, ale od paru lat mamy więcej niż jedną telewizję.

- Zabierz go. - Cierpliwość Józefa do kota w końcu się wyczerpała.

Woliński popatrzył na Józefa z naganą. Gwizdnął raz, i kot natychmiast przestał interesować się Józefem, gwizdnął drugi - zwierzył odwrócił się z godnością, wskoczył na biurko i umościł się ponownie w ciepłe lampy.

- No więc jestem między młotem a kowadłem - Woliński spokojnie dokończył myśl, jakby incydent z kotem w ogóle nie miał miejsca.

- Masz może zdjęcie tej osoby?

- No tak, metoda dedukcyjna. - Woliński nie odmówił sobie złośliwości. - Powinienem mieć, z jakiejś konferencji.

Otworzył szufladę biurka, pogrzebał w niej trochę i po chwili wyciągnął fotografię młodej kobiety.

- O, jest.

Zaciekawiony Józef podszedł do biurka i wziął do ręki zdjęcie. Popatrzył na nie z uśmiechem i w tej sekundzie wyraz jego twarzy zmienił się. Gwałtownym ruchem odłożył fotografię na biurko. Nie patrząc na Wolińskiego, podszedł do lodówki, wyciągnął butelkę, nalał sobie whisky do szklanki i wypił jednym haustem.

Wziął głęboki oddech i usiadł w fotelu. Woliński nie spuszczał z niego wzroku.

- Znam tę dziewczynę.

- Naprawdę? - zaskoczenie Wolińskiego wydawało się szczere.

- A nawet jest mi bardzo bliska.

To była Małgorzata. Spośród tysięcy prokuratorów podległych ministrowi sprawiedliwości Woliński zapytał go właśnie o tę jedyną osobę, na której szczęściu mu naprawdę zależało. Do tego osobę, dla której - Józef walczył z tym, ale bezskutecznie - jedynym szczęściem była praca. Czuł, jak ogarnia go znany już dreszczyk podniecenia. To nie mógł być zbieg okoliczności. Wszystkie elementy układanki za bardzo do siebie pasowały. Wyrzucenie Małgorzaty z pracy to metoda drastyczna, ale widocznie tak musiało być. Józef wierzył w przeznaczenie.

- Nie wiedziałem. - Wyznanie Józefa wyraźnie Wolińskiego zakłopotало. - Możemy się umówić, że nie było rozmowy.

- Zaraz, zaraz. Nie tak łatwo.

- Tak w ogóle, zawodowo, to ja ją bardzo cenię, ale sam rozumiesz - Woliński uznał za wskazane usprawiedliwić się - przegina czasami. Nie mogę sobie pozwolić...

- Daj spokój - przerwał mu Józef. - Znam ją dobrze. Nie musisz mi nic tłumaczyć. Ja też mam do ciebie interes. Pamiętasz sprawę Jareckiego?

- A co to ma do rzeczy? - Nagła zmiana tematu zupełnie zbiła ministra z tropu.

- Może więcej, niż ci się wydaje.

- Głośny proces poszlakowy, dostał dwadzieścia pięć lat, oczywiście słyszałem.

- No właśnie. Zależy mi, żeby wyszedł.

- Chcesz uwolnić faceta, który, jeśli dobrze pamiętam, zamordował swoją kochankę? Dlaczego? - Jeśli w słowach Józefa była jakaś logika, to zupełnie nie trafiała Wolińskiemu do przekonania.

- Bo to nie on.

- No tak, jak zwykle wiesz wszystko lepiej.

- Jak bym wiedział wszystko, to bym cię nie musiał o nic prosić.

- A ile już odsiedział?

- Dziesięć lat.

- Trochę za mało na przedterminowe zwolnienie. - Minister pokręcił głową.

- Jest jeszcze prawo łaski.

- Musisz poczekać, aż zostanę prezydentem, co może chwilę potrwać.

Józef krzywym uśmiechem skwitował żart kolegi.

- A na razie możesz napisać wniosek. Podobno są już u ciebie wszystkie papiery.

- Skąd wiesz? - Woliński przypomniał sobie, że rzeczywiście papiery Jareckiego z prośbą o ulaskawienie już od dłuższego czasu leżą na jego biurku w ministerstwie w opasłej teczce z napisem „sprawy do załatwienia”.

- Sam się o to starałem i, mówiąc szczerze, specjalnie po to do ciebie przyszedłem. Pomóżesz mi?

- To ktoś z twojej rodziny? Dlaczego ci na tym tak zależy?

- Właściwie... to tobie powinno na tym zależeć.

W oczach Wolińskiego pojawiły się dwa wielkie znaki zapytania.

## ROZDZIAŁ 4

Pomieszczenie biurowe, w którym pracowała Małgorzata, nie wyróżniało się niczym spośród innych tego typu placówek w całym kraju. W prokuraturze, jak we wszystkich instytucjach budżetowych, kierowano się tą samą zadziwiającą logiką, w myśl której, jeśli już dali jakieś pieniądze, to trzeba natychmiast je wydać, bo jak nie, to zabiorą. Efekty tego pośpiechu w dysponowaniu państwową kasą były widoczne gołym okiem. W biurze stały ciągle stare szafy na dokumenty, z tak wypaczonymi drzwiami, że od dawna nie dawało się ich zamknąć na klucz, były wprowadzone komputery, ale drukarki, na przykład, uznano już za wyposażenie zbędne, za to w oknach błyszczały nowiutkie wertikale w okropnym buroszarym kolorze. Żaluzje, których zadaniem było chyba doprowadzenie do depresji każdego, kto by nawet przypadkiem znalazł się w tym pokoju, sprawiły jednak głęboko tajoną radość drugiemu współużytkownikowi tego pomieszczenia - Karolowi. Ich pojawienie się dostarczyło mu pretekstu, aby - pod pozorem słabego oświetlenia miejsca pracy - przesunąć swoje biurko pod samo okno, dokładnie naprzeciwko biurka Małgorzaty. Dzięki temu wybiegowi mógł nareszcie, ukryty bezpiecznie między ekranem komputera a rozłożystą palmą, bezkarnie gapić się na Małgorzatę i w czasie godzin pracy puszczać wodze fantazji. Przychodziło mu to tym łatwiej, że miał dużą wadę wzroku. Okulary z grubymi szklami były niewygodne i ciążyły mu na nosie, zdejmował je więc chętnie, gdy tylko mógł, i rozcierał nasadę nosa. Świat wokół niego stawał się wtedy przyjemnie miękki, Małgorzata jeszcze piękniejsza i dużo łatwiej było mu wyobrazić się w roli kogoś więcej niż tylko kolegi z pracy u jej boku. Na jakiegokolwiek działania zmierzające do realizacji tych marzeń, mimo codziennych, twardych postanowień, nie miał odwagi się zdobyć.

Małgorzata, choć zdawała sobie sprawę, że jest atrakcyjna, starała się ukryć ten fakt przed społeczeństwem. Sama myślała, że mogłaby coś osiągnąć tylko z powodu ładnej buzi,

budziła w niej odrazę. Nie stosowała makijażu, długie, gęste kasztanowe włosy zawsze spinała w kok, do pracy przychodziła wyłącznie w oficjalnych spódnicach za kolano i nigdy nie przynosiła wstydu instytucji, której powagę miała zaszczyt reprezentować. Skończyła trzydzieści pięć lat, ale zawsze, co w przypadku kobiet w tym wieku jest raczej dziwne, starała się sprawiać wrażenie znacznie starszej. W trakcie nielicznych i krótkotrwałych przerw w wykonywaniu swych obowiązków Małgorzata zauważyła oczywiście, że Karol rzuca na nią ukradkowe spojrzenia, ale ponieważ nic z nich nie wynikało, przestała na to zwracać uwagę.

Tego dnia, z samego rana, Karol po raz kolejny - a miał nadzieję, że ostatni - powziął mocne postanowienie, że tym razem już na pewno, ale to na pewno zaprosi Małgorzatę na kolację. Albo do teatru. Albo do kina, gdziekolwiek. Teraz albo nigdy. Zrobi to od niechcenia, żeby nie wyszło, że mu specjalnie zależy, ot, po prostu dostał okazyjnie bilety, szkoda, żeby się zmarnowały. I właśnie tego dnia Woliński musiał mu zrobić osobiste świństwo.

Na biurku stało grube, tekturowe pudło po bananach. Za biurkiem siedziała Małgorzata i z furią przerzucała dokumenty, od czasu do czasu wrzucając jakąś kartkę do pudła. Gdy skończyła z papierami, zaczęła opróżniać szuflady z długopisów i innych szpargałów. Karol obserwował ją z rozpaczą.

- Nie denerwuj się - zagaił nieśmiało.

Ta niewinna z pozoru uwaga sprawiła, że Małgorzata zaczęła pakować swoje rzeczy z jeszcze większą wściekłością.

- Pomóc ci?

Małgorzata nie uznała za wskazane potwierdzić ani zaprzeczyć. Wstała i otworzyła szafę.

- To ci pomogę... Kwiatki też?

To nie było rozsądne posunięcie. Małgorzata wprawdzie zwróciła wreszcie uwagę na Karola, ale bynajmniej nie w sposób, o jaki mu chodziło.

- Nie przypuszczałam, że ty też myślisz tylko o tym, żeby jak najszybciej się mnie stąd pozbyć - rzuciła zjadliwie.

- Ależ Małgorzato... - takie podejrzenie dopiekło Karolowi do żywego - przecież wiesz... wszyscy wiedzą, że stary jest... - Karol na wszelki wypadek rozejrzał się uważnie, od dawna podejrzewając, że w tej instytucji ściany mają uszy, i dokończył prawie szeptem - ...no wiesz, jaki jest.

- Chciałeś powiedzieć, że wszyscy wiedzą, że jest skurwysynem, ale nikt z tym nic nie zrobił - Małgorzata podniosła głos tak, że nawet bez podsłuchu słyhać ją było na końcu korytarza. - Ty wiesz, co on mi powiedział? - „Nie muszę podawać powodu pani odwołania, ale

powiem pani, tylko niech to zostanie między nami - jest pani za dobra". Rozumiesz? Za dobra. „Ale muszę napisać, że utraciłem do pani zaufanie”. Kutas złamany! Tak jakby trudno się było domyślić, że mnie wyrzuca, bo się boi o własny stołek.

- No coś ty, naprawdę chcesz zostać ministrem? - zażartował Karol, jednak odwołanie się w tym momencie do poczucia humoru Małgorzaty nie było najlepszym posunięciem.

- Tylko skończony dureń mógłby pomyśleć, że chciałabym być na miejscu Wolińskiego - wycedziła jadownicę. - Chodziło mi o głupi drobiazg: żeby nie rządził mną taki dupek jak on.

Karol ujrzał właśnie, jak perspektywa wspólnie spędzonego romantycznego wieczoru odpływa w siną dal. Stał przy oknie, ręce mu opadły. Wyglądał tak bezradnie, że Małgorzata, mimo własnego nieszczęścia niepozbowiona jednak ludzkich odruchów, dokończyła już bardziej pojednawczym tonem:

- Kwiatki też. Kaktus może zostać. I jeszcze czajnik.

Karol zdjął z parapetu dwie paprotki i ostrożnie włożył do pudła po bananach. Małgorzata w tym czasie zajrzała do szafy, wyjęła z niej ładny, brązowy żakiet i niedbale rzuciła na pudło, przygniatając kwiatki. Na widok żakietu Karol znów się ożywił.

- Bardzo ładnie w tym wyglądałaś w telewizji.

- To wszystko o dupę potłuc! - Słowa Karola nie złagodziły cierpienia, tylko rozeźliły Małgorzatę jeszcze bardziej. - Co z tego, jeśli nawet powiedzą w głównym wydaniu dziennika, że Woliński mnie wylał, bo się bał o własną, rozlazłą dupę...

- Tak to nigdy nie powiedzą - zauważył Karol przytomnie.

- ...kiedy to już absolutnie niczego nie zmieni.

Małgorzata znieruchomiała na chwilę, jakby w zadumie nad własnym losem, po czym szybko wróciła do rzeczywistości.

- Czajnik! Nie zapomnij o czajniku!

Karol posłusznie wyjął wtyczkę z kontaktu, resztką wody z czajnika podlał pozostawiony na parapecie kaktus, odłożył żakiet na bok, by nie uszkodzić paprotek, i upchnął czajnik w kartonowym pudle. Małgorzata stanęła w drzwiach i ogarnęła biuro smutnym spojrzeniem.

- To już wszystko. Pomożesz mi to zabrać?

- Jasne. - Karol chwycił za pudło gorliwie, mając nadzieję, że może nie wszystko jeszcze stracone.

Żółte cinquecento Małgorzaty stało na chodniku tuż przed wejściem do ministerstwa. Otwierając bagażnik, Małgorzata zauważyła, że jedno z okien na pierwszym piętrze jest otwarte i było to, jak jej się wydawało, okno w gabinecie Wolińskiego.

- Z wysokich stołków też się spada! - krzyknęła w tamtym kierunku. - Z większym hukiem!

Wiadomość, zdaje się, dotarła do adresata, bo okno szybko zostało zamknięte. Karol na wszelki wypadek ukrył twarz za pudłem z kwiatkami. To było słuszne posunięcie, bo rozuczwalona niespodziewanym sukcesem Małgorzata postanowiła kontynuować dzieło zemsty.

Tym razem jej ofiarą padł niewinny przechodzień, który obserwując wcześniejsze poczynania atrakcyjnej kobiety, zatrzymał się nieopatrznie na środku chodnika.

- A pana co tak zamurowało? - Małgorzata wycelowała w mężczyznę wskazujący palec, jakby zamierzała z niego wystrzelić. Na ten widok niepozorny mężczyzna w szarym prochowcu uchylił tylko kapelusza i szybko się oddalił, nie podejmując z góry skazanej na niepowodzenie próby dialogu.

- Długo zamierzasz tak stać z tym pudłem? Karol pospiesznie wstawił pakunek do bagażnika.

- Dzięki. - Małgorzata po raz pierwszy tego dnia uśmiechnęła się i po męsku podała rękę koledze, który zachęcony tym uśmiechem podjął ostatni wysiłek zrealizowania powziętego wcześniej postanowienia.

- Może byśmy spotkali się dziś wieczorem? Chyba nie powinnaś być sama w taki dzień.

- A jaki dzień dzisiaj mamy?

- No, środa...

- Niby dlaczego nie powinnam być sama w środę?

- No wiesz, ta dymisja, pewnie masz kiepski nastrój.

- Czuję się świetnie. - Ton głosu Małgorzaty nie pozostawiał żadnej nadziei. - Mam dwa miesiące zaległego urlopu i właśnie zaczynam wakacje. Pa!

Wsiadła do cinquecento i trzasnęła drzwiami. Po trzech próbach udało się jej wreszcie zapalić silnik i odjechała, zostawiając Karola w oparach spalin, na środku drogi.

## **ROZDZIAŁ 5**

Małgorzata mieszkała w samym centrum miasta. Z jej okien, jeśli się dobrze wychylić, widać było nawet zegar na Pałacu Kultury. Kamienica była stara, jeszcze z XIX wieku, co oznaczało, po pierwsze, że na pewno miała kiedyś właściciela, po drugie zaś, że dzisiaj ten właściciel, a raczej jego spadkobiercy, w każdej chwili mogą upomnieć się o swoją własność. Stawiało to kamienicę w sytuacji mocno niekomfortowej. Choć pilnie domagała się remontu, aktualny administrator - Zarząd Domów Komunalnych, w poprzedniej epoce podszycujący

się pod właściciela, nie zamierzał ułatwiać życia swoim ewentualnym następcom i od lat nie wydał na kamienicę ani grosza. Problem polegał jednak na tym, że jeśli były właściciel do tej pory się nie zgłosił, to istniało duże prawdopodobieństwo, iż nie zgłosi się w ogóle. Uparte czekanie zaś może doprowadzić budynek do stanu całkowitej ruiny. To nie był jednak problem administratora, tylko lokatorów kamienicy, w zasadzie więc problemu nie było. Małgorzata wielokrotnie starała się o wykupienie mieszkania na własność, bo wtedy mogłaby wreszcie sama je wyremontować bez obawy, że zaraz potem będzie się musiała wyprowadzić. Niestety, za każdym razem otrzymywała pismo tej samej treści: „Z powodu nieuregulowanych stosunków własności owych wykupienie lokalu nie jest możliwe”. Tak jak wszyscy, przed zimą zalepiała więc dziurawe okna gumowymi uszczelkami, walczyła z grzybem na ścianach i dogrzewała się zżerającym masę prądu elektrycznym piecykiem.

Był już wieczór, gdy Małgorzata, obładowana siatkami pełnymi zakupów, wspinała się do swojego mieszkania w oficynie po skrzypiących drewnianych schodach. Zatrzymała się na trzecim piętrze i z ulgą położyła większość siatek na wycieraczce pod drzwiami. Wzięła do ręki jedną reklamówkę i zadzwoniła do drzwi naprzeciwko. Nikt nie odpowiadał, ale niezrażona Małgorzata zadzwoniła jeszcze raz, tym razem długo przytrzymując guzik. Drzwi wreszcie się otworzyły. Staruszka, która pojawiła się w progu, rozpromieniła się na widok Małgorzaty. Pani Zofia, samotna od wielu lat, nie miała zbyt wielu łączników ze światem, kontakty z młodą sąsiadką pielęgnowała zatem z wyjątkową troskliwością.

- Dzień dobry - Małgorzata, wiedząc, że staruszka ma kłopoty ze słuchem, starała się mówić głośno i wyraźnie - mam wszystko, tak jak pani zaznaczyła. - Z siatki wystawała gazetka reklamowa najbliższego supermarketu z zakreślonymi przez panią Zofię produktami. - Tylko masła zabrakło, więc wzięłam trochę droższe. Ale i tak taniej niż na bazarku.

- Masło droższe? No widzisz, kochana, zawsze gdzieś oszukują.

Nawet mówienie głośno i wyraźnie nie zawsze skutkowało.

- Tańsze było wcześniej, ale wykupili. - Małgorzata chciała jeszcze dodać, że w gazetce lojalnie uprzedzono o ograniczonych zapasach masła po złotówce, nie należy więc się dziwić, że po południu nic już nie zostało.

- Nie rzucili? No trudno, trudno. A na bazarku zawsze wszystko mają.

- Jeszcze reszta została, o, proszę. - Małgorzata porzuciła pomysł wyjaśniania pani Zofii zawilosci polityki marketingowej zagranicznych hipermarketów. - Bardzo przepraszam, ale za tydzień nie będę mogła zrobić pani zakupów, chcę jechać na wczasy.

- Takie czasy, kochana, tak, tak, takie czasy. A wiesz, kochana, w przyszłym tygodniu nie musisz się mną przejmować, bo...

Na klatce schodowej właśnie zgasło światło. Małgorzata odszukała w ciemności przycisk kontaktu, ale wciśnięcie go na nic się nie zdało.

- Chyba nie ma prądu - zdążyła tylko zauważyć, gdy światło zapaliło się samo.

- Oho, będą wyłączać - wygłosiła pani Zofia z przekonaniem i szybko wróciła do bardziej interesujących ją spraw. - A ty tak ciągle sama, Małgosiu? - Fakt, że Małgorzata, mimo swego wieku, była ciągle stanu wolnego, spędzał sen z powiek pani Zofii. - Może byś wpadła na herbatkę, moja droga? Będzie u mnie...

W tym momencie światło zgasło po raz drugi i tak jak poprzednio, po kilku sekundach ciemności znów zrobiło się jasno.

- Coś się dzisiaj dzieje z tym prądem. - Los najwyraźniej pomagał Małgorzacie wymigać się od randki w ciemno. - Może innym razem, pani Zofio, naprawdę nie mam dziś na nic ochoty. Do widzenia - zakończyła stanowczo.

- No dobrze, niech będzie jutro, upiekłam ciasteczka. - Pani Zofia, zawiedziona odmową, nie zamierzała dać za wygraną. - To do jutra kochanie, pa. - Zamknęła za sobą drzwi, zadowolona, że to do niej należało ostatnie słowo. Małgorzata otworzyła swoje mieszkanie, nie wiadomo po co zamknięte aż na trzy zamki, i pozbierała torby z wycieraczki. Weszła do środka, zapaliła światło, zaniósła zakupy prosto do kuchni, gdzie rzuciła wszystko na podłogę. I wtedy światło zgasło po raz trzeci. Małgorzata odczekała chwilę, licząc, że ciemność znowu nie potrwa długo, ale tym razem światło się nie zapaliło. Wyrzuciła przez okno, aby sprawdzić, czy to samo dzieje się w całym budynku - wszędzie było ciemno. Z łatwością znalazła latarkę, którą - jako osoba o dużym zamiłowaniu do porządku - trzymała zawsze w tym samym miejscu, przy schowku z licznikiem. Sprawdziła korki i po chwili zastanowienia wyszła na klatkę schodową. W ciemności, z niższego piętra dobiegł ją cienki, piskliwy, damski głos.

- To u nas czy wszędzie?

- U nas, u nas, pewnie szczury kable przegryzły - odpowiedział jej z góry tubalny głos męski.

- O Jezu, czy ktoś już dzwonił po pogotowie?

- Za późno, szczurom już pani nie pomoże. - Mężczyzna zarechotał, zadowolony z własnego dowcipu.

- Ale panu na rozum może coś dadzą. Do energetycznego pogotowia zna pan numer?

- Pewnie przeciążenie, stara instalacja - o dziwo, męski głos okazał się również głosem rozsądku - trzeba sprawdzić korki w piwnicy.

- No to niech pan sprawdzi.



- Ja? Ja się na tym nie znam. Dawno mówiłem, żeby kupić automat.

- Kupić, kupić, ale kto za to zapłaci?

- Pójdę sprawdzić. - Małgorzata nie miała ochoty przysłuchiwać się jałowej dyskusji. Zamknęła drzwi na klucz i ostrożnie zaczęła schodzić po wąskich schodach.

- Tylko niech pani uważa! - stojąca piętro niżej sąsiadka poczuła się w obowiązku zatroszczyć o Małgorzatę. - Że też my zawsze wszystko same musimy robić! - krzyknęła w kierunku wyższego piętra, kładąc szczególny nacisk na słowo „my”. - Boże, gdzie ci mężczyźni?

Drzwi na górze zatrzęsły się z hukiem.

Piwnica była otwarta. Małgorzata nie należała do strachliwych, ale zejście do zatęchłej nory, w której rzeczywiście szczury urządziły sobie noclegownię, nawet w blasku elektrycznego światła było mało przyjemne. Na szczęście usłyszała dobiegające z głębi piwnicy głosy. Zeszła na dół i na samym końcu korytarza dostrzegła słabe, migoczące światełko. Podeszła bliżej. Rozmowę słychać już było wyraźnie.

- A wie pani, że ten bandzior, co tu grasował w sąsiednim domu, to też najpierw prąd odłączał?

Małgorzata rozpoznała głos dozorczyńni. Obok niej stała druga kobieta. Dozorczyńni trzymała w ręku świeczkę, którą starała się oświetlać tablicę rozdzielczą z korkami. Dalej stał jakiś mężczyzna, manipulujący czymś przy tablicy. Jego twarz skryta była w ciemnościach, migotliwe światło świecy padało tylko na ręce.

- Też pani musi akurat teraz o tym mówić! - W głosie drugiej kobiety słychać było niepokój. - Ale przecież podobno go złapali.

- No złapali, ale zaraz wypuścili, bo nic nie zdążył ukraść i mówił, że w ciemnościach drzwi pomylił.

- Może i pomylił.

- Pani to chyba nie na tym świecie żyje, pewnie te wszystkie napady to też przez pomyłkę?

Małgorzata szybko oceniła, że jej pomoc nie będzie potrzebna, i właśnie miała zamiar się wycofać, gdy rozbłysło światło.

- Ooo! - Dozorczyńni uśmiechnęła się promiennie. - Co byśmy bez pana zrobiły!

Małgorzata wstrzymała się z odejściem, ciekawa, który z sąsiadów stał się obiektem gorących wyrazów wdzięczności. Mężczyzna odwrócił się od tablicy i wtedy zobaczyła jego twarz.

To nie był nikt z mieszkańców tego domu, ale widziała już kiedyś tę twarz. Odwróciła się w popłochu, jednak o pół chwili za późno. Mężczyzna również ją zauważył. Ich spojrzenia

spotkały się zaledwie na ułamek sekundy - to wystarczyło, by ona również została rozpoznana.

Energicznym krokiem ruszyła w kierunku wyjścia. Dobiegły ją podziękowania dozorczyńcy i jakaś zdawkowa odpowiedź. Kątem oka zauważyła, że mężczyzna idzie za nią. Szybko dotarła na klatkę schodową i zapaliła światło. Wydawało jej się, że dwie sekundy, niezbędne, aby starter oświetlenia zadziałał, trwały wieczność. Gdy zaczęła wspinać się po schodach, mężczyzna właśnie wyszedł z piwnicy i ruszył prosto za nią. Przyspieszyła kroku. Mężczyzna zrobił to samo. Miała ochotę podbiec, ale to mogłoby zostać potraktowane jako objaw lęku, a Małgorzata nie lubiła przyznawać się do słabości. Pięła się więc po schodach w tym samym, umiarkowanym tempie cały czas ze świadomością, że mężczyzna jest wciąż za jej plecami. Tuż pod drzwiami ze złością zdała sobie sprawę, że i tak nie zdąży uciec, bo zamknęła mieszkanie na klucz. Drżącymi rękami próbowała przekręcić klucz w zacinającym się zamku. Mężczyzna zatrzymał się na tym samym piętrze. Nie wytrzymała napięcia. Odwróciła się i popatrzyła mu w twarz.

- Dziękuję pani. - Mężczyzna uklonił się, schylając głowę.

To były naprawdę ostatnie słowa, które Małgorzata .podziwiałaby się usłyszeć w takiej chwili.

- Dziękuję za opiekę nad matką - powtórzył mężczyzna, widząc jej zaskoczenie, i wskazał na drzwi naprzeciwko.

- Pani Zofia - to pana matka?

Szczerze zdumienie wywołało uśmiech na twarzy mężczyzny. Kiwnął głową.

- Wiele mi o pani opowiadała.

Małgorzata patrzyła na mężczyznę z niedowierzaniem. Pani Zofia nosiła inne nazwisko, pewnie po drugim mężu. W ciągu kilku lat o synu wspomniała może ze dwa razy, i to w kontekście wskazującym raczej na wyjazd gdzieś do Australii albo jeszcze dalej.

- Pani mnie sobie przypomina, prawda?

Głupie pytanie. Jak mogłaby sobie nie przypominać. To przecież Jacek Jarecki. Ten Jacek Jarecki. Poznała go jakieś dziesięć lat temu i to w okolicznościach, których nie sposób było zapomnieć.

## ROZDZIAŁ 6

Małgorzata dostała etat w Prokuraturze Rejonowej zaledwie przed miesiącem, a już zdążyła umorzyć dwie sprawy o kradzież samochodu, a nawet aresztować jednego pijaczka,

złapanego na gorącym uczynku, gdy próbował opróżnić z zapasów alkoholu sklepik osiedlowy.

Gdyby nie koniec lipca, o sprawie Jacka J. dowiedziałyby się pewnie, jak miliony Polaków, z telewizji. Ale był lipiec, i do tego podobno najgorętszy w stuleciu. Jej szef, wiedziony sentymentem do czasów, które całkiem niedawno były-minęły, smażył się właśnie na plaży w Złotych Piaskach. Kolega Janek wygrzewał się w Międzyzdrojach, gdzie tego roku było równie ciepło, a do tego można się było porozumieć w ludzkim języku. Zastępca szefa nie zdążył wyjechać na urlop, ale też w pewnym sensie odpoczywał, chociaż w mniej przyjemnych okolicznościach. Nie dalej jak poprzedniego dnia został na sygnale odwieziony do szpitala z tak prozaicznego powodu, jak zapalenie wyrostka robaczkowego. Kiedy więc przyszło zgłoszenie, żeby jechać na Pruszkowską, bo właśnie znaleziono zwłoki niejakiej Moniki Zasławskiej w jej własnym mieszkaniu i jest podejrzenie zabójstwa, musiała się tym zająć Małgorzata.

Dochodziła już siódma wieczorem, ale upał ciągle dawał się we znaki. Małgorzata bez trudu odnalazła przy ulicy Pruszkowskiej budynek numer 63. Był to nieduży wieżowiec, chyba niedawno zbudowany, bo choć brakowało domofonu, na klatce schodowej panowała czystość. Na każdym piętrze znajdowały się tylko cztery mieszkania. Drogę do lokalu pod piątką, gdzie znaleziono zwłoki, wskazywały niewielkie, szepczące konspiracyjnie grupki gapiów.

Drzwi do mieszkania Moniki były otwarte. Małgorzata stanęła w progu, mówiąc głośno „dzień dobry”. Nikt na nią nie zwrócił uwagi. W kuchni stała starsza kobieta, która szlochając, tuliła do siebie kilkunastoletnią dziewczynę. Na krześle w pokoju siedział zgarbiony mężczyzna i łkał bezgłośnie, trzymając głowę ukrytą w dłoniach.

- Dzień dobry - powtórzyła Małgorzata. - Jestem prokuratorem.

Na te słowa z łazienki wynurzyło się coś. Było płci niewątpliwie męskiej, chociaż kolczyk w uchu, wisior na szyi i włosy ufarbowane w czerwone pasemka mogłyby sugerować również inne rozwiązania. Miało na sobie odblaskową koszulkę z napisem SEX PISTOLS i czarne, rowerowe legginsy do kolan. Na widok Małgorzaty coś szczerze się uradowało.

- O, mamy panią prokurator, dzień dobry. Zaraz pani wszystko pokażę.

- A pan to kto? - Małgorzata wolała upewnić się, że nie pomyliła adresu.

- Aspirant Dziubiński - coś odezwało się - wreszcie umiej więcej sensownie. - Młodszy aspirant - dorzucił niechętnie.

- Widzę, że młodszy. Makowska. - Małgorzata nie bez oporów podała Dziubińskiemu rękę i zaraz tego pożałowała, bo aspirant chwycił jej dłoń swoimi spoconymi łapami i ucałował, kłaniając się w pas. Uznał widać, że taka prezentacja uprawnia go do poufałości, bo zbliżył swą twarz do twarzy Małgorzaty i szepnął jej na ucho:

- Poznała pani tego Jareckiego?

Małgorzata dyskretnie spojrzała na mężczyznę w pokoju obok. Trudno go było nie poznać. Każde dziecko wiedziało, kim jest Jacek Jarecki. W każdą środę po południu w programie pierwszym TVP walczył o życie swoich pacjentów jako doktor Zenon, a w soboty o dwudziestą w programie drugim rozprawiał się z nieuczciwymi współnikami jako gangster Kaszana. Jego twarz zachęcała do zakupu artykułów pierwszej potrzeby z co drugiego billboardu, a kiedy pojawiał się na ulicy, podekscytowane nastolatki piszczały. Co tam zresztą nastolatki, nawet Małgorzata wycięła kiedyś - prawda, że dawno - jego zdjęcie z tygodnika „Film” i powiesiła na słomianej macie obok Roberta Redforda.

- Na żywo zupełnie inny facet, nie? W tym serialu wygląda jak Schwarzenegger, a tu takie chuchro.

Rzeczywiście, zapłakany mężczyzna z pokoju obok nie wyglądał imponująco.

- Co on tu robi?

- Znalazł zwłoki. To była jego kochanka. - Te słowa aspirant wypowiedział szeptem, po czym przeszedł do części oficjalnej. - Proszę obejrzeć denatkę - dodał głośno. Otworzył drzwi do łazienki i wskazał Małgorzacie drogę.

Małgorzata weszła do środka. Zobaczyła ciało leżące w wannie i od razu poczuła się słabo. Jej nogi zrobiły się miękkie, musiała przytrzymać się framugi. Nie wytrzymała tak długo. Zakryła dłonią usta i wybiegła na korytarz. Oparła się o ścianę, próbując głęboko oddychać.

To była młoda kobieta. Mogła mieć jakieś dwadzieścia kilka lat, mniej więcej tyle, ile Małgorzata. Jej nagie ciało leżało zanurzone w brunatnoczerwonej wodzie. Kształty kobiety rysowały się jednak wyraźnie i trudno było nie zauważyć dużego, mocno zaokrąglonego brzucha.

Dziubiński wybiegł zaraz za Małgorzatą.

- Nic pani nie jest? - wyraźnie wykazywał większe zainteresowanie atrakcyjną panią prokurator niż denatką. - Pierwszy trup?

Małgorzata skinęła głową.

- Może trochę nikotynki? - Aspirant wyciągnął paczkę.

- Nie palę.

- To gorzej. No to może wody? Dajcie jakąś wodę! - krzyknął w głąb mieszkania. - Do picia!

- Już dobrze. Przepraszam, po prostu nie znoszę widoku krwi.

- To nieźle pani trafiła. Da pani radę tam wrócić?

Małgorzata zrobiła krok w kierunku łazienki, ale mdłości dopadły ją znowu.

- To może ja pójde po tę wodę. - Dziubiński odwrócił się na pięcie i wszedł do środka.

Drzwi mieszkania naprzeciwko były otwarte. Od dłuższego czasu stał w nich starszy, siwy mężczyzna. Gdyby nie rozdeptane kapcie na nogach, wyglądałby naprawdę elegancko. Miał na sobie lekki lniany garnitur w naturalnym kolorze, spod spodu wyglądała biała koszula. Mężczyzna znikł w swoim mieszkaniu i po chwili wrócił, trzymając w jednej ręce półlitrowkę wódki, a w drugiej szklankę-literatkę. Podeszedł bliżej, napełnił ją do połowy i wcisnął Małgorzacie do ręki.

- Bardziej pomoże - stwierdził poufale. - Najlepiej na raz.

Małgorzata podniosła szklankę do ust i wypła jej zawartość jednym haustem. Skrzywiła się i zakrztusiła, ledwo mogąc złapać oddech, ale zdecydowanie poczuła się lepiej. Oddała sąsiadowi szklankę, kiwając głową w podziękowaniu. Mężczyzna szybko napełnił szklankę jeszcze raz, ale zanim Małgorzata zdążyła powiedzieć, że już dziękuje, sam wychylił duszkiem jej zawartość. Otrząsnął się, odwrócił i poczłapał w kierunku swojego mieszkania. W połowie drogi zatrzymał się, jakby o czymś zapomniał. Po chwili namysłu nalał sobie jeszcze raz, wypił równie szybko i dopiero wtedy odniósł butelkę do domu.

Parę godzin później, w pokoju przesłuchań na komendzie policji, Małgorzata z rosnącym zdumieniem słuchała odczytywanego z kartki zeznania Jacka Jareckiego.

„W piątek 22 lipca bieżącego roku przyjechałem do Moniki Zasławskiej około godziny 23, zaraz po spektaklu w Teatrze Nowoczesnym, gdzie grałem rolę Otella. Zjedliśmy razem kolację i położyliśmy się spać. Około pierwszej w nocy obudził mnie głośny stukot. Moniki nie było w łóżku. Wstałem, żeby sprawdzić, co się stało, i znalazłem ciało Moniki w wannie. Monika nie żyła. To musiał być nieszczęśliwy wypadek. Byłem w szoku, ubrałem się, zamknąłem drzwi na klucz i wyszedłem. Na dole widział mnie sąsiad, który wyszedł na spacer z psem. Wsiadłem do samochodu i pojechałem do domu, po drodze wyrzucając klucze od mieszkania Moniki do Wisły. W poniedziałek pojechałem po matkę Moniki, razem wyważyliśmy drzwi i zawiadomiliśmy policję”.

- Może być? - Jarecki odłożył kartkę i szukając akceptacji popatrzył na siedzącego obok Małgorzaty inspektora.

- Podpisał pan? - Inspektor Huhro udał, że nie słyszy pytania.

Jarecki szybko podpisał zeznanie, podał inspektorowi kartkę.

- Proszę poczekać. - Huhro gestem zaprosił Małgorzatę do wyjścia.

Obok, w pokoju, z którego można było obserwować Jacka Jareckiego przez szybę, co jednak w tej chwili nie miało większego znaczenia, Małgorzata po raz kolejny wczytywała się w zeznania.

- I co pani o tym sądzi? - inspektor postanowił przyspieszyć bieg rzeczy.

- Bez sensu. - Małgorzata odłożyła wreszcie kartkę i popatrzyła na inspektora.

- No - inspektor przytaknął lapidarnie.

- W ogóle nie trzyma się kupy. Nieszczęśliwy wypadek? Brednie! Wpadła do wanny i co? Zamiast wezwać pogotowie uciekł? I pozwolił jej się moczyć przez dwa dni? Kobiecie, z którą miał dziecko? Jakies straszne łgarstwo!

Małgorzata nie ukrywała swoich emocji.

- Skurwiel! - inspektor chętnie dostosował się do temperatury wypowiedzi Małgorzaty.

- No po prostu wierzyć się nie chce, że mógł wymyślić taką bzdurę!

- To co, czterdzieści osiem czy na amen? - inspektor przeszedł do konkretów.

- Na amen to tylko Pan Bóg. Mam coś podpisać?

Inspektor podsunął Małgorzacie nakaz aresztowania Jacka Jareckiego.

- Już gotowe? - Małgorzatę trochę to zaniepokoiło. - Skąd pan wiedział, że będę chciała go aresztować?

- Rutyna. - Pewny siebie głos inspektora rozwiał jej wątpliwości. - Za parę lat pani też będzie wiedziała takie rzeczy. Jak tylko go zobaczyłem, wiedziałem, że coś kręci.

Małgorzata szybko podpisała nakaz.

Kilka dni później, wysiadając z autobusu na przystanku koło prokuratury, Małgorzata zauważyła swojego szefa usiłującego zaparkować daewoo w luce, w której nie zmieściłby się nawet maluch. W końcu można by nawet powiedzieć, że mu się to udało, gdyby nie drobny szczegół: zaparkował samochód w poprzek chodnika, zastawiając na dodatek połowę przystanku autobusowego.

Szef wyskoczył z auta i truchtem ruszył w kierunku wejścia. Małgorzata ledwo go dogoniła i głośnym „dzień dobry” zmusiła do zwolnienia i odwrócenia głowy.

- O, dzień dobry, pani Małgosiu, jak miło panią widzieć. - Szef odpowiedział uprzejmie, jednak jego mina świadczyła o całkiem innych odczuciach.

- No właśnie, panie prokuratorze, dobrze, że pan już wrócił z urlopu...

- Gratuluję, świetnie się pani spisała! To była odważna, męska decyzja z tym aresztowaniem Jareckiego. - Szef trochę seplenił, co zawsze Małgorzatę bardzo bawiło, ale w tej chwili nie było jej do śmiechu.

- No właśnie, teraz mam wątpliwości...

- Dobrze pani zrobiła. Prawo jest takie samo dla wszystkich i nie będziemy robić wyjątków dla ludzi z pierwszych stron gazet.

- Nie wiem, czy się nie pospieszyłam. Ta jego próba samobójstwa... - Tej nocy, gdy go aresztowała, Jarecki próbował podciąć sobie żyły kawałkiem potłuczonego kafelka. Nie zmieniło to przekonania Małgorzaty o jego winie, ale obudziło poczucie odpowiedzialności za jego dalsze losy. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że to od niej może zależeć czyjeś życie.

- No właśnie, właśnie, to trudna sprawa, bardzo trudna, a pani jest jeszcze taka młoda. Wiem, wiem, młodość to nie wada, ale tutaj potrzeba kogoś... z dużym doświadczeniem, z wycuciem, na pewno będą duże naciski, ze strony mediów i w ogóle. No, po prostu tu trzeba faceciami z jajami, a nie subtelnej niewiasty. No... sam muszę się tym zająć. No muszę zabrać pani tę sprawę.

Dotarli do wejścia. Szef otworzył drzwi i przytrzymał je, żeby przepuścić przodem Małgorzatę.

- No, usy do góry.

Małgorzata musiała wyglądać bardzo nieszczęśliwie, bo szef, oprócz konwencjonalnego pocieszenia, uznał za wskazane poklepać ją jeszcze po łopacie.

- Dobrze będzie. Jeszcze w swojej karierze znajdzie pani trupa w niejednej wannie.

Małgorzata weszła do budynku i w ogóle nie zwracając uwagi na to, co dzieje się wokół niej, ruszyła wolno w kierunku swojego pokoju. A tymczasem wokół działa się sporo.

W holu, na zdezelowanych fotelach pokrytych modnym dwadzieścia lat temu skajem, obok stojącej na statywie kamery i kilku walizek ze sprzętem telewizyjnym siedziało dwóch panów, ze stoickim spokojem palących papierosy. Między fotelami krążyła znana dziennikarka, która również paliła papierosa, ale trudno by było powiedzieć, że robiła to dla relaksu. Nerwowo strząsała popiół na podłogę, co chwilę spoglądając to na zegarek, to na drzwi wejściowe. Pojawienie się w nich Małgorzaty nie wzbudziło jej zainteresowania, natomiast na wkraczającego chwilę potem szefa popatrzyła z dużą nadzieją. Nie była to, jak się okazało, nadzieja płonna. Szef natychmiast zauważył ekipę telewizyjną i uradowany podbiegł do dziennikarki.

- Dzień dobry, państwo na mnie cekają? Pseprasam, strasne korki. Nazywam się prokurator Gołąbek.

Pierwszy wyciągnął rękę, zmuszając kobietę do przełożenia papierosa do lewej dłoni. Gdy tylko to zrobiła, chwycił jej rękę, przyciągnął do swoich ust i głośno ucałował.

- Wargacka - dziennikarka przedstawiła się oschle i szybko wyszarpnęła swą dłoń.

- Zapraszam do mnie, do gabineciku. - Prokurator Gołąbek nie uznał za wskazane, aby przedstawić się reszcie ekipy.

- Możemy dokończyć? - Operator, który z niewzruszonym spokojem siedział w fotelu obok, wskazał na papierosa.

- Ach tak, oczywiście. - Szef odsapnął i przypomniał sobie o swojej podwładnej. - Pani Małgosiu! - krzyknął w głąb korytarza.

Małgorzata zatrzymała się, ale to była jedyna reakcja, na jaką prokurator Gołąbek mógł liczyć w jej stanie ducha.

- To ja już pójdę zamówić dla nas kawkę. - Prokurator niezwłocznie podreptał w jej kierunku. - Zaraz kogoś psyślę, żeby pokazał drogę. - Z przepaszającym uśmiechem zostawił swoich gości w holu i dogonił Małgorzatę.

- Pani Małgosiu, poproszę akta Jareckiego do mnie, do gabinetu, tylko przedziutko - wysapał z trudem, po czym szybko odwrócił się i ruszył do swego biura na drugim końcu korytarza.

Gdy chwilę później Małgorzata niosła akta do gabinetu szefa, dziennikarka właśnie z furią gasiła papierosa w doniczce.

- Dlaczego mi, kurwa, nikt nie powiedział, że facet sepleni!! Trudno, damy na niemo, dogram potem komentarz.

- Ty, zobac, może ci się psyda? - zaseplenił operator, chichocząc złośliwie, i wskazał ręką na coś, co działo się na ulicy. Dziennikarka wyjrzała przez okno.

- Dobrze, dobrze, kręć. Sprzedamy do magazynu „Niedzielny kierowca”.

Operator ochoczo chwycił za kamerę.

Małgorzata dyskretnie wyjrzała na ulicę przez sąsiednie okno. Holownik służb drogowych usuwał właśnie samochód jej szefa z przystanku autobusowego. Małgorzata uśmiechnęła się do siebie nie bez satysfakcji.

## **ROZDZIAŁ 7**



I właśnie teraz, po dziesięciu latach, do tego w dniu, w którym Małgorzata chętnie zapłakałaby gdzieś w kącie nad własnym losem, Jacek Jarecki znowu pojawił się w jej życiu.

Stała przed drzwiami swego mieszkania, zastanawiając się gorączkowo, jak w dyplomatyczny sposób zakończyć tę rozmowę, kiedy drzwi naprzeciwko otworzyły się. Pani Zofia wyrzła na korytarz.

- O, jesteście, kochani - na widok Małgorzaty i Jacka rozpromieniła się - widzę, że już się poznaliście. Małgosiu, to jest właśnie mój syn, który właśnie wyszedł... - pani Zofia w porę się powstrzymała - który właśnie wrócił do domu. Wejdiesz, Małgosiu, na chwilkę, co? Zaparzyłam herbatę, ciasteczka czekają. Jutro będą nieświeże.

- Ale... - Małgorzata zawahała się, czy wykręcić się bólem głowy, czy pilną pracą na jutro, bo przecież nie miała już żadnej pilnej pracy, i właśnie ten moment niepewności wykorzystał Jacek.

- Proszę, bardzo proszę. - W jego głosie słychać było siłę pomieszaną z taką bezradnością, że Małgorzata poddała się i skinęła głową.

Mieszkanie pani Zofii, gdy się je widziało pierwszy raz, sprawiało dość przytłaczające wrażenie - wszystkiego wydawało się w nim za dużo. Za dużo mebli, za dużo doniczek z kwiatami, bibelotów, obrazów. W rzeczywistości sprzętów nie było aż tak wiele. Wrażenie obfitości powodowały pokrywające każdy nadający się do tego celu skrawek mebla, ściany lub podłogi robótki, wykonane osobiście przez panią domu. Pani Zofia produkowała w ilościach hurtowych koronki, wyszywane makatki i plecione dywaniki, powtarzając na nich swoje ulubione motywy kwiatowe.

Jacek i Małgorzata siedzieli naprzeciwko siebie przy dużym, okrągłym stole przykrytym lnianym obrusem haftowanym, jakże by inaczej, w kwiaty. Przed nimi leżały koronkowe serwetki, na których ustawiono porcelanowe talerzyki w ręcznie malowane różyczki. Obok, w filiżankach z tego samego, różanego kompletu parowała świeżo zaparzona herbata. Na środku, na srebrnej tacy, piętrzył się stos ciasteczek. Pani Zofia postawiła jeszcze na stole różaną cukiernicę, uśmiechnęła się do obojga zachęcająco i wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Małgorzata wsypała do herbaty dwie łyżeczki cukru, usiłując sprawiać wrażenie, że cała jej uwaga skupia się wyłącznie na precyzyjnym mieszaniu płynu w filiżance. Pokusa jednak była zbyt silna. Co jakiś czas znad łyżeczki rzucała w stronę Jacka ukradkowe spojrzenia. Wciąż trudno jej było uwierzyć, że człowiek, który teraz siedzi obok niej, to rzeczywiście Jacek Jarecki. Wśród tych wszystkich koronek, bibelotów i frędzelków wyglądał trochę jak przybysz z innej planety. Oczywiście, rozpoznała go od razu, ale dopiero teraz zdała sobie

sprawę, jak bardzo się zmienił. Choć mógł mieć najwyżej 45 lat, wyglądał dużo starzej. Jego włosy były mocno przerzedzone, a skronie przyprószyła zaawansowana siwizna. Twarz miał zmęczoną, szarą, wysokie czoło rzeźbiły głębokie bruzdy. Nie było w nim nic z tego beztrockiego, wiecznego chłopca, którego wizerunek utrwał się w pamięci widzów przez długie lata.

Ponieważ denerwująca cisza przedłużała się, Małgorzata demonstracyjnie spojrzała na zegarek.

- O co panu chodzi? - Wyjęła łyżeczkę z herbaty i odezwała się prowokacyjnym tonem.  
- Bo przecież nie o herbatkę w miłym towarzystwie.

- Chyba się pani mnie nie boi? - Jacek zignorował zaczepkę i uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Ma pan do mnie żal?

- Do pani? Nie, skąd.

- Przecież to ja pana wsadziłam.

- Och, dała się pani nabrać, zupełnie tak samo jak ja.

Pobłaźliwy uśmiech Jacka zaczął powoli Małgorzatę irytować.

- Naprawdę, nie było żadnych nacisków - odpowiedziała urażona. - To była wyłącznie moja, suwerenna decyzja.

- Wierzę pani, sam bym tak zrobił.

Ton Jacka robił się nie do zniesienia. Małgorzata lekceważąco wzruszyła ramionami.

- A chce pani wiedzieć, jak to było naprawdę? - Jacek nie dał Małgorzacie szansy na odpowiedź. - Na przesłuchanie inspektor zaprosił mnie do swojego gabinetu i było tak miło, jak u cioci na imieninach...

## **ROZDZIAŁ 8**

Gabinet inspektora Huhro na pewno nie był miejscem przytulnym, ale wyglądał zdecydowanie lepiej niż klatka dwa na dwa, z jednym krzesłem pośrodku i lampą świecącą prosto w twarz, w której Jacka, jako gangstera Kaszanę, przesłuchiowano w jednym z odcinków serialu *Mniej niż zero*.

Wyposażenie gabinetu było bardzo skromne - biurko, krzesło, szafy z papierami. Oprócz tego dawno temu, chyba przez pomyłkę, ktoś wstawił tam również dwa wygodne fotele w szaro-żółtą kratę i drewniany stolik, i tak już zostało. Z biegiem czasu fotele obrosły

legendą. Stały się słynne z tego, że siadającemu na nich przynosiły pecha - lata całe przetrwały zatem w stanie niemal nienaruszonym.

I właśnie na jednym z tych foteli usiadł Jacek. Role mocnych facetów należały do jego stałego repertuaru, nie musiał więc nawet specjalnie się wysilać. Siedział wygodnie rozparty, z nogą niedbale zarzuconą na nogę. Z wyrozumiałością obserwował, jak w drugim końcu gabinetu miotał się bezradnie - oczywiście na tyle, na ile mu pozwalała pokaźna tusza - inspektor Huhro. Był to mężczyzna naprawdę potężnej postury; natura perfidnie zażartowała sobie z niego, przydając mu cech tak sprzecznych z jego nieortograficznym zresztą nazwiskiem. Mówił tęgim basem, przechodzącym w chwilach złości w nieartykułowane pomruki, przez co wydawało się, że głos wydostaje mu się gdzieś z głębi ciała. Współpracownicy nazywali go Niedźwiedziem, a przezwisko to oddawało dość wiernie jego toporną powierzchowność i szorstki sposób bycia.

Na parapecie bulgotała przyjaźnie gotująca się w elektrycznym czajniku woda. Inspektor otwierał po kolei wszystkie szafki, szukając czegoś z dużym poświęceniem. Wreszcie demonstracyjnie klepnął się w czoło, zajrzał za zasłonkę i triumfalnie wyciągnął stamtąd słoik neski.

- Jest! Tu ją schowała. Wie pan - inspektor uśmiechnął się przepraszająco - bez sekretarki jestem czasem jak bez ręki. Jaka miała być dla pana?

- Czarna, bez cukru - powtórzył Jacek, już drugi raz tego wieczoru.

- Widziałem ten pana ostatni film. - Inspektor w pośpiechu sypał kawę do szklanek, dzwoniąc łyżeczką o szkło. - Ja w ogóle nie chodzę do kina - zalał kawę wodą, energicznie zamieszał, nalał mleka do swojej szklanki - ale dzieciaki mnie wyciągnęły. I wie pan, nawet mi się podobało. Coś się dzieje, dialogi dobre. A ten pilot, co pan go gra - no, dla mnie bomba! I sam pan robił te wszystkie sztuczki?

- Chciałem - Jacek mimo woli uśmiechnął się, widząc, jak bardzo inspektor jest przejęty - ale firma ubezpieczeniowa wołała nie ryzykować.

- No tak, jasne... - Inspektor zamyslił się i zaczął nalewać mleko również do drugiej szklanki. Ocknął się, gdy płyn już prawie wylewał się z naczynia. Chwycił za szklanki i wolniutko, krok po kroku, starając się nie uronić ani kropli, ruszył w stronę stolika, przy którym siedział Jacek. Udało mu się dotrzeć na miejsce bez komplikacji, więc rozluźnił się, ale zrobił to o sekundę za wcześnie. W chwili gdy stawiał szklanki na stoliku, kawa rozlała się i wąska, brunatna strużka zaczęła zbliżać się niebezpiecznie w kierunku Jacka.

- O, przepraszam, zaraz coś... - Inspektor zaczął rozglądać się nerwowo w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby udawać ścierkę.

- Nie szkodzi, poradzę sobie. - Jacek zbagatelizował problem, bo plama na stoliku na szczęście przestała się rozszerzać.

- Zaraz, zaraz... - Inspektor podszedł do biurka, przejrzał kilka zapisanych kartek i wybrał jedną. Starannie wytarł stolik, na tyle, na ile było to możliwe tego typu materiałem, po czym wyrzucił kartkę do kosza.

- Proszę. - Postawił jeszcze przed Jackiem cukiernicę i usiadł wreszcie w fotelu obok.

- Dziękuję, nie słodzę.

- A w tym serialu, co pan grał tego, no, no tego gangstera... - Inspektor wyraźnie nie był w stanie odmówić sobie pogawędki na tak rzadko podejmowane w tym miejscu tematy, zniecierpliwiony pstryknął palcami, nie mogąc sobie przypomnieć nazwiska.

- Kaszanę?

- O, tak. Zupełnie jak prawdziwy. Jak taki jeden, co go od dawna mamy namierzonego, tylko jak mówi prokurator, dowodów brak. Zna go pan?

Jacek z rozbawieniem pokręcił głową.

- No tak - stropił się inspektor - głupie pytanie, przecież to inni piszą scenariusze. - Znowu klepnął się w czoło i posłodził swoją kawę. Dopiero wtedy zorientował się, że zapomniał o łyżeczkach.

- Pan nie słodzi? - upewnił się po raz kolejny i po uzyskaniu potwierdzenia wymieszał kawę łyżką z cukiernicy.

- Zaraz - inspektor popatrzył na nietkniętą kawę Jacka i doznał olśnienia, nadużywając z tej okazji ulubionego gestu klepięcia w głowę - przecież pan chciał czarną!

- Ależ nie szkodzi, może być z mlekiem. - Na potwierdzenie swoich słów Jacek szybko wziął kawę do ręki i wypił duszkiem połowę.

- Przepraszam - inspektor, wzdychając, otarł pot z czoła - ale dzisiaj dzień. No więc, panie Jacku... Mogę tak mówić? - Inspektor zawahał się, ale Jacek szybko skinął głową.

- No więc... ja panu wierzę, ale... to trudna sprawa... tyle nieścisłości. Ja bym bardzo chciał panu pomóc... Wie pan, jak by to był nieszczęśliwy wypadek, byłoby prościej. Szybkie umorzenie i po krzyku. Tak, to mi nawet wygląda na nieszczęśliwy wypadek... Gdyby pan był tam wtedy, tej nocy...

- Ale mnie nie było...

- Zapali pan? - Inspektor wyciągnął paczkę carmenów i poczęstował Jacka papierosem.  
- Właściwie tu nie wolno palić, ale co tam, nikt nie widzi. - Wyciągnął zapalniczkę i podał Jackowi ogień. Zanim Jacek zdążył pochylić się nad płomieniem, rozległo się głośne pukanie

do drzwi. Inspektor szybko cofnął dłoń z zapalniczką. Po jego tubalnym - proszę! - w drzwiach pojawił się mężczyzna w policyjnym mundurze.

- Panie inspektorze, przyszedł ten młody Dziubiński i mówi, że to ważne.

- Przepraszam na chwilę. - Inspektor wstał i wyszedł z pokoju, chowając zapalniczkę do kieszeni.

Jacek zgarbił się powoli i oparł łokcie na poręczach fotela. Nawet się nie zorientował, że ciągle miętosi w palcach papierosa. Po chwili usiadł prosto, wziął głęboki oddech, a potem powoli, małutkimi porcjami wydmuchiwał powietrze z płuc. Powtórzył ten manewr kilka razy. Pomogło. Mógł znowu zacząć myśleć. Zanim jednak zdążył zastanowić się nad słowami inspektora, drzwi otworzyły się i Huhro wkroczył do pokoju z energią, której trudno się było po nim spodziewać.

- Panie Jacku, mam złe wieści - zawołał już w progu - pana żona miała wypadek.

- Boże! - Jacek wstał gwałtownie.

- Żyje, ale jest nieprzytomna.

- Co z dziećmi?

- Były razem z nią, lekki wstrząs, nic poważnego. Cała siła uderzenia poszła na siedzenie kierowcy.

Jacek zaczął bezradnie krążyć po pokoju.

- Boże... ja muszę do nich jechać... natychmiast... gdzie oni są... Boże... Boże. - Zauważył nagle, że ciągle trzyma papierosa w dłoni. - Ma pan ogień?

- Tak. - Huhro wyciągnął zapalniczkę i zauważył, że papieros Jacka jest złamany. - Proszę - wyjął z kieszeni paczkę - niech się pan nie denerwuje. Wszystko będzie dobrze.

- Co z nią jest? - Jacek drżącą ręką wziął nowego papierosa, ściskając jednocześnie starego w tej samej dłoni.

- Kiedy będę mógł stąd wyjść?

- No, najpierw musimy skończyć przesłuchanie. - Słowa inspektora, choć wypowiedziane przyjaznym tonem, zabrzmiały jak groźba.

- Powiedziałem wszystko - Jacek zaczął się niecierpliwić - byłem tej nocy pod drzwiami Moniki, dzwoniłem kilka razy, bo wydawało mi się, że widziałem światło w jej oknach. Nikt nie odpowiadał, więc wróciłem do domu.

- Nie, to nie przejdzie - inspektor tłumaczył cierpliwie - a poza tym będziemy musieli sprawdzać pańskie alibi i rozgrzebywać całą historię. No i dziennikarze natychmiast się rzucą, a po co to panu?

- To co pan radzi? - Jacek zaciągnął się dymem.

- Spróbujmy załatwić to szybko i zaraz pan będzie wolny. - Inspektor Huhro uśmiechnął się życzliwie. - Najlepiej, jak pan spisze zeznania, a ja w tym czasie pójdę po prokuratora.

- Ale co mam napisać?

- No, że pan tam był, spał, kiedy pani Monika wyszła do łazienki, gdzie pewnie pośliznęła się na mokrej posadzce. Coś takiego.

- I co dalej? Uciekłem, przestraszyłem się?

- No właśnie, coś takiego, dobrze pan kombinuje.

- Ma pan coś do pisania?

- Tak - inspektor tym razem bez trudu znalazł czystą kartkę i długopis - tylko wie pan, przepraszam, ale będziemy musieli się stąd przenieść. Właściwie to ja nie mogę pana tu przesłuchiwać.

## ROZDZIAŁ 9

Mimo wielokrotnego przystawiania ucha do dziurki od klucza pani Zofii nie udało się jednak ustalić, jaki pasjonujący temat tak łatwo połączył jej ulubioną sąsiadkę z dopiero co odzyskanym synem. Odkąd tylko perspektywa wyjścia Jacka na wolność stawała się coraz bardziej realna, pani Zofia zaczęła z osobą Małgorzaty wiązać pewne konkretne, niczym zresztą nieuzasadnione nadzieje. Zniecierpliwiona przedłużającą się rozmową zapukała wreszcie do drzwi pokoju i zajrzała do środka.

- Nie potrzebujecie czegoś, kochani? Może jeszcze herbaty?

- Nie mam, dziękujemy.

Pani Zofia odniosła wrażenie, że syn popatrzył na nią niezyczliwie, i zawiedziona zamknęła drzwi.

- Oczywiście - Jacek ciągnął przerwana opowieść - to wszystko był blef, moja żona nie miała żadnego wypadku. Dałem się podejść jak dziecko, ta cała życzliwość, ukłony w moją stronę. Myślałem, jak ten dureń, że naprawdę zaraz wyjdę. Potem już pani wie - wysłuchała pani mojej bzdurnej historii i kazała mnie aresztować.

Dopiero teraz, gdy skończył mówić, Jacek poczuł, jak bardzo zaschło mu w gardle. Przed nim stała herbata, chwycił filiżankę i łapczywie ją opróżnił.

- Wie pan, to trochę jak z kiepskiego serialu. Dlaczego ten policjant miałby pana wrabiać?

- Nie wiem, ale tak było.

- Czego pan ode mnie oczekuje? Wyrzutów sumienia?

- Pomoże mi pani?

- Ja? - Takiego rozwoju wypadków Małgorzata w ogóle nie brała pod uwagę, jej zdziwienie było szczere. - W czym?

- Nareszcie mam szansę udowodnić, że jestem niewinny, i chciałbym, żeby pani mi w tym pomogła. - Spokojny do tej pory Jacek wstał nagle i zaczął nerwowo gestykulować. - Chcę wrócić do normalnego życia - mówił z coraz większym podnieceniem - bez piętna mordercy. Chcę nowego procesu, chcę uniewinnienia, a nie tylko ułaskawienia! Nie mogę po prostu zamknąć za sobą drzwi i udawać, że przeszłość nie istnieje!

- Wie pan, ja już nawet nie jestem prokuratorem. - Małgorzata ostudziła jego zapał. - Poza tym zawsze udawniałam winę, a nie niewinność.

- Nie chciałaby pani naprawić błędu? - Jacek nie dawał za wygraną.

- Jakiego błędu? - Małgorzata poczuła się dotknięta i wypowiedziała te słowa może zbyt podniesionym głosem. - Chyba nie twierdzi pan, że to była moja wina?

- Przepraszam - Jacek za późno zdał sobie sprawę, że powiedział o jedno zdanie za dużo - nie to chciałem powiedzieć.

To niech pan uważa, co pan mówi - chciała pouczyć go Małgorzata, ale i bez jej komentarza Jacek wyglądał jak zbity pies, trochę wbrew swojej woli powiedziała więc coś zupełnie innego.

- Najpierw musiałabym sama uwierzyć w pana wersję.

- Proszę, niech pani chociaż spróbuje. Nie stać mnie na adwokata - dorzucił cicho.

- Myśli pan, że zatrudnienie prokuratora w roli obrońcy wyjdzie taniej?

- Ma pani rację, to bezczelność, ale niech pani na to popatrzy z innej strony. Wierzy pani w przeznaczenie? Skoro los chciał, żeby właśnie panią postawić teraz na mojej drodze...

Rozległo się głośne pukanie i w drzwiach pokoju znowu pojawiła się pani Zofia. Małgorzata wykorzystała okazję i szybko wstała.

- Ale się zasiedziałam, pani Zofio, dziękuję za pyszną herbatę.

Wzrok Jacka powędrował w kierunku nawet nietkniętej przez Małgorzatę filiżanki.

- Dobranoc - rzuciła w stronę Jacka i wyszła z pokoju, nie oglądając się za siebie.

Jacek wziął filiżankę Małgorzaty do ręki i zanim jego matka zdążyła coś zauważyć, szybko wylał herbatę do doniczki z palmą.

W kuchni Małgorzaty, jak zresztą w całym mieszkaniu, panował wzorowy porządek. Na podłodze leżały wciąż jednak siatki z zakupami, co dla jej zmysłu estetyki, mimo późnej pory,

stanowiło duże wyzwanie. Otworzyła zatem lodówkę i zaczęła starannie układać zakupy na półce. Cierpliwości wystarczyło jej tylko do opróżnienia pierwszej torby. Pozostałe zakupy upchnęła na półki byle jak, nawet nie wyjmując ich z siatek. Gdy skończyła robotę i z ulgą zatrzasnęła drzwi, lodówka zaczęła zachowywać się, jak na lodówkę, bardzo podejrzanie. Z jej wnętrza zaczęły dobiegać dźwięki przypominające *Cztery pory roku* Vivaldiego. Dopiero po dłuższej chwili do Małgorzaty dotarło, że dzwoni jej telefon komórkowy. Otworzyła lodówkę i z jednej z toreb wydobłała aparat. Nawet nie patrząc, kto dzwoni, wyłączyła komórkę i wrzuciła ją z powrotem do lodówki.

Włączyła czajnik, wrzuciła torebkę herbaty do kubka, usiadła przy stole. Nie była głodna ani nie czuła się zmęczona, ale też na nic nie miała ochoty. Najbardziej na myślenie o Jac-ku. Na szczęście nie miała też ochoty na myślenie o sobie. Wstała i wyłączyła czajnik. Z lodówki wyciągnęła puszkę piwa, a z biblioteczki *Paleograficzne problemy redakcji cerkiewno-słowiańskiego Kodeksu Ławrowskiego* - pracę doktorską swojej przyjaciółki ofiarowaną z dedykacją polecającą dzieło jako najlepszy środek nasenny w Unii Europejskiej. Nie myśleć, przede wszystkim nie myśleć.

## ROZDZIAŁ 10

Dźwięk telefonu, który następnego ranka wyrwał Małgorzatę ze snu, był zdecydowanie bardziej nieznośny niż dźwięk budzika, nie dawało się go bowiem wyłączyć. Po piątym sygnale podniosła wreszcie słuchawkę.

- Słucham?

- Czy pani zamawiała budzenie?

- Józef! - Małgorzata uśmiechnęła się do słuchawki.

- Nie mów, że jeszcze spałaś. Pamiętasz o spotkaniu?

- No pewnie.

- Martwiłem się. Nie można się było wczoraj do ciebie dodzwonić. Wszystko w porządku?

- Tak. O której mam być?

- Już powinnaś, dlatego dzwonię.

- O rany - Małgorzata z niedowierzaniem popatrzyła na zegarek - zaraz wychodzę.

- Nie śpiesz się, bo wpadniesz pod samochód. Czekam spokojnie. Pa!

Małgorzata odłożyła słuchawkę. Józef był chyba jedyną osobą, o której, niezależnie od okoliczności, myślała zawsze z czułością. Dzięki niemu właściwie nigdy nie odczuła braku



ojca, który zmarł, gdy miała sześć lat. Józef był przy niej zawsze, odkąd pamiętała, i nigdy nie zawiódł jej zaufania. Ani wtedy, gdy obiecywał, że zabierze ją na sanki, ani wówczas, gdy specjalnie dla niej przemycał przez żelazną kurtynę zakazaną literaturę, ani kiedy z zadziwiającą cierpliwością wysłuchiwał po raz kolejny jej żalów nad beznadziejnie nieodpowiedzialnymi okazami rodzaju męskiego. Nawet kiedy wyemigrował i dzieliły ich tysiące kilometrów, miała poczucie jakiejś dziwnej bliskości, tak jakby był w sąsiednim pokoju, gotowy pojawić się w drzwiach, gdyby tylko go potrzebowała.

Decyzję o powrocie, zresztą tak samo jak decyzję o emigracji, Józef podjął nagle i nieodwracalnie. W czasie ostatniego pobytu w Polsce zatrzymał się, jak zwykle, u Małgorzaty. Wszedł kiedyś z domu, by kupić gazetę. Było już późne popołudnie, co lepsze tytuły zostały rozprzedane, toteż w poszukiwaniu ulubionego pisma Józef dotarł aż na Powiśle. Nieoczekiwanie znalazł się przed kamienicą, w której się urodził i spędził dzieciństwo. Ledwie ją rozpoznał. W czasach, gdy tam mieszkał, była to zaniedbana czynszówka, a dziś odnowiony budynek prezentował się naprawdę imponująco. Wszedł do środka. Okazało się, że dawne mieszkanie jego rodziców zostało właśnie wystawione na sprzedaż. Józef kupił je jeszcze tego samego dnia, wyremontował w ciągu miesiąca i przeprowadził się w kilka dni. Nie było to trudne, bo z Edynburga, gdzie ostatnio mieszkał, zabrał tylko swoje obrazy i rzeczy osobiste, twierdząc, że nie warto przywiązywać się do przedmiotów. Resztę sprzętów razem z mieszkaniem bez skrupułów wystawił na aukcję.

Po pół roku mieszkanie Józefa na Przemysłowej wyglądało jak jedna wielka pracownia - pojawiło się w nim zaledwie kilka podstawowych mebli - łóżko, krzesła, stół, za to obrazy ledwo mieściły się w trzech pokojach.

Małgorzata siedziała na niewygodnym stołku bez oparcia, ubrana w ozdobną, purpurową suknię do samej ziemi. Włosy miała rozpuszczone, a w ręce trzymała biały hiacynt.

Józef stał za sztalugami i krótkimi pociągnięciami pędzla nakładał farbę na płótno.

- Nie wierć się tak, i te, do góry - Józef, podciągając w górę kąciki ust, pokazał, że chodzi mu o uśmiech. - Wyglądasz jak Greta Garbo... chora na niestrawność.

- Ha, ha. - Małgorzata w ten sam sposób podciągnęła swoje kąciki ust i zastygła, z takim ni to uśmiechem, ni to grymasem na twarzy.

- Masz być natchniona, tajemnicza, wcielenie dobroci i piękna...

- Aha.

- Jakoś nie słyszę przekonania w twoim głosie.

- Aha - Małgorzata uważała, że pomysł, by pozować Józefowi do obrazu Madonny, nie był dobry - zgodziła się w końcu, żeby nie robić mu przykrości.

- Kiedy wyjeżdżasz na urlop?

- Nie wiem... Nie wiem, czy w ogóle.

- Świetnie, szybciej skończę. Proboszcz się ucieszy, a ja jeszcze bardziej, bo dostanę wypłatę przed pierwszym. O, ten uśmiech mi się podoba. Tak zostań.

Małgorzacie nie udało się jednak wytrwać w jednej pozie dłużej niż minutę.

- Jak się będziesz tak wiercić, to na pewno nie zdążę przed pierwszym.

- Przepraszam. Myśli mi uciekają i muszę je gonić.

- Bardzo się gryziesz? - zapytał Józef z troską.

- Nie, wcale. - W głosie Małgorzaty wyraźnie zabrzmiała kpina.

- Mogę cię jakoś pocieszyć? Chcesz, żebym zatańczył i zaśpiewał? - Józef całkiem zgrabnie zastępował na parkiecie.

Małgorzata roześmiała się mimo woli.

- Nie przejmuj się mną. Woliński nie jest wieczny. Rządy w tym kraju zmieniają się częściej niż pory roku. Jeszcze tam wrócę i im wszystkim pokażę!

- A do tego czasu łagodności Madonny będę musiał szukać na twarzach innych modelek.

- No już. - Małgorzata przybrała natchnioną minę i wytrwała w niej może z minutę. - Od dawna znasz Wolińskiego? - zagała znowu.

- Ho, ho... wieki całe. Kończyliśmy razem Kopernika.

- Kumpel ze szkoły? Ta kanalia?! Nie miałeś już z kim się zadawać?

- Wtedy był w porządku. Później zresztą też. W stanie wojennym pomógł mi załatwić paszport i wyjechać za granicę.

- No, szkoda, że innym też tak nie pomagał - zadrwiła Małgorzata. - Wiesz, ilu niewinnych ludzi wtedy oskarżał?

- Ktoś musiał. W końcu był prokuratorem.

- Wiesz, drażni mnie czasami ta twoja skłonność do rozgrzeszania. - Uwaga Małgorzaty, choć sprawiająca pozory obiektywnej, była jednak wyjątkowo subiektywną reakcją na wyrządzoną jej krzywdę.

- To tylko wygoda. - Józef nie dał się sprowokować. - Czasami warto przyjąć, że przeszłość nie istnieje. Lepiej zrobię ci herbaty. Albo nie, jak mamy gadać o Wolińskim, to przyda się mała lufka.

- Nie mam zamiaru gadać o Wolińskim, ale lufka...

Józef odłożył pędzle i zniknął w kuchni, żeby poszukać butelki koniaku.

- Poczekaj chwilę... - Na słowa Małgorzaty Józef wychylił się z kuchni. - Wiesz, Woliński nagle, tuż przed moim odejściem, załatwił ułaskawienie pewnego faceta. Był kiedyś taki znany aktor, może kojarzysz, Jarecki... więc możesz go spytać, tak kiedyś, przy okazji, dla czego to zrobił?

- Mogę. - Na tym etapie Józef nie zamierzał wtajemniczać Małgorzaty w żadne szczegóły, a ponieważ zachowanie kamiennej twarzy przychodziło mu z trudem, szybko wycofał się do kuchni. - A o co chodzi? - zapytał niby od niechcenia już ze środka.

- Ten Jarecki twierdzi, że został niewinnie skazany, chce dojść sprawiedliwości i poprosił mnie o pomoc.

- Ciekawe. I co chcesz z tym zrobić?

- Chyba go spławię, nie mam teraz na nic ochoty.

- Boisz się, że się nie sprawdzisz w roli obrońcy? - Józef wrócił z butelką i kieliszkami.

- Ja się niczego nie boję.

- A masz teraz coś innego do roboty?

- No, nie.

- To co ci szkodzi spróbować?

## ROZDZIAŁ 11

Wnętrze lokalu urządzone było w stylu minimalistycznym: ściany - goły beton, rury - na wierzchu, stoliki - metal i szkło, do tego kanciaste, niewygodne krzesła w jaskraworóżowym kolorze, a na ścianach obrazy - na takim poziomie abstrakcji, że chyba tylko w oczach autora mogły uchodzić za sztukę.

Siedzieli przy stoliku, w najdalszym kącie sali. Przed nimi stały prawie już puste kufle po piwie. Stawiński, dawny agent Jacka, na spotkanie po latach specjalnie wybrał najmodniejsze miejsce w stolicy.

- Musisz wiedzieć, co jest trendy - przekonywał. - Nie lubię tego miejsca. Twardo i drogo, ale tu się można lansować. Teraz nieważne, kim jesteś, ale gdzie jesteś, i jeszcze z kim jesteś, bo to najciekawszy news dla brukowców, a bez nich żyć się nie da. Takie czasy. To co, jeszcze po jednym? - Stawiński wskazał na puste kufle.

- Chętnie, dawno nie piłem.

- He, he. Żebyś tylko po dwóch piwach nie dostał kaca. Jeszcze raz to samo proszę - zaczęli przebiegającego w kierunku innego stolika kelnera.

- A co tam w branży?

- Bryndza, jak wszędzie. Kręci się parę filmów rocznie. Reszta to amatorszczyzna robiona prawie za darmo.

- Może byś się rozejrzył za czymś dla mnie? - Jacek przeszedł wreszcie do rzeczy.

- Słuchaj, ty jesteś OK, tylko wiesz... dużo się pozmieniało. W twoim wieku Kmicica już nie zagrasz, nawet gdyby komuś zachciało się zrobić remake.

- A w telewizji? Jak włączę telewizor, to co chwila leci jakaś telenowela. Może być nawet w Polsce.

- O, to teraz największa fucha. Stała robota, pewny grosz, a do tego kelnerki szczerzą do ciebie zęby. A właśnie, a propos. - Stawiński rozejrzył się za kelnerem i przywołał go ręką. - Zamawiałem dwa piwa!

- Przepraszam - w głosie kelnera nie słychać było skruchy - ale nie ma czystych kufli.

- No to weź pan je i umyj, albo nie, lepiej zapamiętaj, który był czyj, będzie szybciej.

Stawiński wcisnął zaskoczonemu kelnerowi swój kufel do ręki, a potem do drugiej ręki podał mu kufel Jacka.

- Mój - lewa, kolegi - prawa. Lewa - prawa - powtórzył, widząc, że zapamiętanie tej prostej zasady przychodzi kelnerowi z trudem - jasne?

Kelner zupełnie bez przekonania kiwnął głową i odwrócił się. Na jego szczęście z zaplecza zaczęły wydobywać się kłęby pary.

- O, właśnie otworzyli zmywarę - krzyknął uradowany i pobiegł w tamtym kierunku.

- No właśnie - Stawiński westchnął - i w filmie jest tak samo.

- Dalej bierzesz piętnaście procent? - Jacek nie zapominał, że przyszedł tu w interesach.

- W trudnych przypadkach dwadzieścia - Stawiński kontrolnie zapuścił sondę, widząc jednak grymas na twarzy Jacka, szybko się wycofał - ale oczywiście, dla ciebie, po znajomości możemy się umówić na stare stawki. Z tym że nic nie obiecuję, w twojej sytuacji... sam rozumiesz.

- Wiem. Będę się starać o uniewinnienie. Chcę nowego procesu.

- Bardzo dobrze, trochę rozgłosu nie zaszkodzi. Nieważne co mówią, byle mówili. Poszukam, może chociaż jakiś teleturniej.

Zadowolony z siebie kelner przyniósł wreszcie piwo i postawił na stoliku. Stawiński wziął kufel do ręki.

- Mogłem się założyć, że kufel będzie gorący - powiedział zde gustowany.

- Ale piwo jest zimne - zauważył kelner.

- Panie, już lepiej zejdz mi pan z oczu.

- Pięćdziesiąt złotych - kelner nie zamierzał wdawać się w głębszą dyskusję.
- Co? Za cztery piwa? - Jacek nie krył oburzenia.
- No sam widzisz. - Stawiński znowu westchnął. - Takie czasy.

## ROZDZIAŁ 12

Samochód Karola, jeśli pominąć charakterystyczną, znaną na całym świecie i modną nieprzerwanie od kilkudziesięciu lat linię karoserii, zupełnie nie wyglądał na swoje lata. Był to volkswagen garbus pomalowany na jaskrawoczerwony kolor, perfekcyjnie odnowiony i utrzymany w doskonałym stanie - nigdzie nie widać było śladów rdzy ani zarysowań. Jego wnętrze również było jak spod igły wyjęte, a cały mechanizm pod maską lśnił tak, jakby codziennie ktoś odkurzał go miotką. Tym kimś był oczywiście Karol, który po godzinach, o czym mało kto wiedział, przemieniał się z prokuratora w samochodowego mechanika.

Jako kierowca Karol sprawdzał się również nieźle, o wiele lepiej, niżby się tego można było po nim spodziewać. Tym razem jednak obecność przełożonego na sąsiednim siedzeniu wyraźnie przeszkadzała mu w koncentracji. Służbowa limuzyna, która miała zawieźć Wolińskiego na pilne spotkanie, nagle, z przyczyn jej tylko wiadomych, odmówiła posłuszeństwa. Karol jechał akurat w to samo miejsce, nie wypadało więc zostawić ministra.

- Coś ostatnio marnie pan wygląda, schudł pan czy mi się wydaje? - Woliński lubił żartować, a Karol do roli ofiary nadawał się znakomicie.

- Tak? Nie wiem, może.

- Zakochał się pan - Woliński drążył temat - czy na coś pan umiera?

- He, he. - Karol roześmiał się kurtuazyjnie, choć poczucie humoru ministra nie wydało mu się zbyt wyrafinowane.

- Myślałem, że pan powie, że to z przepracowania. No dobrze... Wie pan, szykują się duże zmiany w prokuraturze. Personalne zmiany. Ostatnio dużo o panu myślałem.

- W jakim kontekście? - Karol ostrożnie okazał zainteresowanie.

- Niech się pan nie obawia, potrafię docenić lojalność.

Zanim jednak Karol zdążył zapytać o szczegóły, zadzwoniła jego komórka. Odebrał, jak na zdyscyplinowanego obywatela przystało, włączając urządzenie głośno-mówiące.

- Cześć, Karol, tu Małgorzata. Możesz mówić?

- Właściwie jadę samochodem i... - Karol rzucił nerwowe spojrzenie w kierunku ministra.

- Dobrze będę się streszczać. Posłuchaj... Przepraszam, że cię tak wtedy zostawiłam, nerwy. Bardzo jesteś zajęty? Może wpadłbyś dziś wieczorem na kolację?

- No... właściwie... - Karol zaczerwienił się, pamiętając wcześniejsze docinki Wolińskiego.

- To świetnie. Wiesz, mam jeszcze prośbę. Ja teraz nie mam przepustki, więc... czy mógłbyś odszukać akta pewnej sprawy sprzed lat, na pewno pamiętasz, taki znany aktor, Jarecki, skazany za zamordowanie kochanki, teraz ułaskawiony. Woliński niedawno podpisał wniosek.

- Ale... - Karol myślał tylko o tym, w jaki sposób przerwać tę rozmowę.

- Na pewno sobie poradzisz. Słyszałam, że pani Basia z archiwum bardzo cię lubi.

- Ale... - Karol zerkał co chwila na ministra.

- To co, wyrobisz się do ósmej?

- Nic nie obiecuję - wyrzucił w końcu z siebie zboląły.

- Nie musisz się spieszyć. Będę czekać. Cześć.

Sytuacja wyglądała beznadziejnie. Karol pomyślał z wyrzutem, że Pan Bóg, spełniając jego prośby w takiej chwili, musiał nieźle się bawić. Popatrzył na Wolińskiego, wciąż mając nadzieję, że uda mu się wymyślić dobre usprawiedliwienie, ale nie był w stanie wykrztusić nawet słowa. Trzymał sztywno kierownicę, oczekując z rezygnacją nadciągającej burzy. Nic takiego jednak nie nastąpiło.

- A więc o to chodziło - mruknął do siebie minister. To dlatego Józef tak nalegał, aby wypuszczenie Jareckiego na wolność i zwolnienie Małgorzaty odbyło się w tym samym czasie - pomyślał zadowolony. Józef zawsze miał swoje tajemnice. Woliński mógł albo mu zaufać, albo czekać z podjęciem decyzji, aż kolega odłoni karty. Tym razem zaryzykował i zaufał, wygląda na to, że słusznie. Sprytnie, bardzo sprytnie - jeszcze raz pochwalił w myślach Józefa i wrócił do rzeczywistości. W samą porę.

- Hamuj pan! - zdążył krzyknąć w ostatniej chwili.

Samochodem szarpnęło tak mocno, że Karolowi spadły okulary. Schylił się, po omacku odszukał je na podłodze i dopiero gdy znów je miał na nosie, zobaczył, co się stało. Odkrył ze zgrozą, że zatrzymał się na przejściu dla pieszych, a tuż przed maską jego samochodu stoją nieruchomo dwie kobiety z dziecięcymi wózkami. Rękawem otarł pot z czoła. Kiedy również do kobiet dotarło, co się stało, jedna pogroziła Karolowi pięścią, a druga ze złością kopnęła zderzak jego auta.

- Kto panu dał prawo jazdy? - Woliński skomentował wydarzenie bez emocji. - Ma pan szczęście - kobiety oddaliły się szybko, ograniczając swoje pretensje do popukania się w czo-

ło - chyba obejdzie się bez kłopotów. No, a co tam u naszej pięknej Małgosi? - minister szybko wrócił do tematu, o którym Karol wolałby zapomnieć.

- Nie, nie, ja wcale nie mam zamiaru szukać dla niej tych akt - rzucił szybko jakby niezupełnie na temat.

- A dlaczego? Szkoda panu czasu na koleżeńską przysługę?

- Nie, tylko... - Karol popatrzył na Wolińskiego ze zdumieniem - przyznam, że... nie rozumiem.

- I na razie nie musi pan. Dobrze, dobrze - minister znowu uśmiechnął się i mruknął do siebie pod nosem - niech się zajmie czymś konkretnym. Zielone - rzucił głośno.

- Słucham? - Karol miał dziś zdecydowanie opóźnione reakcje.

- Zielone światło, może pan jechać.

Karol posłusznie ruszył z miejsca.

- Nie wie pan, że nie wolno odmawiać, gdy piękna kobieta prosi?

- Uhm - nieartykułowany pomruk mógł uchodzić zarówno za potwierdzenie, jak i zaprzeczenie.

- No, to właśnie się pan dowiedział. O czym to wcześniej rozmawialiśmy?

- O zmianach - Karol wrócił do rzeczywistości.

- A właśnie, o awansach.

## ROZDZIAŁ 13

Tego wieczora Karol musiał podjąć dwie ważne decyzje, a ponieważ podejmowanie decyzji zawsze przychodziło mu z trudem, zanosilo się na poważną bitwę z myślami.

Pierwszy problem - to jak ma się ubrać na wizytę u Małgorzaty. Najchętniej włożyłby flanelową koszulę w kratkę i ulubione džinsy, ale uznał, że powinien wyglądać bardziej reprezentacyjnie. Niestety, wśród eleganckich ubrań także niczego nie znalazł. Prawdę mówiąc, nie miał w czym wybierać. W jego szafie wisiał tylko jeden szary garnitur, w którym zresztą codziennie chodził do pracy. Poszło więc łatwo - będzie ubrany jednocześnie i elegancko, i niezobowiązująco. Najważniejsze - nie można go będzie posądzić, że wystroił się specjalnie dla Małgorzaty, skoro nałożył to samo ubranie, w którym widywała go w pracy co dzień.

Drugi problem - jakie kwiaty kupić. Małgorzata uwielbiała kwiaty, mógł więc przypuszczać, że ucieszy ją każdy bukiet, ale Karol chciał jej dać coś szczególnego. Nie mogły to być oczywiście czerwone róże, bo ich wymowa jest zbyt czytelna, z tego samego powodu odpadały też fiołki. Goździki, gerbery i frezje wydały mu się zbyt pospolite, w końcu wymy-

ślił, że przyniesie słoneczniki. Dopiero w piątej kwaciarni udało mu się zrealizować swój pomysł, zrobiło się więc późno, kiedy stanął pod drzwiami Małgorzaty. Stał tam jeszcze przez czas jakiś, usiłując sklecić naprędce powitalną mowę, aż wreszcie zdecydował się nacisnąć dzwonek. W tej samej chwili usłyszał za sobą jakiś hałas. W mieszkaniu naprzeciwko odsunięto zasuwę, drzwi otworzyły się i stanęła w nich pani Zofia. Zaskoczony Karol zdążył jeszcze ukryć bukiet za plecami. Pani Zofia najpierw obejrzała gościa Małgorzaty skrupulatnie, a potem z naganą popatrzyła na zegarek.

- To bardzo przyzwoita dziewczyna, proszę pana, bardzo przyzwoita - wygłosiła dobitnie prawdę oczywistą.

Karol wpadł w niczym nieuzasadniony popłoch i zamiast grzecznie przytaknąć, wcisnął kwiaty za skrzynkę z gazomierzem. Pani Zofia jeszcze raz obdarzyła go nieżyczliwym spojrzeniem, po czym demonstracyjnie zamknęła drzwi, akurat w chwili, gdy Małgorzata otwierała swoje.

Na odzyskanie słoneczników było już za późno.

Małgorzata nareszcie miała okazję przyjrzeć się Karolowi dokładnie. Choć pracowali w tym samym pokoju i widywali się codziennie, zawsze była tak zajęta swoimi sprawami, że nie przyszło jej do głowy, aby zwrócić uwagę na milczącego kolegę, który na dodatek ze wszystkich sił starał się nie rzucić jej w oczy. Nawet teraz nałożył ten sam szary garnitur, w którym przychodził do pracy od miesiący. Owszem, zauważyła, że czasami jakoś dziwnie na nią patrzył, ale nie zastanawiała się nad tego przyczyną. Od razu przyjęła wygodne dla siebie tłumaczenie, że to zachowanie typowe dla krótkowidzów z tak dużą wadą wzroku. A swoją drogą, mógłby sobie tę wadę skorygować, podobno można to operować i to nawet dość łatwo. Bez okularów zasłaniających pół twarzy wyglądałby o wiele lepiej.

Zaproszenie Karola na kolację niesło za sobą pewne konsekwencje. Małgorzata uświadomiła sobie z pewną konsternacją, że Karol, oprócz tego, że jest jej kolegą z pracy, jest również mężczyzną. W związku z tym trzeba go będzie nakarmić jak mężczyznę, co może się okazać problematyczne, biorąc pod uwagę jej umiarkowane umiejętności kulinarne. Na okazje takie jak ta, gdy nie można się było wykpić zamówieniem pizzy lub zakupem chińskich zupek w spożywczym na dole, przygotowywała kilka sprawdzonych dań, od lat nie ulegającym najmniejszym nawet zmianom.

Małgorzata zdawała sobie sprawę, że w zakresie doznań kulinarnych jej goście mogą czuć pewien niedosyt, dlatego starała się rekompensować ten stan wysoką jakością wrażeń estetycznych. Teraz też, jak zawsze, stół był ładnie udekorowany, nakryty awangardową zastawą z trójkątnymi talerzami - każdy w innym kolorze. Dania na talerzach były tak starannie



zakomponowane, że aż żał było naruszać ich misterną konstrukcję w prozaicznym celu zaspokojenia głodu. Na środku stołu paliły się świece. Główne, górne światło zostało wygaszone, natomiast w kilku punktach pokoju świeciły różnych rozmiarów i kształtów lampy, stwarzające kameralny nastrój.

Na talerzu Małgorzaty leżało parę listków sałaty i trochę pokrojonych świeżych warzyw. U jej gościa, oprócz zieleniny, było jeszcze coś.

Karol wpatrywał się w swój talerz z dużą nieufnością.

- A ty na pewno nic więcej? - upewnił się na wszelki wypadek.

- Odchudzam się.

- Ty? Przecież nie masz z czego.

- Właśnie dlatego, że się odchudzam.

- To może i ja...

- No coś ty, zrobiłam to specjalnie dla ciebie.

Małgorzata długo zastanawiała się, jakim daniem ze swego żelaznego repertuaru mogłaby uszczęśliwić Karola. Mając świadomość, że samo zielsko nie usatysfakcjonuje żadnego mężczyzny, zdecydowała się w końcu na golonkę. Wszyscy jej byli narzeczeni, a miała ich trzech, na golonkę patrzyli z pożądaniem. Małgorzata zawsze miała kłopoty z mężczyznami - jako narzeczony żaden się nie sprawdził. Jej pierwszy chłopak, jeszcze na studiach, po trzech latach trwania ich związku zdał sobie nagle sprawę, że jednak woli mężczyzn. Drugi też miał problemy z osobowością, choć trochę innego rodzaju - Małgorzata potrzebna mu była wyłącznie w roli pocieszycielki strapionych. Jak się wkrótce wydało, poprzednia narzeczona chłopaka popełniła samobójstwo, a jego udział w tej tragedii był, delikatnie mówiąc, niejasny. Najgorzej jednak było z trzecim i ostatnim - na samo wspomnienie o nim Małgorzata do dziś ze złością zaciskała zęby. Mężczyźni jej życia ideałami nie byli na pewno, ale przynajmniej golonkę akceptowali bez zastrzeżeń, Małgorzata nie mogła więc pojąć, dlaczego w oczach Karola nie widać tego samego entuzjazmu.

- To podobno jest świetne - zareklamowała produkt jak fachowiec od marketingu - ja nie jadam, ale wszyscy mężczyźni tak mówią.

Karol nadal nie mógł się przemóc.

- No dobra, zrobię ci omlet - ulitowała się Małgorzata.

- Nie, nie, nie trzeba. - Karol, do którego dotarł sens słów „wszyscy mężczyźni”, ocknął się wreszcie, wbił w golonkę widelec, ukroił kawałek i szybko włożył do ust.

- Z musztardą lepiej wchodzi - odpowiedziała Małgorzata, obserwując Karola w napięciu.

Karol przełknął kęs, zagryzł chlebem i sięgnął po następny kawałek, kiwając głową z zadowoleniem.

- Świetne, rzeczywiście - skonstatował mile zaskoczony.

- Czerwone wino też dobrze robi. - Małgorzata odetchnęła z ulgą i nalala wina do kieliszków. Dokończyła szybko swoją sałatkę, ledwo umoczywszy usta w winie, zerkając co chwila na opasłą teczkę Karola, stojącą tuż przy jego nodze. Widząc, że walka z golonką pochłonęła gościa całkowicie, postanowiła zaryzykować.

- Nie będziesz miał mi za złe, jeśli tylko rzucę okiem na te papiery?

- Nie, skąd - mruknął Karol i wydawało się, że rzeczywiście nie interesuje go nic poza przeżuwaniem.

Małgorzata szybko wstała i sięgnęła po teczkę. W tej samej chwili Karol zrobił to samo, jednak spóźnił się sekundę i nie trafił na ucho teczki, tylko na dłoń Małgorzaty.

- O, przepraszam - zmieszany natychmiast cofnął rękę - chciałem ci tylko pomóc. To bardzo ciężkie.

- Dzięki. - Małgorzata, widząc jego strapioną minę, roześmiała się. - Możesz postawić tam, przy fotelu?

Karol bez zwłoki przeniósł teczkę we wskazane miejsce i wrócił do stołu z oczami wbitymi w podłogę. Jego widocznego zażenowania Małgorzata już jednak nie dostrzegła. Zabrała się do przeglądania akt, i tym samym Karol całkiem zniknął jej sprzed oczu. Na szczęście, na jego talerzu zostało jeszcze całkiem sporo golonki.

Małgorzata przerzucała dokumenty przez dłuższą chwilę, aż w końcu wybrała jedną teczkę, z zeznaniami matki zamordowanej dziewczyny, i zaczęła czytać.

## **ROZDZIAŁ 14**

Renata Zasławska nie darzyła Jacka Jareckiego szczególną sympatią. Jeśli chodzi o ścisłość - nie darzyła go sympatią w ogóle. Nie mogła uwierzyć, gdy córka powiedziała jej, że się zakochała w żonatym mężczyźnie z dwójką dzieci. Kiedy zaś usłyszała, kim jest ten mężczyzna, natychmiast nabrała przekonania, że nic dobrego z takiego romansu nie może wyniknąć. Wszelkie próby zniechęcenia Moniki do tego związku kończyły się niepowodzeniem. Zasławska rozmawiała z Jackiem tylko raz. Zgodziła się, bo Monika nalegała, twierdząc, że musi w końcu poznać ojca jej dziecka. Miała nadzieję, że po tej przykrej dla obojga rozmowie człowiek ten już nigdy nie odważy się zapukać do jej drzwi, kiedy więc w poniedziałkowe

popołudnie zobaczyła Jacka Jareckiego na progu swego domu, jej zaskoczenie nie było udawane.

- Dzień dobry, jest Monika? - zapytał Jacek.

- A miała być? - odburknęła Zasławska, nie racząc nawet odpowiedzieć „dzień dobry” ani tym bardziej zaprosić Jacka do środka.

- Nie, miała być w domu - odpowiedział Jacek niezrażony - ale tam jej nie ma.

- Jak pan wie doskonale, moja córka jest już dorosła i nawet gdybym chciała, trudno ją upilnować - matka Moniki cedziła każde słowo.

- Niech pani sobie daruje te złośliwości. Nie było jej również w pracy, chociaż miała zaplanowane ważne spotkanie, nie dała znaku życia, nie można się do niej dodzwonić.

- Miała jechać na weekend do koleżanki na wieś - poinformowała Zasławska, trochę innym tonem.

- Sprawdziłem. Nie była.

- Może... sama nie wiem. - Matka Moniki zaczęła trochę się niepokoić.

- Ma pani klucze do jej mieszkania?

- A pan nie ma?

- Mój komplet został u Moniki, zapomniałem zabrać.

- Kasiu! - Zasławska krzyknęła w głąb mieszkania. Po chwili drzwi od pokoju otworzyły się i stanęła w nich jej młodsza córka. - Kasiu, poszukaj kluczy od mieszkania Moniki.

- Nie muszę szukać, nie mamy tych kluczy. - Kasia wyszła do przedpokoju i zauważyła stojącego wciąż za drzwiami Jacka. - O, cześć, co ty tutaj robisz?

- Cześć, Monika zginęła.

- Jak to zginęła?

- Boże, zadzwońmy gdzieś, na pogotowie albo na policję! - Matka Moniki była już poważnie zdenerwowana.

- Mamo, bez paniki, Jacek na pewno wie, gdzie można znaleźć Monikę.

- Nie wiem, myślałem, że właśnie od was się czegoś dowiem.

- Boże, róbmy coś, przecież gdyby miała wyjechać na dłużej, na pewno by komuś dała znać - gorączkowała się matka.

- Jedźmy do niej - zaproponował Jacek.

- Nie mamy kluczy - zauważyła przytomnie Kasia.

- Może już wróciła.

- Jedźmy - zdecydowała matka.

Stali we trójkę na korytarzu przed drzwiami Moniki - Jacek na wprost, Kasia z matką z boku. Jacek już od dłuższego czasu na zmianę to naciskał dzwonek, to stukał do drzwi. Niczego to nie dało, ale za to drzwi mieszkania naprzeciwko otworzyły się i stanął w nich starszy mężczyzna.

- Tej pani to ja już nie widziałem ze trzy dni - zagaił nie pytany.

Przez uchylone drzwi jego mieszkania wyskoczył duży czarny pies. Zaczął biegać po korytarzu, obwąchując zebranych tam ludzi ze swą codzienną dociekliwością. Musiał chyba rozpoznać Jacka, bo nagle zatrzymał się przed nim i cicho zapiszczał. Ponieważ w ten sposób nie udało mu się zwrócić na siebie uwagi, zaczął nachalnie trącać nosem kanty Jacka spodni, a gdy i to nie przyniosło rezultatów - zaszczekał. Nie doczekawszy się żadnej reakcji, rozszczękał się na dobre.

- Niech pan zabierze tego kundla! - Jazgot psa wyprowadził Jacka z równowagi.

- Tylko nie kundla, tylko nie kundla. Lulek, do domu, nie daj się obrażać.

Pies niechętnie schował się do mieszkania. Sąsiad zamknął go w pokoju, a sam szybko wrócił na korytarz. Jacek zaczął szarpać za klamkę i walić pięścią w drzwi.

- Ma pan jakiś łom? - zapytał stojącego obok mężczyznę.

- A co to, ja łomiarz jestem? - odburknął sąsiad.

- Chce pan wyważyć drzwi? - Matka Moniki nie wydawała się zachwycona takim pomysłem.

- A mamy inne wyjście?

- Może znajdziemy te klucze?

- Nie znajdziemy. Moje gdzieś zginęły. Nie rozumie pani? Nie ma innych kluczy.

- Może gdzieś wyjechała?

- Mamo, już to przerabialiśmy - wtrąciła się stojąca do tej pory cicho Kasia.

- Dobrze, niech pan wyważy - Zasławska zgodziła się wreszcie.

Jacek natarł na drzwi całym swoim ciężarem. Mimo kilku ataków drzwi ani drgnęły. Przerwał na chwilę, żeby odsapnąć.

- Co się pan tak gapi?! - wylał swą złość na sąsiada. - Pomógłby pan, jak pan tu już stoi.

- Nie szkoda drzwi? - zapytał sąsiad retorycznie, nie ruszając się z miejsca. - Lepiej słuszarza wezwać.

Jacek zlekceważył radę i z jeszcze większą determinacją zaczął mocować się z drzwiami.

- Może rzeczywiście ślusarza - poparła sąsiada Kasia. Jacek wziął rozpęd i runął na drzwi... i jeszcze raz, i jeszcze... w końcu z rezygnacją oparł się o framugę. W tej samej chwili dało się słyszeć głuchy trzask i wreszcie, nieoczekiwanie, drzwi puściły.

Jacek pierwszy wbiegł do środka. Już od progu zaczął nawoływać Monikę. Odpowiedziała mu głucha cisza. Zajrzał do kuchni, potem do salonu, do sypialni, na samym końcu otworzył łazienkę. Znieruchomiał, wpatrując się w coś przez dłuższą chwilę, aż w końcu zatrzasnął drzwi. Oparł się plecami o ścianę, powoli osunął się na podłogę i przykucnął, chowając twarz w dłoniach. Matka Moniki zatrzymała się w przedpokoju w pół kroku, tuż za nią stanęła Kasia.

- Wyjdźcie stąd - powiedział Jacek cicho. - Lepiej wyjdźcie na korytarz.

- Co się stało? Dlaczego? Niech się pan odsunie. - Matka Moniki usiłowała przedostać się do łazienki.

- Kasiu, proszę cię, wyjdź. - Jacek wstał i przytrzymał Kasię za ramiona.

- Co pan - matka Moniki nie zamierzała podporządkować się komukolwiek. - Proszę natychmiast mnie tam wpuścić! - Odepchnęła Jacka i otworzyła drzwi.

- Co się stało? Ona tam jest? - próbowała dowiedzieć się czegoś Kasia.

- Nie idź tam lepiej. - Jacek objął Kasię ramieniem i udało mu się wyprowadzić ją na korytarz. W tej chwili z łazienki dobiegł przeraźliwy krzyk.

- Mamo! - Kasia próbowała wyrwać się z objęć Jacka, by pobiec za matką. - Monika, jesteś tam?

- Ona nie żyje!

- Skąd wiesz!?! Trzeba ją ratować! Dlaczego jej nie ratujesz! Zrób coś!

- Już za późno.

- Skąd wiesz, że za późno! Nawet tam nie wszedłeś!

- Uspokój się. - Jacek chciał przytulić Kasię, ale mu się wyrwała.

- Ten pan tu był w piątek, koło północy - do rozmowy czujnie wtrącił się sąsiad, wciąż stojący z boku. - Widzieliśmy go z Lulką.

- Tylko dzwoniłem, nie miałem kluczy - Jacek niepotrzebnie zaczął się tłumaczyć.

- A co pan tak dopiero na końcu do tej łazienki? - sąsiad stał się nagle dociekliwy.

- A kiedy miałem? O co panu chodzi?

Na korytarz wyszła matka Moniki. Podeszła wolno do Jacka i popatrzyła mu w oczy. Jacek nie wytrzymał spojrzenia i odwrócił twarz.

- Nigdy ci tego nie daruję - powiedziała cicho. - Zniszczę cię, tak jak ty zniszczyłeś moje dziecko.

- Mamo! - Kasia rzuciła się matce na szyję i zaczęła szlochać.

Sąsiad opuścił na chwilę stanowisko obserwacyjne na korytarzu, przymknął drzwi swojego mieszkania i sięgnął po słuchawkę telefonu.

## ROZDZIAŁ 15

Karol już od dłuższego czasu wiercił się na skrzypiącym krześle, usiłując w ten sposób przypomnieć Małgorzacie o swojej obecności, ale nie przynosiło to pożądanego efektu. Zdążył już kilka razy obejrzeć wszystkie wiszące na ścianach obrazy, utrzymane w tej samej stylistyce, więc pewnie namalowane przez jednego autora, i zanotował w pamięci, aby koniecznie zapytać o jego nazwisko. Docenił wysiłki Małgorzaty włożone w niebanalne urządzenie wnętrza, choć nie od razu, bo jej poczucie smaku początkowo wydało mu się zbyt wyrafinowane. Dopiero po głębszej analizie doszedł do wniosku, że karminowe zasłony i soczysta zieleń dywanu nie stanowiły dysonansu, ale ciekawie się uzupełniały, podobnie jak dziewiętnastowieczna serwantka i równie stare krzesła współgrały idealnie z nowoczesnymi meblami z Ikea. Jeszcze raz ogarnął pokój wzrokiem, kończąc na stole, na którym na trójkątnym czerwonym talerzu, niczym rekwizyt do dzieła „martwa natura z...” leżała precyzyjnie obgryziona kość goleniowa. Obok stała opróżniona do końca butelka po czerwonym winie.

Karol westchnął i zaczął wpatrywać się w Małgorzatę intensywnie, licząc, że kiedyś wreszcie podniesie głowę znad papierów, które niewątpliwie zajmowały ją bardziej niż jego towarzystwo. Stan taki w ich wzajemnych relacjach nie był jednak niczym nowym, nie czuł się więc nawet specjalnie zawiedziony. Chrząknął głośno, mając nadzieję, że może przynajmniej w ten sposób uda mu się wreszcie zwrócić na siebie uwagę. Nie na wiele się to zdało. Chrząknął jeszcze raz, aż w końcu zdecydował się zadziałać w sposób bardziej konwencjonalny.

- Pyszna kolacja. Naprawdę.

- O! - Małgorzata podniosła nareszcie wzrok znad pliku kartek. - Poradziłeś sobie. - Zobaczyła pusty talerz i ucieszyła się. - Naprawdę ci smakowało? Na początku wyglądałeś tak jakoś... nieszczególnie.

- Wiesz, ja po prostu nigdy nie jadłem golonki, a teraz dzięki tobie będzie to moje ulubione danie.

- Uważaj, zaraz zacznę mieć wyrzuty sumienia. Poziom cholesterolu, te rzeczy, co na to twoje serce?

- Moje serce? Moje serce już dawno... - Wypite wino dodało Karolowi animuszu. - Małgorzato, czy możemy porozmawiać poważnie?

- O! - Małgorzata zauważyła również pustą butelkę po winie. - I z tym też sobie poradziłeś. Chyba cię nie doceniałam - dorzuciła ironicznie, jakby już to pierwsze zdanie nie wystarczyło, aby zmusić Karola do refleksji nad własnym postępowaniem.

- No tak... to znaczy... ech... - uwaga Małgorzaty wprowadziła szare komórki Karola w stan chwilowej zapaści.

- Ale przepraszam, przerwałam ci, a ty zacząłeś o czymś ważnym.

- No właśnie. Mogę włączyć jakąś muzykę? - Szare komórki obudziły się w porę.

- Jasne. Co chcesz.

Karol podszedł do wieży stereo, zadowolony, że w ten prosty sposób udało mu się ukryć zakłopotanie, i zaczął przeglądać płyty. Ominął pokaźny stosik z muzyką poważną i z drugiego, trochę mniejszego, wyciągnął płytę Dave'a Brubecka.

- Jak tam te akta, ciekawa sprawa? - Resztki instynktu samozachowawczego podpowiedziały Karolowi, żeby chwilowo nie poruszał najbardziej interesującego go tematu.

- Tak - przynęta chwyciła - ale wiesz, chyba brakuje jakiegoś tomu.

- Tyle dostałem, podobno wszystko.

- Jakaś dziwna numeracja.

- Może zginął?

- Może. Ale to by musiało coś znaczyć. Akta nie giną bez powodu... No cóż... Nie napiłbyś się kawy?

- Herbaty.

- Ja właściwie też. A może... mógłbyś się tym zająć, to ja bym jeszcze trochę poczytała?

- No... tak, oczywiście. - Karol nie potrafił zdobyć się na uwagę, że w tej sytuacji może by jednak było lepiej, gdyby sobie poszedł.

- Herbatę znajdziesz w kuchni, na tej wiszącej półce. Na pewno sobie poradzisz?

- Jak przypalę wodę, to cię zawołam.

- Dzięki. - Małgorzata uśmiechnęła się szeroko. - Dla mnie bez cukru.

Karol wstał i ruszył do kuchni. Co prawda przyrządzanie herbaty nie budziło w nim entuzjazmu, ale jeśli miały to być jedyny pretekst, żeby zostać tu dłużej - postanowił go wykozystać. Gdy tylko zniknął z pola widzenia, Małgorzata natychmiast sięgnęła po akta.

Młodszy aspirant Hubert Dziubiński miał tego dnia wyjątkowego pecha, chociaż aż do wieczora w ogóle się na to nie zanosilo. Skończył pracę o szesnastej, wrócił do domu, wziął prysznic i za pomocą łatwo zmywalnego lakieru przefarbował włosy na czerwono. Nałożył koszulkę z napisem Sex Pistols, czarne, krótkie leginsy i właśnie miał wyjść na koncert zespołu „Hermetyczne Fujary”, kiedy zadzwonił telefon. Coś go podkusiło, żeby odebrać, i to był błąd. W sąsiednim bloku zamordowali dziewczynę i dyspozytor poinformował go, że na razie nikt się nie może tym zająć, nie ma więc rady, wypadło na niego.

Dziubiński postanowił udać się tam natychmiast, i to był jego drugi błąd, niestety, nie ostatni tego wieczora. Koncert miał być dopiero o dwudziestej. Aspirant miał nadzieję, że do tego czasu przyślą kogoś jeszcze, a jemu uda się przekazać obowiązki w godne ręce i wyrwać z miejsca zdarzenia tak szybko, jak się da.

Błyskawicznie dotarł pod wskazany adres, rozejrzał się po korytarzu i energicznie ruszył w kierunku stojącego w otwartych drzwiach, wypatrującego kogoś starszego mężczyzny.

- Dzień dobry, to tu ten trup? - zapytał bez ceregieli.

- Tam - sąsiad wskazał na mieszkanie naprzeciwko. - Czekamy na kompetentne organa.

- Ja jestem kompetentnym organem.

- Że niby co?

- Jestem z policji. - Aspirant Dziubiński wyciągnął legitymację i machnął nią przed nosem mężczyzny.

- Mogę jeszcze raz? - Nieufność sąsiada była w pełni uzasadniona, biorąc pod uwagę, że wygląd młodzieńca odbiegał znacznie od powszechnie uznanego wizerunku policjanta.

- A pan jest kto?

- Solica Henryk. To ja dzwoniłem.

Dziubiński jeszcze raz wyciągnął legitymację i trochę dłużej przytrzymał przed nosem rozmówcy.

- Tamten pan - Solica wskazał na Jacka stojącego w głębi mieszkania - znalazł zwłoki... swojej kochanki - dokończył szeptem.

Aspirant z zaciekawieniem popatrzył na Jacka.

- Czy to ten...?

- Ten sam.

- Ale jaja!

Dziubiński natychmiast przestał interesować się Solicą, podszedł do stojącego u wejścia do pokoju Jacka i podał mu rękę.

- Dzień dobry, policja, aspirant Dziubiński.



- Jarecki.

- Pan tu mieszka?

- Nie, tylko moja... przyjaciółka.

- Jak się nazywa?

- Zasławska, Monika Zasławska.

- Aha. - Aspirant w zadumie pokiwał głową. - Nie znam - zdziwił się po chwili. - Ona też gra w filmach?

- Nie.

- Szkoda. - Dziubiński szczerze się zmartwił. - O rany, ale tu gorąco. - Westchnął, ocierając dłonią pot z czoła, po czym wytarł rękę w leginsy. Rozejrzał się i ruszył przez pokój, aby się dostać do balkonowego okna. Sięgnął do klamki, chcąc ją przekręcić, ale okazało się, że balkon wcale nie jest zamknięty - wystarczyło lekko pociągnąć i drzwi otworzyły się szeroko.

- A w tym filmie, *Ostatni skok* - Dziubiński znowu zwrócił się do Jacka, jakby w pokoju nie było nikogo innego - to pan sam robił te wszystkie sztuczki czy kaskader?

- Wie pan - Jacek podniósł głos - to chyba nie jest dobry moment na takie rozmowy.

- OK, no problem.

Aspirant podniósł ręce w geście pojednania. Jego spojrzenie padło niechcący na stojące tuż przy oknie kobiety. Ich twarze nie wydały mu się znajome, więc odwrócił wzrok i ruszył w kierunku Jacka. Kasia, która przez cały czas przysłuchiwała się rozmowie, zastąpiła mu drogę.

- Pan jest z policji?

- Tak - dopiero gdy wpadł na dziewczynę, aspirant zwrócił na nią uwagę - a nie mówiłem?

- A ja myślałam, że z fanklubu Jacka Jareckiego. Wydawało mi się - wskazała na okno - że na miejscu zbrodni niczego nie można ruszać.

- Proszę pani, od myślenia to ja tutaj jestem. Zaraz przyjedzie ekipa techniczna i tym wszystkim się zajmie. A poza tym, jakiej zbrodni? Skąd pani wie, że tu popełniono zbrodnię? Ma pani z tym coś wspólnego?

Kasia spojrzała na niego osłupiała. Aspirant skorzystał z okazji i wyciągnął z plecaka notes z długopisem.

Przez chwilę wyglądało, że zaraz zacznie notować w nim istotne przemyślenia lub chociaż odpowiedzi zgromadzonych w pokoju świadków, było to jednak wrażenie błędne i do tego krótkotrwałe. Dziubiński ponownie zbliżył się do Jacka.

- Czy mógłbym chociaż prosić o autograf? Dla młodszego brata.

Podsunał notatnik Jackowi, a ten podpisał go machinalnie.

- Pan jest... niepoważny. - Kasia miała ochotę rzucić się na Dziubińskiego z pięściami. - Nie mógłby się pan zająć...

- Proszę pani - aspirant nie pozwolił jej skończyć - ja wiem, czym mam się zajmować. Zostałem tu specjalnie wezwany, po godzinach - wyrecytował, akcentując każde słowo. - Jestem wcześniej, bo akurat mieszkam w pobliżu. Rutynowe czynności zaczniemy, kiedy przyjedzie ekipa techniczna, która zresztą... - Popatrzył na rękę, na której nie było zegarka. - Ma pan zegarek? - zapytał Jacka.

- Wpół do szóstej.

- ...która zresztą się spóźnia.

- Czy mógłby pan w takim razie podjąć czynności nierutynowe? - Kasia aż kipiała ze złości i przed atakiem na aspiranta powstrzymały ją tylko dobiegające zza okna dziwne okrzyki.

- Dziuba! Dziuba!

Krzyki te jednak zupełnie nie zdziwiły aspiranta Dziubińskiego. Wszedł szybko na balkon i wychylił się głęboko. Na ulicy stało trzech młodych ludzi w strojach tak awangardowych, że na ich tle koszulka z napisem Sex Pistols i czerwone włosy aspiranta wyglądały zupełnie niewinnie.

- Niestety, chłopaki. Jest robota. Może później - bez większej nadziei w głosie poinformował swych towarzyszy aspirant Dziubiński.

## **ROZDZIAŁ 17**

Małgorzata podniosła wzrok znad lektury, ponieważ coś ją nagle zastanowiło. Dopiero po dłuższej chwili uświadomiła sobie, że w mieszkaniu panuje podejrzana cisza. Dave Brubeck już dawno przestał grać, nie słychać było nawet dyskretnego siorbania herbaty ani szelestu przewracanych kartek.

Stół był posprzątaný po kolacji, nie zaplątała się na nim nawet jedna, zapomniana kruszynka chleba. Małgorzata przez chwilę przypuszczała nawet, że kolacja z Karolem była jedynie wytworem jej wybujałej wyobraźni, gdy zauważyła, że na oparciu krzesła wisi szara, niewątpliwie męska marynarka. Rozejrzała się po pokoju uważnie.

Na podłodze koło kanapy leżał rozsypany stosik magazynów „Gazety Wyborczej”. Na kanapie w dziwnej pozie siedział Karol z jednym egzemplarzem magazynu w ręce, a raczej,

jeśli chodzi o ścisłość, na kolanach, bo gazeta wysunęła mu się z dłoni. Tak naprawdę Karol spał na kanapie, strudzony przeżyciami minionego dnia i z lekka oszołomiony leczniczym działaniem czerwonego wina. Zastygł w pozycji mało komfortowej. Głowa zwisała mu ciężko niemal wsparta na piersi, za to krawat dziwnym trafem nie dotrzymywał towarzystwa głowie - zamiast zachowywać się zgodnie z prawem ciężenia, zarzucił się swojemu właścicielowi na plecy.

Małgorzata uśmiechnęła się do siebie. Widok kolegi, dbającego jak mało kto o swój poprawny wizerunek, w tej mało reprezentacyjnej pozycji najpierw ją rozbawił, a potem nawet rozczulił. Karol, podobnie zresztą jak Małgorzata, cieszył się opinią niezwykle sumiennego i pracowitego prokuratora. Nie bez powodu umieszczono ich razem w tym samym pokoju. Inni koledzy, lubiący kończyć pracę o szesnastej, czuli się w towarzystwie odmieńców - którzy siedzieli w biurze dopóty, dopóki nie przegoniły ich sprzątaczkі - trochę nieswojo. Między Karolem i Małgorzatą nawiązała się nawet pewna niewidoczna, lecz niezwykle silna nić współzawodnictwa. Choć zajmowali się zwykle innymi sprawami - ona specjalizowała się w aferach gospodarczych, do niego trafiały najczęściej sprawy kryminalne - oboje mieli na swym koncie mniej więcej taki sam, oscylujący niebezpiecznie wokół zera odsetek przegranych procesów.

I teraz ten postrach wszystkich mafiozów i złodziei spał niewinnie na jej kanapie. W pierwszej chwili chciała go obudzić, ale pod wpływem nagłego impulsu zmieniła zamiar. Wyjęła z szafy gruby wełniany koc i troskliwie okryła nim Karola. Znowu uśmiechnęła się do siebie i zdjęła okulary z jego nosa. Przez dłuższy czas zastanawiała się, czy wypada jej zrobić jeszcze jeden dobry uczynek. Po namyśle doszła do wniosku, że dobre uczynki zawsze robić wypada, bo uśmiechnęła się po raz trzeci, delikatnie ściągnęła Karolowi buty i ułożyła go wygodnie na kanapie. Karol zamruczał coś przez sen i przez chwilę miała wrażenie, że zabrzmiało to jakby „kocham cię, Małgorzato”, ale ponieważ pomruk się nie powtórzył, uznała, że się przesłyszała. Usiadła ponownie w fotelu i wzięła do ręki kolejną teczkę, ale zanim znowu zaczęła czytać, popatrzyła na Karola ciepło i uśmiechnęła się jeszcze raz.

## **ROZDZIAŁ 18**

Aspirant Dziubiński krążył po mieszkaniu Moniki, starając się sprawiać wrażenie, że oględziny miejsca zbrodni pochłaniają go całkowicie.

- O, torebka - poczynił pierwsze tego dnia trafne spostrzeżenie. Odkrycia nie zawdzięczał jednak wrodzonej przenikliwości, lecz zwyczajnemu potknięciu, gdy omal na nią nie

nadepnął. Torebka stała na podłodze, na samym środku pokoju. Wokół niej, szeroko porozrzucane, leżały wysypane ze środka drobiazgi: szminka, lusterko, dokumenty.

- Która godzina? - aspirant zapytał Jacka, jakby wąż torebki nagle przestał go interesować.

- Za piętnaście szósta.

- Spóźniają się, kurcze blade. Nogi z dupy powyrywam. No dobrze - Dziubiński postanowił wziąć się wreszcie do roboty - jest tu jakiś aparat fotograficzny?

- Chyba był...

Jacek rozejrzał się po pokoju. Aparat leżał na komódce, na samym wierzchu.

- Jest. - Jacek wziął aparat do ręki.

- Film jest w środku?

- Nie wiem, niech pan sprawdzi.

- Może pan? Wolę nie ryzykować. Jakby się naświetliło... Jacek otworzył aparat.

- Nie ma.

- A nie ma pan jakiegoś nowego filmu?

Jacek rozejrzał się znowu. Na tej samej komódce leżała również rolka filmu.

- Tam coś leży.

Dziubiński podszedł do komódki i wyraźnie się ucieszył.

- No to rekwiruję.

Sięgnął po film, chcąc założyć go do aparatu. Z rolki wystawał zaledwie malutki koniczerek kliszy. Kilka razy próbował wydostać kliszę palcami, a gdy metoda ta nie przyniosła rezultatów, poradził sobie, używając zębów. Kiedy udało mu się wreszcie wysunąć odpowiednio długi kawałek filmu, załadował rolkę do aparatu i z zapalem zabrał się do fotografowania.

- A teraz wszyscy proszę wyjść z kadru - zarządził, choć nikt nie przesłaniał mu widoku. Przystawił wizjer do oka, ale nie był zadowolony z efektu. Cofnął się o dwa kroki i spróbował zrobić zdjęcie jeszcze raz. Cała podłoga ciągle nie mieściła się w kadrze, więc Dziubiński przysunął w kierunku torebki lusterko i szminkę, które leżały najdalej. Popatrzył przez wizjer i z satysfakcją nacisnął migawkę.

- A pana odciski palców? - Kasia obserwowała te poczynania z nieustającym zdziwieniem.

- Proszę pani, moje się nie liczą, ja jestem policja - odparł aspirant dumnie, po czym odwrócił się na pięcie. - Kolej na denatkę - dopiero teraz przypomniał sobie, po co właściwie został tu wezwany. - Gdzie znaleziono zwłoki?

- Tam. - Jacek machnął ręką zrezygnowany. - W łazience - sprecyzował, widząc, że policjant nie patrzy na niego, tylko robi zdjęcie Kasi.

- Niech pan przestanie! - Rozdrażniona dziewczyna chwyciła go za łokieć.

- Już, już. - Aspirant wyszarpnął rękę i ruszył do łazienki. - O w mordę! - dobiegł po chwili jego głos. - Ja cię kręcę!

Kilka razy przycisnął migawkę aparatu, nie przykładając tym razem szczególnej uwagi do kompozycji kadru. Szybko wyszedł z łazienki, w tym samym momencie, gdy do mieszkania zajrzał mężczyzna w białym kitlu.

- To tu? - zapytał lekarz zwięźle.

- A, jesteście nareszcie. - Aspirant wyraźnie się ucieszył.

Lekarz obejrzał się za siebie.

- Wydawało mi się, że jestem sam - powiedział głosem, który nawet przy wyjątkowo dobrych chęciach trudno było nazwać trzeźwym. - Powiedzieli, że jadę do trupa, to co się miałem spieszyć.

- Zajmijcie się denatką.

- Przepraszam. - Lekarzowi nie udało się opanować czknięcia. - Zaraz, zaraz, krów razem nie pasaliśmy.

- Pan nie od nas?

- A wy to kto?

- Policja.

- O kurde.

- A wy? To znaczy, a pan?

- Jestem Krzysztof - lekarz wyciągnął do aspiranta rękę na zgodę - i dziś mam imieniny.

- Wszystkiego najlepszego. - Dziubiński uścisnął jego dłoń. - To niech pan już się zajmie tym, co zwykle, a ja się zajmę... też tym, co zwykle. Ciało jest w łazience. - Wskazał ręką na otwarte drzwi i wrócił do pokoju.

Lekarz wszedł do łazienki i pochylił się nad zwłokami.

- No tak, trup - zawyrokował, nawet nie dotykając ciała. - Nie żyje! - krzyknął w głąb mieszkania. Nie doczekał się jednak reakcji na swoje spostrzeżenie, więc przyklęknął przy wannie, starając się oprzeć dłońią o krawędź. Na tym etapie świętowania imienin zachowanie równowagi przekraczało jednak jego siły. Ręka lekarza ześlizgnęła się z krawędzi wanny i trafiła prosto w ramię Moniki. Całym swym ciężarem oparł się o ciało dziewczyny tak, że jej głowa znalazła się pod wodą.

- Kurwa mać - zaklął zirytowany, gdy uświadomił sobie, że zamoczył sobie rękaw. - Nie, no ja nie mogę tak pracować. Ej, panie policjancie!

Na pomoc nie miał jednak co liczyć, bo przed chwilą przybyła Małgorzata, młoda, atrakcyjna i niewątpliwie żywa pani prokurator. Spowodowało to u „pana policjanta” kolejną zmianę priorytetów, jeśli chodzi o kolejność rzeczy, którymi warto się zajmować tego dnia. Lekarz musiał sam doprowadzić ciało Moniki do poprzedniej pozycji, co jednak w jego stanie nie było zadaniem łatwym. Po paru próbach poddał się i postanowił spokojnie poczekać na rozwój wypadków. Ledwo zdążył usiąść na podłodze, gdy aspirant Dziubiński wraz z Małgorzatą stanęli w drzwiach łazienki.

- Ja tak nie mogę. Może mi pan pomóc? - zaczął lekarz.

- Zaraz. - Aspirant wybiegł na korytarz za Małgorzatą, która w tym momencie, z powodu nagłego ataku mdłości, bardziej kwalifikowała się do udzielenia pomocy.

Lekarz czekał cierpliwie. Aspirant znów pojawił się w łazience, ale tylko po to, by wypłukać stojącą w umywalce filiżankę, nalać do niej wody i z powrotem wybiec na korytarz. Filiżanka w umywalce trochę zdziwiła lekarza, ale nawet nie próbował zastanawiać się nad tym, co zobaczył, bo aspirant właśnie wrócił i wreszcie znalazł dla niego trochę czasu.

- To co, wie już pan, kiedy nastąpił zgon?

- Ja tak nie mogę w tej wodzie, możemy coś z tym zrobić?

- Najlepiej spuścić. - Aspirant zdecydowanym ruchem wyciągnął korek z wanny; woda spływała szybko.

- No, teraz to nawet ją będzie można wyciągnąć - ucieszył się lekarz.

- To już - aspirant pierwszy chwycił za nogi dziewczyny - pan niech weźmie za ramiona.

Lekarz posłusznie wykonał polecenie. Razem bez trudu wyjęli ciało z wanny i ułożyli je na podłodze.

- No, teraz to ja mogę pracować. - Lekarz pochylił się nad ciałem.

- Która godzina?

- Siódma dziesięć.

- A ich ciągle nie ma! Teraz to już na pewno nie zdążę.

## **ROZDZIAŁ 19**

Za oknami było już widno. Karol otworzył oczy, ale zanim zdał sobie sprawę, że nie znajduje się w swoim mieszkaniu, i zanim zdążył wpaść z tego powodu w popłoch, jego uwa-

gę przyciągnęło coś, co nie miało prawa się zdarzyć. Po krawędzi kanapy, tuż przed jego nosem, przedfilowała ostentacyjnie biała myszka. Karol przetarł oczy, włożył okulary, które na szczęście znalazł na stoliku obok, popatrzył jeszcze raz na krawędź kanapy, ale myszki już tam nie było. Pomyślał więc, że sen miał tej nocy wyjątkowo głupi, i dopiero wtedy dotarła do niego groza sytuacji. Uświadomił sobie, że spędził noc u Małgorzaty, i przypomniał sobie, z jakiego kompromitującego go powodu do tego doszło. Przemknęło mu przez myśl tylko jedno honorowe wyjście z tak beznadziejnego położenia - zapaść się pod ziemię. Mieszkanie Małgorzaty znajdowało się jednak zdecydowanie poza obszarem sejsmicznym, na pomoc natury nie miał więc co liczyć. Pomyślał tylko - o Boże, co ja tu jeszcze robię! - ale zanim opracował plan ewakuacji, na ucieczkę było już za późno.

- Dzień dobry! - Małgorzata wyjrzała właśnie z kuchni i uśmiechnęła się do Karola przyjaźnie. - Kawa czy herbata?

- Wybacz! Ja naprawdę nie chciałem...

- Przepraszam, to moja wina. Powinnam cię obudzić, ale tak słodko spałeś.

Z ust Karola wydobył się tylko stłumiony jęk. Z opresji wybawił go niespodziewany dzwonek telefonu komórkowego.

- Jajecznicza na szynce czy bez niczego? - próbowała ustalić Małgorzata, ale Karol odebrał właśnie telefon i tak był tym przejęty, że tylko machnęła ręką i schowała się w kuchni.

- Karol! - w słuchawce zabrzmiał głos nie znoszący sprzeciwu.

- Mama?

- A niby kto? No nareszcie!

- Mama, ja przepraszam...

- No nareszcie udało ci się nie wrócić do domu na noc! - Matka wyrzucała z siebie słowa z prędkością godną niezapomnianej Hanka Bielickiej. - Trzydzieści sześć lat i pierwsza randka! Myślałam, że nie dożyję tej wiekopomnej chwili!

- Ale mama, nic nie było...

- Nic? Jak to nic? Cała noc i nic? Nie wyszło ci? Biedne dziecko. Może ja cię jednak umówię z moim psychoterapeutą?

- Ale mama, nawet nie próbowałem...

- To co ty tam robiłeś przez całą noc? Chyba nie czytaliście na głosy *Dni Turbinów*?

- To u nas nigdy nie było publikowane.

- Boże, i co ja mam z tobą zrobić! - Matka westchnęła. - No dobrze. Nie martw się. Tylko nie spóźnij się do pracy. Pa!

Karol popatrzył na zegarek. Było pięć po siódmej. Za późno, żeby wrócić do domu, wykapać się, przebrać i jeszcze zdążyć do pracy na czas.

- O Boże, przecież ja nie mam nawet szczoteczki do zębów - zatroskał się o swą higienę.

- Nie przejmuj się - Małgorzata wniosła właśnie do pokoju tacę z parującą kawą i postawiła ją na stole - mam gumę do żucia.

Karol znieruchomiał nagle, bo para wydobywająca się z filiżanek skierowała jego wzrok na szczyt kanapy znajdujący się na tej samej wysokości, w głębi mieszkania.

- Nie powiedziałaś, co wolisz, więc zrobiłam kawę, i na szynce.

- Kawę na szynce? - Myśli Karola wyraźnie nie nadały z przyswajaniem prostych informacji.

Małgorzata odwróciła się i odkryła, co sprawiło Karola w stan osłupienia.

- O, Wacek się znalazł - ucieszyła się wyraźnie, widząc spacerującą po kanapie białą mysz.

- Nie mówiłaś, że masz zwierzęta w domu - powiedział Karol z wyrzutem.

Małgorzata ułamała kawałek bułki i podeszła do kanapy:

- Chodź, Wacek, chodź.

Wacek jednak ani myślał jej słuchać. Machnął ogonkiem, odwrócił się i schował za kanapą.

- Nigdy mnie nie słucha - oznajmiła Małgorzata, nie wydając się jednak tym faktem przygnębiona. Wróciła do kuchni i przyniosła stamtąd talerze z jajecznicą, co spowodowało, że Karol przestał na chwilę rozmyślać, gdzie się znajduje i jak się tu znalazł, a przypomniał sobie, że jest głodny.

- Pycha! Słuchaj, po co ci właściwie te akta? - zapytał w przerwie między jednym kęsem a drugim.

- A właśnie, zapomniałabym ci podziękować. Trudno je było zdobyć?

- Nie było łatwo - odparł Karol dyplomatycznie. - Masz coś do tego faceta? - Nagłe zainteresowanie Małgorzaty innym mężczyzną trochę go zaniepokoiło.

- On do mnie ma... chce, żebym mu pomogła udowodnić, że jest niewinny.

Zainteresowania zawodowe Karol jeszcze był w stanie przeboleć.

- A wiesz - ciągnęła Małgorzata - odkryłam chyba, czego brakuje w tych aktach. Wydaje mi się, że nie ma zeznań Jareckiego. I chyba tylko ich.

- To duży problem?

- Właściwie żaden, on mieszka naprzeciwko.



- Co?! - Karol o mało się nie zakrztusił. - Tam gdzie ta wścibska staruszka? - W jego głowie znowu zapaliło się czerwone światełko.

- Dlaczego wścibska? Znasz ją?

- Skąd, tylko ją widziałem. I co? Pewnie chce się starać o odszkodowanie?

- Nic o tym nie mówił.

- Na pewno. Na pewno chodzi mu o kasę - zabrzmiało to brutalnie, ale Karol nie zamierzał oszczędzać potencjalnego rywala. - Wiesz, ile to by było? Za dziesięć lat? Dla kogoś, kto wcześniej miał takie zarobki?

- Nie, nie sędzę.

- No to po co mu to, przecież już został ułaskawiony.

- Wiesz, honor, prawda, sprawiedliwość, takie tam duperele. - W głosie Małgorzaty zabrzmiała ironia.

Karol zamilkł, uznając, że jego wyrafinowana strategia znowu okazała się błędna.

- A maszynki do golenia pewnie też nie masz? - przezornie zmienił temat.

- Nie mam. Ale mogę ci uprasować spodnie.

Karol popatrzył na swoje spodnie ze zgrozą.

## **ROZDZIAŁ 20**

Karol dałby wiele, aby wychodząc tego poranka od Małgorzaty, nie natknąć się na panią Zofię. Po przejściach minionego wieczoru miał jednak wrażenie, że ostatnio ciąży nad nim jakieś fatum, więc i tym razem na przychylność losu specjalnie nie liczył. Wyjął słoneczniki z skrzynki z gazomierzem i pomyślał, że byłoby dobrze, gdyby przynajmniej udało mu się opuścić budynek niepostrzeżenie. Zdołał jakoś wyjść z klatki. Przemknął chyłkiem koło śmietnika na podwórku, wrzucając tam przywiedle już kwiatki, i chwilę potem znalazł się na ulicy. Oddychając z ulgą, ruszył w kierunku ministerstwa, do którego z mieszkania Małgorzaty można było dotrzeć piechotą w kilka minut. Ledwo zdążył się ucieszyć, że udało mu się oddalić łatwo i bezpiecznie, gdy spojrzał w witrynę znajdującego się w tym samym budynku sklepu spożywczego i znieruchomiał. Przy ladzie stała pani Zofia. Płaciła właśnie za zakupy i powoli odwracała twarz w kierunku drzwi. Instykt samozachowawczy w porę wysłał do mózgu Karola sygnał do ucieczki, jednak jego nogi zareagowały na ten impuls z pewnym opóźnieniem. Pani Zofia zdążyła popatrzeć przez okno. Mignęła jej sylwetka młodego mężczyzny, jak jej się wydawało - wczorajszego gościa Małgorzaty. Pewności jednak nie miała, więc szybko zgarnęła zakupy z lady i wyszła na ulicę. Młody człowiek odszedł jednak na tyle da-

leko, że ustalenie jego tożsamości nie było możliwe. Zawiedziona wróciła do domu. Zajrzała jeszcze raz za skrzynkę z gazomierzem. Była przekonana, że gdy wychodziła rano, widziała wystające stamtąd kwiaty, a teraz w schowku nie było niczego. To niewątpliwie musiało coś znaczyć i pani Zofia pomyślała, że warto by wyjaśnić co.

Wszystkie zakamarki w Ministerstwie Sprawiedliwości Karol znał na pamięć już od wielu lat, ale nigdy nie przypuszczał, że wiedza ta okaże się przydatna w takim celu.

Wyszedł z windy na ostatnim piętrze i uważnie rozejrzał się dookoła. Na korytarzu nie było nikogo, więc zdecydowanym krokiem wszedł do męskiej toalety. Zamknął za sobą drzwi i upewnił się, że w żadnej z kabin nikogo nie ma. Wyciągnął z teczki piankę w sprayu i jednorazową maszynkę do golenia, zakupione w kiosku na dole. Golił się szybko, z niepokojem zerkając w kierunku drzwi. Starannie opłukał twarz i otarł nadmiar wody papierem toaletowym. Kiedy zerknął w lustro i pozytywnie ocenił swe odbicie, schował przybory do teczki. Dopiero wtedy poczuł się trochę pewniej i wyszedł na korytarz.

Zjechał windą na pierwsze piętro, gdzie mieściły się biura najważniejszych osób w tym budynku. Zawahał się chwilę, zanim nacisnął klamkę w wielkich, dwuskrzydłowych drzwiach i z mieszanymi uczuciami wszedł do sekretariatu ministra. Sekretarka przywitała go uśmiechem i przyjaznym skinieniem głowy, co oznaczało, że może od razu wejść do gabinetu ministra. Na taki obrót spraw w ogóle nie był przygotowany. Liczył, że tak jak zawsze będzie musiał odsiedzieć w kolejce do szefa przynajmniej pół godziny i wtedy zdąży się przygotować do rozmowy. Zdezorientowany zatrzymał się w pół kroku.

- No, niech pan już idzie - pogoniła go sekretarka. - Czeka na pana.

Czeka na pana? Niewiarygodne. Karol zajrzał do gabinetu podejrzliwie. Nie lubił tego miejsca. Czerwony dywan prowadzący przez środek ogromnego, wysokiego na cztery metry pokoju do wielkiego, eklektycznego biurka nie ułatwiał kontaktów w relacji podwładny-przełożony. Ponadto zwalista postać szefa górująca nad tym otoczeniem nieodmiennie przypominała mu „Ojca Chrzestnego”, co akurat w tym miejscu nie było najszcześniejszym skojarzeniem.

- Dzień dobry - zagaił konwencjonalnie, stojąc w drzwiach.

- Proszę, proszę, niech pan wejdzie - minister odezwał się podejrzanie uprzejmie. - I niech pan zamknie drzwi.

To też było dziwne. Do tej pory wszystkie sprawy, w związku z którymi zdarzyło się Karolowi bywać w tym gabinecie, załatwiane były zawsze przy otwartych drzwiach i audien-

cja u ministra nie trwała nigdy dłużej niż pięć minut. Karol zamknął za sobą drzwi i ruszył w kierunku Wolińskiego. Zatrzymał się tuż przy biurku i widząc, że minister zajęty jest podpisywaniem sterty dokumentów, dyskretnie wycofał się o pół kroku.

- Może ja przyjdę później?

- Ale pan niecierpliwy.

- Nie, nie - Karol trochę się zmieszał - nie chciałem tylko przeszkadzać.

- Już kończę - oznajmił Woliński, ale sterta dokumentów wcale nie zrobiła się od tego mniejsza. - Tylko niech mi pan nie zasłania światła.

Karol, zgodnie z zaleceniem, ustawił się z boku. Oceniając, że uporanie się z oficjalną korespondencją zajmie ministrowi jeszcze kilka minut, zaczął rozglądać się po gabinecie. Jego wzrok padł na poustawiane w różnych miejscach biurka fotografie w ramkach. Wcześniej nigdy ich nie widział, bo po pierwsze nie miał na to czasu, a po drugie stały przodem do ministra, a nie do odwiedzającej go osoby. Zerknął na zdjęcia ciekawym, kto też dostąpił zaszczytu codziennego przebywania z jego szefem. Fotografie nie przedstawiały jednak Wolińskiego z Lechem Wałęsą, prezydentem USA ani nawet papieżem. Nie było też na nich żony ministra, gdyby nawet aktualnie jakąś miał, ani jego dzieci. Każda fotografia na biurku przedstawiała w różnych ujęciach tego samego, czarnego kota. Karol wpatrywał się w zdjęcia, nie mogąc opanować zdumienia. Woliński zerknął na niego w przerwie między przerzuceniem jednego papieru a podpisaniem drugiego i wybuchnął śmiechem.

- To mój ulubieniec - oznajmił konfidencjonalnie. - Mądrzejszy niż połowa prokuratorów, o adwokatach nie wspomnę. Co, nie lubi pan zwierząt?

- Lubię - Karol trochę ochłonął - zwłaszcza te mądrzejsze od adwokatów. Ten pewnie chodzi na dwóch łapach i nazywa się Behemot?

- Ciepło, ciepło - Woliński znowu się roześmiał, odkrywając z pewnym zdumieniem, że jego podwładny nie jest zupełnie pozbawiony poczucia humoru - ale to by było zbyt banalne. Nazywa się Myszkina... No dobrze. - Minister odłożył pióro. - Niech pan powie, co tam u naszej pięknej znajomej? Dalej jest w takim buntowniczym nastroju?

- Chyba trochę jej przeszło.

- Nie wie pan, czy nie dzwoniła czasem do tej redaktorki z telewizji?

Woliński starał się robić wszystko, aby pytanie to wypowiedziane zostało lekkim i niezobowiązującym tonem, ale Karol łatwo odgadł, że to właśnie z tego powodu został wezwany na dywanik z samego rana.

- Nie, raczej nie - powiedział ostrożnie.

- Raczej czy na pewno?

- Nie sędzę. Bardzo ją wciągnęła ta sprawa Jareckiego.  
- Ma jakieś swoje powody, żeby się tym zajmować?  
- Nie... Chyba chce po prostu udowodnić, że on jest niewinny, a przy tym wykazać, że sama potrafi być nie tylko prokuratorem.

Woliński z zadowoleniem pokiwał głową.

- A wie pan, że u mnie na biurku leży już pańska nominacja?  
- Tak? Dziękuję. Nie wiem, czy zasłużyłem...  
- He, he. No, właśnie musi pan zasłużyć. - Woliński wziął pióro do ręki i wrócił do swoich papierów. - Jeszcze nic nie podpisałem. Tylko powinien pan przestać nadużywać słów „raczej” i „chyba”. I niech pan wpada częściej.

## **ROZDZIAŁ 21**

Było kilka minut po ósmej, kiedy Małgorzata stanęła przed drzwiami pani Zofii i naciśnęła dzwonek. Otworzył Jacek. Na jego twarzy znać było jeszcze resztki snu, ale widok Małgorzaty skutecznie doprowadził go do przytomności.

- Dobrze - powiedziała Małgorzata bez żadnych wstępów.

Jacek, który zdążył się już pogodzić się z faktem, że przypadkowe sąsiedztwo z byłą przedstawicielką organu ścigania nie będzie jednak miało wpływu na jego dalsze losy, popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- No dobrze, zgadzam się.

Jacek sprawiał wrażenie, jakby się ciągle nie obudził, więc Małgorzata zadziałała w sposób bardziej zdecydowany.

- Mogę wejść?

- Tak, oczywiście. - Jacek otrząsnął się i otworzył szeroko drzwi. Małgorzata, dobrze obeznana w topografii mieszkania sąsiadki, ruszyła prosto do kuchni.

- Napije się pani kawy albo herbaty?

- Nie, dziękuję. - Małgorzata usiadła przy stole. - Przed chwilą jadłam śniadanie.

- Dobrze, że mama wyszła, na pewno by się pani tak łatwo nie wymigała. - Jacek odzyskał dawną swobodę. - Zostawiła mi, widzę, smakołyki. Ciągle traktuje mnie jak dziecko. Proszę - uśmiechnął się i przesunął w kierunku Małgorzaty stojący na brzegu stołu talerzyk z obranymi pomarańczami - może chociaż mały deser?

Małgorzata wzięła jedną cząstkę, kiwając głową w podziękowaniu.

- Uwielbiam pomarańcze - ciągnął Jacek wesoło. - Odbiję sobie teraz za te dziesięć lat i będę jeść na śniadanie, obiad i kolację.

- Rozumiem, że nie dostawał pan paczek od żony - zażartowała Małgorzata, naśladując ton jego głosu.

- Ostatni raz widziałem ją przed procesem. - Jacek natychmiast spoważniał.

- Jak to? Nie odwiedzała pana? A dzieci?

Jacek bez słowa sięgnął po pomarańczę leżącą obok w koszyku i zaczął ją obierać. Dopiero po dłuższej chwili zdecydował się na odpowiedź.

- Dzieci nie widziałem jeszcze dłużej. Natychmiast wystąpiła o rozwód. Oczywiście zostałem pozbawiony praw rodzicielskich. Nawet nie wiem, jak teraz wyglądają. Czasami... widzę je w snach, ale nie mają twarzy, tylko... takie maski, jak w antycznym teatrze. Podchodzę do nich, chcę przytulić, zdzieram te maski, a tam nie ma nic. Pustka. I wtedy budzę się zlany potem.

- Nie próbował pan jakoś się z nimi skontaktować?

- No pewnie! Ale moja żona dobrze zatarła za sobą ślady. - Jacek mówił z coraz większym podnieceniem i coraz energiczniej obierał pomarańczę. - Wyjechała z miasta, zmieniła nazwisko i nikomu nie zostawiła adresu. Po prostu znikła.

- Aż tak? Tak bardzo chciała się od pana uwolnić?

- Myślę, że miała jeszcze inny powód.

- Jaki?

Jacek ciął skórkę pomarańczy z taką zaciętością, jakby to ona była winna wszystkich jego nieszczęść. W końcu zamiast w pomarańczę trafił nożem we własny palec. Znieruchomiał nad stołem i patrzył zdumiony, jak duże krople krwi kapią na talerz i owoce.

- O Boże - na widok krwi Małgorzata wpadła w panikę - niech pan z tym szybko coś zrobi.

- To nic poważnego. - Gwałtowna reakcja Małgorzaty spowodowała, że Jacek otrząsnął się i zapanował nad sytuacją. - Palce są po prostu dobrze ukrwione.

- Aleja nie znoszę widoku krwi.

Jacek szybko wstał i otworzył szufladę kredensu.

- Tu chyba widziałem jakiś plaster. O, jest! - Oplukał rękę pod bieżącą wodą i szybko zakleił ranę.

- Może być?

- Jeszcze talerz.

Jacek wyrzucił zakrwawione pomarańcze do kosza i umył talerz.

- Przepraszam - szepnęła Małgorzata.

- To ja przepraszam, dawno nie używałem noża. Wszystko w porządku?

- Tak.

Małgorzata powoli dochodziła do siebie. Nie mogła uwolnić się od przekonania, że coś ważnego umknęło jej uwagi. Była jednak tak zawstydzona chwilowym okazaniem słabości, że najchętniej natychmiast zakończyłaby tę rozmowę.

- To może opowiem pani o Monice?

Z przesadnym, entuzjazmem pokiwała głową.

## ROZDZIAŁ 22

Lutek Dobroń wiercił się na kanapie i co chwila dyskretnie spoglądał na zegarek. Dyskrecja była szczególnie wskazana, gdyż na scenie Teatru Nowoczesnego Lutek odgrywał właśnie rolę huzara, którego trudno było posądzać o posiadanie zegarka na rękę marki Casio, a reżyser podchodził do odtworzenia realiów epoki z wyjątkową starannością. Próba spektaklu przeciągała się. Reżyser, który oprócz tego, że był pedantem, co wśród artystów jest zjawiskiem raczej rzadkim, był także wizjonerem, co akurat dla tej grupy ludności jest zupełnie typowe. Połączenie tych dwóch cech sprawiło, że reżyser ani myślał skończyć próby, dopóki jego wizja nie zostanie w pełni zrealizowana. Okazało się to jednak procesem długotrwałym, a dla Lutka Dobronia szczególnie przykrym. Na szczęście nadeszła wreszcie scena pojedynku, więc Lutek zerwał się z kanapy i ruszył z szablą na Jacka Jareckiego. Ponieważ umiejętności szermiercze obydwu panów nie należały do oszałamiających, część pojedynku odbywała się za kulisami, skąd do widzów dobiegał tylko szczeł oręża.

- Jacek? Bardzo jesteś zajęty po próbie? - zapytał Lutek szeptem, gdy tylko znaleźli się poza sceną, nie zapominając o markowaniu odgłosów walki.

- Jak chcesz mi postawić piwo, to zawsze mam czas.

- Bo wiesz - ponieważ pojedynek był krótki, Lutek od razu przeszedł do rzeczy - wplątałem się w charytatywną robotę, takie tam warsztaty teatralne w domu dziecka, a za cholere dzisiaj nie dam rady. Muszę jeszcze przywieźć teściową ze szpitala. Nie poszedłbyś tam za mnie?

- A nie wolisz, żebym przywiózł teściową?

- Proszę cię, stary. Tylko raz.

- No, nie wiem... To już chyba będą ze cztery piwa.

- Dzięki. - Lutek nie krył radości. - Ile tylko chcesz. Delikatnie wypchnął Jacka na scenę, a ten legł na deski, jakby rażony celnym ciosem doskonałego szermierza.

Monika Zasławska miała nie więcej niż 25 lat i była piękna jak majowy poranek. Jacek nie spodziewał się, że dzięki Lutkowi będzie miał taką miłą niespodziankę. Myślał, że odbębni to zastępstwo w godzinę i natychmiast się urwie, a teraz siedział w auli Państwowego Domu Dziecka numer 5, w ostatnim rzędzie widowni, i zupełnie mu się nie spieszyło. Co chwilę spoglądał na siedzącą obok Monikę i nie mógł wyjść ze zdumienia, że spotkał taką dziewczynę w takim miejscu. W oddali, na scenie, jakiś Romeo bezlitośnie katował Szekspira, ale Jacek wydawał się w ogóle tego nie zauważać. Pochylił się do ucha Moniki i zapytał szeptem:

- Co pani robi dziś wieczorem?

- Słucham? - Monika zareagowała schematycznie.

- Co pani robi dziś wieczorem? - powtórzył Jacek, jakby nie zrozumiał zdziwienia dziewczyny.

- Co pan ma na myśli? - Monika sprecyzowała wątpliwości.

- Chciałbym zaprosić panią na kolację.

- Jestem zajęta.

- A jutro?

- Jutro też jestem zajęta.

- A pojutrze?

- Pan się chyba pomylił. - Monika podniosła głos, tym razem nie pozostawiając cienia wątpliwości co do swoich intencji.

- A skądże - Jacek ciągnął niezrażony. - Jeżeli ktoś jest tak niezmiernie piękny jak pani, nie powinien się dziwić, że musi wysłuchiwać takich propozycji codziennie.

- To chyba pan składa takie propozycje codziennie. - Uwaga o niezmiernie piękności nie zrobiła na Monice żadnego wrażenia.

- Nie stać mnie na taką rozrzutność, nie częściej niż raz w tygodniu.

- No tak, jeśli przyjąć założenie, że panu się nie odmawia.

- To co, może w sobotę?

- Proszę pana, tu się pracuje z młodzieżą, jeśli pan szuka agencji towarzyskiej...

- Stop, kochani. - Jacek wstał gwałtownie i ruszył w kierunku sceny, nie oglądając się na Monikę. - Przerywamy, to nie tak. Julia jest daleko, niedostępna. - Wziął krzesło z widowni i postawił je na scenie. - Stawaj, Julia, to jest balkon.

Dziewczyna posłusznie weszła na krzesło. Jacek wziął drugie krzesło z widowni i ustawił je przed chłopakiem grającym Romea.

- A ty - tu, za tą balustradą. Kochasz ją, ale wiesz, że nie możesz jej mieć, wiesz, co to za uczucie?

Chłopak niezdecydowanie pokręcił głową.

- Wyobraź to sobie więc i zagraj. Trochę więcej zaangażowania, emocji, serca. Spróbuj jeszcze raz.

Romeo stanął za krzesłem i zaczął monotonnym głosem.

- „To ona! Moja pani! O kochanie moje! Gdyby ona wiedziała, że ją kocham tyle! Mówi, ale nie usta; zczekajmy chwilę, mówi okiem: w mym oku odpowiedź gotowa”. - Chłopak popatrzył na Jacka, szukając na jego twarzy aprobaty, ale jej nie znalazł.

- No dobra, wystarczy. Nie macie innego Romea?

Młodzi ludzie siedzący w pierwszym rzędzie przed sceną rozejrzeli się po sobie niepewnie.

- Może Maciek? - ktoś rzucił nieśmiało.

- Albo nie. Wiecie? Mam pomysł. - Jacek siadł do pianina i zaczął grać. - Jeśli to ma być przedstawienie o miłości, można zrobić je zupełnie inaczej. „Czy pani mieszka sama, czy razem z nim?” - zaśpiewał, wykrzywiając twarz w pociesznym grymasie. - „Czy w domu czeka mama z humorem złym? Koszulka czy piżama jest w łóżku strojem twym? Czy pani mieszka sama, czy razem z nim?”.

Jacek przerwał, oczekując aplauzu, co zgodnie z jego przewidywaniami nastąpiło. Młodzież wyraźnie się ożywiła.

- Jak sam pan słusznie zauważył - Monika podeszła bliżej sceny i przerwała burzę oklasków - przedstawienie ma być o miłości.

- No właśnie, i zaraz potem. - Jacek znowu uderzył w klawisze i zaczął śpiewać, tym razem poważnie, przez cały czas wpatrując się w Monikę. - „Miłość ci wszystko wybaczy, smutek zamieni ci w śmiech. Miłość tak pięknie tłumaczy zradę i kłamstwo, i grzech...”.

- Kochani, pan Jacek bardzo się spieszy. - Monika nie pozwoliła dokończyć piosenki. - Myślę, że musimy już mu podziękować.

- No, jeśli tak... - Jacek urażony wstał i zatrzasnął kłapę pianina.

- Ale przyjdzie pan do nas jeszcze w przyszłym tygodniu? - Dziewczynka grająca Julię miała do Jacka zupełnie inny stosunek niż jej wychowawczynie.

- Moi drodzy - Monika usiłowała zaprotestować - pan Jacek jest naprawdę bardzo zajęty, to miłe, że poświęcił nam swój cenny czas...



- Niech się pan zgodzi, poszukamy nowego Romea - Julia nie dawała za wygraną. Do jej prośby przyłączyli się inni. Po chwili ze wszystkich kątów sali zaczęło dobiegać coraz głośniejsze - prosimy.

- Kochani, nie możemy się w ten sposób zachowywać - Monika bezradnie starała się opanować sytuację.

- A dlaczego nie? Chętnie przyjdę. - Jacek z rozbawieniem obserwował Monikę. - Naprawdę, bardzo was polubiłem. Ale oczywiście, jeśli pani Monika się zgodzi - dodał z niewinną miną, żeby zupełnie ją rozzłościć. Dziki wrzask radości skutecznie zagłuszył wszelkie formy protestu.

Przedstawienie pod tytułem *Zakochani są wśród nas* w wykonaniu wychowanków Państwowego Domu Dziecka numer 5 zupełnie niespodziewanie okazało się sukcesem. Niefortunny Romeo nie był aż takim beztalenciem, jak się to na początku wydawało; wprowadzić kompletnie nie potrafił recytować, ale za to całkiem nieźle śpiewał. Drugą gwiazdą wieczoru była Julia, chociaż nie miała okazji zabłysnąć jako córka Kapuletich, tylko Ada, której nie wypada.

W auli już dawno przebrzmiały oklaski. Ostatni widzowie znikali powoli za drzwiami z napisem „wyjście”, kiedy Monika wychyliła się ostrożnie zza przepierzenia oddzielającego prowizoryczne kulisy od sceny. Ekipa telewizyjna kończyła właśnie zwijać kable. Na sali nie było już dziennikarki, która uznała widać, że usłyszała od Jacka wszystko, co chciała usłyszeć, i dodatkowe wypowiedzi nie będą jej potrzebne. Monika wyszła zza kulis i rozejrzała się nieufnie, nie mając pewności, czy niebezpieczeństwo wystąpienia w głównym wydaniu „Wiadomości” rzeczywiście zostało zażegnane. Na wszelki wypadek uniosła otrzymane po spektaklu wiązanki kwiatów i zasłoniła nimi twarz. Ruszyła ostrożnie w kierunku wyjścia, tak przejęta konspiracją, że nawet nie zauważyła, kiedy obok niej pojawił się Jacek.

- Jest pani nareszcie!

Monika drgnęła.

- Gdzie się pani ukrywała? Telewizja nie mogła pani znaleźć.

- Mnie? Wydawało mi się, że pana osoba zupełnie im wystarcza.

- Ma pani do mnie o to żal?

- Chyba się pan przecenia. Skończmy ten temat.

- Nawet nie zaczęliśmy.

- Nie lubię szopek na pokaz.

- No, jeśli tak to pani traktuje... Proszę, to przecież nie dla mnie te kwiaty. - Jacek dorzucił wiązanekę, którą trzymał w ręce, do bukietu Moniki i ruszył urażony w kierunku wyjścia.

- Chwileczkę. - Monika zawahała się przez chwilę. - Przepraszam - dorzuciła cicho. - Dziękuję, że nam pan pomógł.

Jacek zatrzymał się w pół kroku i odwrócił.

- Drobiazg. No, teraz to sobie pani nie poradzi z tym ciężarem - zauważył z satysfakcją, widząc, że kwiaty wysuwają jej się z rąk. - Może nareszcie będę miał okazję panią podwieźć.

- Nie trzeba. - Monika uśmiechnęła się do Jacka, chyba pierwszy raz, odkąd się poznali. - Mieszkam zaraz za parkiem, stąd dziesięć minut spacerkiem.

- No to może chociaż zatrudni mnie pani w roli tragarza i pozwoli się odprowadzić?

Monika lekko kiwnęła głową i podała Jackowi kwiaty. Wyszli na zewnątrz i przez dłuższą chwilę szli przez park w milczeniu.

- Ale przyzna pani - Jacek nie zamierzał zbyt długo kontemplować uroków przyrody - że przedstawienie było niezłe?

- Czy pan naprawdę nie może żyć bez nieustannego dowartościowywania własnej osoby?

- A pani znowu swoje. Chciałem właśnie dodać, że to pani zasługa. Nie wiem, czym sobie zasłużyłem na takie traktowanie. Czy nie odpokutowałem za winy?

- Odpokutował pan. - Monika uśmiechnęła się znowu. - Naprawdę, nie przypuszczałam, że wytrzyma pan z nami aż trzy miesiące.

- Wytrzymałbym i dłużej, byle tylko móc widywać panią.

- Jest pan bardzo miły.

- Tylko miły? Chciałbym być miły pani sercu.

Wydawało się przez chwilę, że Monika, jak zwykle, zbędzie Jacka jakimś nieprzychylnym słowem, ale tym razem zignorowała grafomańskie wyznanie i powstrzymała się od komentarza.

- Dlaczego mi pani nie wierzy?

- Ostrzegano mnie przed panem.

- A więc to tak! - Jacek trochę się spieszył i natychmiast, aby ukryć zmieszanie, zaczął udawać mocno urażonego. - Wszystko jasne! Kto to jest? Zaraz wybiję mu zęby! - Zaciśnął dłoń w pięść i zrobił szeroki zamach.

- A zresztą - Monika nie dała się zwieść błazenadzie - dlaczego miałabym panu wierzyć? Jest pan aktorem. W końcu odgrywanie uczuć to pana zawód. O - wskazała na pięść - teraz też świetnie panu wychodzi.

Dłoń Jacka opadła bezwładnie.

- Naprawdę myśli pani, że to tylko gra? Więc pani zdaniem aktor już nie ma prawa do miłości?

- Miłości? - Monika odwróciła wzrok. - O czym pan mówi?

- Dobrze pani wie, o czym mówię - powiedział Jacek z wyrzutem. - Nie, przepraszam, przecież jestem tylko nędznym komediantem - dorzucił ironicznie. - Tak sobie tylko udaję, że za panią szaleję, żeby nie wyjść z wprawy. Jeżeli moja obecność jest dla pani tak przykra - wrócił do poważnego tonu - proszę powiedzieć słowo, a zniknę z pani życia bez śladu. Możemy nawet udawać, że nigdy się nie spotkaliśmy.

- To nie będzie konieczne. - Monika zatrzymała się gwałtownie.

- A więc mogę mieć nadzieję, że jeszcze panią zobaczę?

- To już mój dom. Dziękuję za pomoc.

- Nie odpowiedziała pani na moje pytanie.

Monika wzięła głęboki oddech, po czym zaczęła mówić cicho, unikając wzroku Jacka.

- Boję się... Boję się, że jutro obudzę się w innym świecie. Dziś czuję się jak bohaterka dziewiętnastowiecznego romansu, a jutro będę znowu wychowawczynią z domu dziecka, której przyśnił się sen o wielkiej miłości. - Odwróciła głowę i popatrzyła na Jacka smutno. - Dziękuję panu za pomoc.

Sięgnęła po kwiaty zbyt gwałtownie, by udało jej się utrzymać wszystko w rękach. Wiązanki posypały się na ziemię. Schyliła się, żeby pozbierać kwiaty, a Jacek przyklęknął, by jej pomóc. Ich twarze znalazły się blisko siebie, tak blisko, że Monika nie miała wyjścia i musiała popatrzeć Jackowi w oczy.

- To nie sen - powiedział. - Przynajmniej jeśli chodzi o mnie.

A potem nastąpiło to, co w zasadzie było już nieuniknione - ich usta łatwo znalazły drogę do siebie.

## **ROZDZIAŁ 23**

Komisariat, w którym kiedyś pracował inspektor Huhro, mieścił się wciąż w tej samej, odrapanej kamienicy przy ulicy Donieckiej 5. Budynek wyglądał dokładnie tak, jak zapamiętała go Małgorzata. Właściwie poszła tam z obowiązku, nie licząc specjalnie, że spotka in-

spektora, ale miała nadzieję, że został tam po nim przynajmniej jakiś ślad. We wnętrzu budynku wspomnienia przeszłości w postaci zacieków na ścianach i koślawych krzeseł zniechęcały do kontaktów z tą instytucją zupełnie tak samo, jak przed laty, jednak osoba policjanta siedzącego za przeszkloną ścianą zdawała się przeczyć temu pierwszemu wrażeniu. Był to młodzieniec o twarzy cherubina, na nosie miał okulary w cienkich, drucianych oprawkach i grzeczną grzywkę z przedziałkiem po lewej stronie.

Policjant za szybą przeżuwał właśnie w skupieniu kanapkę, jednak na widok Małgorzaty, wyraźnie zawstydzony, schował swe drugie śniadanie do szuflady biurka. Pośpiesznie odsunął małe okienko.

- Dzień dobry, czym mogę pani służyć? - zapytał uprzejmiej niż ekspedientka w salonie Versace'a na tydzień przed początkiem wyprzedaży.

- Dzień dobry, szukam inspektora Huhro.

- Huhro? A kto to taki?

- Pracował tutaj kiedyś.

- Aha, Huhro. - W oczach policjanta pojawił się błysk zrozumienia. - Inspektor?

- Tak - zbyt wcześnie ucieszyła się Małgorzata.

- Niestety, nic mi to nie mówi. - Policjant wyraźnie się zasmucił. - Kiedy to było?

- No, jakieś 10 lat temu.

- O nie, tu teraz są sami nowi. Taki eksperyment - uśmiechnął się przepaszająco - wszyscy przed trzydziestką. Żałuję, ale nie ma nikogo, kto by pamiętał tamte czasy.

- Może da się jakoś sprawdzić w aktach, gdzie mieszka. Jestem... to znaczy byłam prokuratorem.

- Aha, czyli posiada pani nakaz - ucieszył się młodzieniec.

- No... nie.

- To niestety, nie będę mógł pani pomóc. Ustawa o ochronie danych osobowych.

- Ale...

- Naprawdę bardzo mi przykro. - Policjant wyglądał, jakby zaraz miał się rozplakać.

- No trudno - Małgorzata nie próbowała dalej dyskutować z literą prawa. - Bardzo pan miły, do widzenia.

- Odwróciła się zrezygnowana i ruszyła w kierunku wyjścia.

- Zapraszamy do korzystania z naszych usług - dobiegło ją jeszcze z oddali, zanim zdążyła zamknąć drzwi.

## ROZDZIAŁ 24

Studio filmowe mieściło się na poddaszu starej fabryki na Woli, obecnie zamienionej w ekskluzywny, stylowy biurowiec. Prowadziły do niego eleganckie drewniane schody wyłożone miękkim czerwonym chodnikiem. Bogato zdobione, mosiężne balustrady i poręcze lśniły tak intensywnie, że Jacek nie mógł się oprzeć wrażeniu, iż muszą być polerowane kilka razy dziennie.

- Fajnie tu mają - Stawiński zatrzymał się na półpiętrze, ciężko dysząc - ale jeszcze winda by się przydała.

Jacek obserwował kolegę z wyższością. Sam nie narzekał na brak kondycji. Przez ostatnie 10 lat miał mało obowiązków, toteż starał się nie zaniedbywać codziennej gimnastyki. Sto pompek wykonanych za jednym zamachem nie stanowiło dla niego problemu. Więzienna kuchnia nie sprzyjała również otyłości, mógł więc patrzeć z politowaniem na grubasa Stawińskiego, pocieszając się, że przynajmniej pod tym względem przerwa w życiorysie jednak na coś się przydała.

- Słuchaj, właściwie wszystko jest załatwione. - Stawiński złapał wreszcie oddech i zaczął wspinać się po schodach. - Reżyser zdolniacha, mówię ci - odkrycie.

- Znam go?

- Nie, za młody, ale on cię zna, to znaczy widział twoje filmy. Te zdjęcia próbne to tak dla picu. Rozumiesz, klient się upiera, a klient nasz pan. Więc nic nie mów, tylko graj, tak jak ci każą, OK?

- Klient nasz pan - potwierdził Jacek ochoczo.

- Będą z ciebie ludzie. - Stawiński poklepał go po plecach.

Studio było niewielkie, a jego wnętrze urządzone skromnie i nowocześnie. Wszystkie okna zasłonięta czarnymi, nie przepuszczającymi światła zasłonami. U sufitu wisiało kilkanaście różnej wielkości reflektorów. Na środku pomieszczenia montowano właśnie scenografię - płyty paździerzowe pokryte kafelkami, które miały udawać łazienkę. Naprzeciwko ustawiał się operator z kamerą.

Jacek i Stawiński zdążyli tylko wejść do studia, gdy natychmiast podbiegł do nich długowłose młody człowiek, ubrany w czerwone spodnie i pomarańczową kamizelkę.

- Cześć, dobrze, że już jesteście, ale mamy zadryndol. Cześć, jestem Waldi, reżyser - zagaił bez kompleksów i pierwszy wyciągnął rękę.

- Jarecki - Jacek przywitał się z nim ostrożnie.

- No dobra, to pędzimy, tu jest scenariusz.

Reżyser wcisnął Jackowi do ręki kilka kartek papieru.

- Albo lepiej chodź - zanim Jacek zdążył zerknąć na scenariusz, Waldi zmienił zdanie. - Szkoda czasu, wszystko ci powiem.

- Mam się przebrać?

- Nie, na razie strój nie ma znaczenia, chodzi o wyraz twarzy.

Reżyser podbiegł do łazienki i ręką przywołał Jacka.

- No więc to jest tak. W kabinie kąpie się modelka. *Psychozę* Hitchcocka widziałeś?

- Pewnie.

- No to jesteśmy w domu. To jest, no taki Hitchcock właśnie. Więc ona w tej kabinie, a ty skradasz się do niej z nożem. - Waldi z gracją pokazał, jak Jacek ma się skradać. - To znaczy tak się wydaje, że z nożem, bo widać tylko jego cień i twój okrutny wyraz twarzy. Otwierasz nagle drzwi kabiny, ona wrzask, a ty pokazujesz, co masz w ręce. A to - w tym momencie zrobił dramatyzującą pauzę - domestos, który zabija wszystkie zarazki! Dobrze, co?

Zadowolony z siebie reżyser rozejrzał się po studiu, oczekując aplauzu. Kwaśna mina Jacka wprowadziła element zaskoczenia w jego nieskomplikowane, jak do tej pory, życie.

- Rozumiesz, o co biega? - postanowił się upewnić, mając nadzieję, że jego błyskotliwy pomysł nie został po prostu zrozumiany.

- I ja mam to zagrać?

- No chyba po to przyszedłeś?

Jacek wcisnął reżyserowi do ręki scenariusz, odwrócił się i wyszedł ze studia bez słowa. Waldi patrzył na niego osłupiały. Otrząsnął się dopiero, gdy trzasnęły drzwi.

- Wariat? - powiedział do siebie, ale w porę przypomniał sobie, że w studiu został ktoś odpowiedzialny za to zamieszanie. Natarł na Stawińskiego, wymachując rękami.

- Kogoś ty mi tu, kurwa, przyprowadził? Co?

Stawiński na wszelki wypadek zszedł mu z drogi.

- Mogłeś mi powiedzieć, że to taki scenariusz - rzekł oschle, odwracając się do reżysera plecami.

## ROZDZIAŁ 25

Małgorzata już na półpiętrze usłyszała dobiegający z mieszkania dźwięk telefonu. Przyspieszyła kroku, wyjmując jednocześnie klucze z torebki, i w pośpiechu zaczęła otwierać drzwi. Uporanie się z trzema zamkami zajęło jej trochę czasu, jednak ten, kto dzwonił, należał widać do osób cierpliwych, bo choć naliczyła już kilkanaście dzwonek, telefon nie przesta-

wał dzwonić. Wbiegła do przedpokoju, nie zamykając nawet wejściowych drzwi, i zdyszana podniosła słuchawkę.

- Słucham.

Nikt nie odpowiadał, ale nie słysząc też było charakterystycznego sygnału przerwania połączenia.

- Halo? Nadal cisza.

- Głupie numery!

Rzuciła słuchawkę na widełki. Ze złością zatrzęsła drzwiami, odruchowo zamykając je na zasuwę. Zdjęła płaszcz, ale zanim zdążyła sformułować w myślach całe oskarżenie przeciwko autorowi głuchego telefonu, usłyszała podejrzany szelest. Rozejrzała się uważnie, próbując zlokalizować źródło dźwięku, i dostrzegła, jak przez szparę w drzwiach powoli wsuwa się biała koperta. Stała zdezorientowana, nie wiedząc, co robić, jednak już po chwili ciekawość wzięła górę nad obawami. Szybko otworzyła drzwi i wyjrzała na korytarz. Nikogo jednak nie zauważyła. Zamknęła drzwi i mocno już zaniepokojona zasunęła zasuwę. Podniosła kopertę, obejrzała ze wszystkich stron i po chwili namysłu, wyśmiewając w duchu prawdopodobieństwo przesłania jej tą drogą zarazków wąglika lub miniaturowej bomby - otworzyła kopertę. W środku był mały, biały, zadrukowany kartonik. Tym razem już bez lęku odciągnęła zasuwę i otworzyła szeroko drzwi.

- Józef - powiedziała z dobrze udawanym wyrzutem - czy ty kiedyś wreszcie spoważniejesz?

- Nigdy. - Józef wychylił się zza załomu muru i po chwili stanął przed drzwiami Małgorzaty. - To mogłoby znaczyć, że już nie żyję, a wiesz, że nie chcę cię narażać na przykrości. Zresztą, ktoś musi sprawdzać twoją czujność. Nigdy nic nie wiadomo.

- Nie przesadzaj. Wejdiesz na kawę?

- Mówiąc szczerze - Józef zrobił niewinną minę - liczyłem nawet na jakąś kolację.

- Chyba da się załatwić.

Józef wszedł do środka i zdjął płaszcz, a Małgorzata zamknęła zasuwę po raz trzeci.

- Gdzie zjemy? W kuchni?

- Tak - Małgorzata przytaknęła odruchowo, choć kuchnia to było ostatnie miejsce, do którego chciałaby kogokolwiek zaprosić w tej chwili. Jej uwaga skupiona była na kartoniku, który wciąż trzymała w dłoni. - Strasznie się cieszę, że ci się wreszcie udało - rzekła, wczytując się w treść zaproszenia na wernisaż. - No nieźle. Jak załatwiłeś taki lokal?

- Starzy znajomi nie zapomnieli o mnie, na szczęście.

- Co? Obowiązują stroje wieczorowe? Kiedy to jest? Pojutrze? - zapytała wyraźnie zaniepokojona. - Ja chyba nie mam co na siebie włożyć.

- Nie przejmuj się tym za bardzo.

- Wolałabym jednak nie wyróżniać się w tłumie.

- Nie musisz nic wkładać. Po prostu bądź.

- Jak nic nie włożę, to dopiero się będę wyróżniać.

- Przepraszam, że ci sprawiam kłopot.

- Och, przestań! - Małgorzata ucięła wątek. - Przecież żartuję.

Weszli do kuchni. Józef rozejrzał się po dobrze znanym mu wnętrzu i aż przystanął w progu. Widok sterty brudnych naczyń w zlewie, niedokończonego śniadania na stole i sterty akt sądowych na parapecie okna tak bardzo odbiegał od wzorowego porządku, do którego przyzwyczała go Małgorzata, że nie zdążył ukryć zaskoczenia.

- Przepraszam za ten bałagan. - Małgorzata zauważyła minę Józefa i natychmiast odgadła jej przyczynę. Szybko zebrała talerze z resztkami jedzenia ze stołu i dorzuciła je do sterty w zlewie. - Ostatnio byłam trochę zajęta.

Józef nie pamiętał, żeby Małgorzata kiedykolwiek nie była zajęta, w tym wypadku zatem słowo „trochę” musiało mieć jednak inne znaczenie.

- Co to za akta? - zapytał, dobrze znając odpowiedź. - Przecież podobno już nie pracujesz?

- To ta sprawa Jareckiego - przyznała Małgorzata niechętnie. - Mogą być kanapki? - szybko zmieniła temat.

- Jasne. - Po tym, co zobaczył, Józef był pewien, że Małgorzata mocno chwyciła przynętę, nie musiał zatem drążyć tematu Jareckiego.

- To chodź, pomożesz mi.

- Wiedziałem, że tak będzie. - Józef roześmiał się. - Dlaczego ja zawsze muszę trafiać na wyemancypowane kobiety? - uzalił się teatralnie nad własnym losem.

- Mama też taka była?

Józef spoważniał i popatrzył na Małgorzatę zaskoczony.

- Dlaczego pytasz?

Długo zwlekała z odpowiedzią.

- Dziś jest rocznica jej śmierci.

Usiedli przy stole i nie potrzebując słów, przez kilka długich chwil patrzyli na siebie w milczeniu.

- Józef - zaczęła cicho Małgorzata - dlaczego właściwie nie ożeniłeś się z mamą?



- Za pierwszym czy za drugim razem?

- To były dwa razy?

- Nawet trzy. Ale za każdym razem powód był ten sam. Nie chciała mnie. Zakochaliśmy się w niej z twoim ojcem wspólnie w zespole. No i wybrała jego. Był poważny, stateczny, opiekuńczy, odpowiedzialny, miał dobry zawód, no, idealny wprost kandydat na męża. Nie to, co ja, niepoprawny błazen...

- Nie mów tak.

- W każdym razie latawiec, za przeproszeniem, artysta. Uszanowałem jej wybór. Wprawdzie przez długie dwa lata nosiłem w sercu zadrę, ale wreszcie, kiedy ty się urodziłaś, zdusiłem to w sobie. Zostałem nawet twoim ojcem chrzestnym, o czym pewnie nawet nie wiesz...

- Faktycznie, nie wiedziałam. A potem, kiedy ojciec zmarł?

- Mówiła, że chce być wierna jego pamięci. Ale to była tylko wymówka.

- Ale przecież cię kochała. Wiem na pewno.

- Widocznie kochać to jedno, a drugie powierzyć los rodziny. Pewnie uznała, że się nie nadaje. Może zresztą słusznie.

- To nie mogło tak być. Musiało chodzić o coś więcej.

- Obawiam się, że nawet jeśli masz rację, nigdy się tego nie dowiemy.

- No dobrze, a ten trzeci raz?

- Kiedy zacząłem starania o wyjazd za granicę, znowu poprosiłem ją o rękę. Powiedziałem, że nie wyjadę, jeśli się zgodzi. No i... wyjechałem.

- Może za słabo się starałeś? Może uznała, że to był z twojej strony szantaż?

- Może. Masz do mnie o to żal?

- Dziś już nie, ale wtedy... Nawet nie wiesz, jak bardzo byłam zawiedziona, gdy wyjechałeś.

- Mogę się domyślać. Ale to nie moja wina.

- Czyli jej?

- Jej też nie. Chyba naszych urażonych ambicji.

- Obraziłeś się, bo dostałeś kosza?

- Posprzeczialiśmy się o jakąś głupotę. O coś tak głupiego, że już dziś nawet nie pamiętam, co to było. Tylko potem żadne z nas nie chciało pierwsze wyciągnąć ręki. Mnie szybciej przeszło. Pamiętasz, chciałem was potem ściągnąć na Zachód.

- Ona była uparta. - Małgorzata w zamyśleniu pokiwała głową. - Skoro raz powiedziała nie, nigdy by się nie przyznała do błędu. A wiesz, że nigdy też mi o tym nie mówiła?

- Nie? To do niej podobne. Taka była. Ambitna, zamknięta w sobie. Zupełnie tak samo jak ty.

Małgorzata pominęła milczeniem tę ostatnią kwestię, wstała od stołu i otworzyła lodówkę.

- Masz jakieś szczególne życzenia?

- Tak, poproszę o kawior z szampanem.

- To następnym razem. A dzisiaj?

- Nawet konia z kopytami, byle szybko.

Małgorzata uśmiechnęła się, wyciągając z lodówki ser i masło. Sięgnęła po imponujących rozmiarów nóż i podała go Józefowi.

- Możesz pokroić chleb?

- Niezłe narzędzie. - Józef z podziwem obrócił nóż w dłoni. - Ale chyba się ciężko mieści w damskiej torebce. Nie myślałaś kiedyś, żeby sobie kupić jakiegoś małego colta albo chociaż kałasznikowa?

- Nie, nigdy. - Małgorzata popatrzyła na Józefa zdziwiona.

- A wiesz, tak mi to przyszło do głowy - Józefowi udało się wreszcie przejść do tematu, który sprowadził go dzisiaj do Małgorzaty - bo niedaleko miejsca, gdzie ma być ten wernisaż, zauważyłem sklep z bronią. Prowadzi go gość o śmiesznym nazwisku, Huhro czy Huherko, ale przez samo h.

- Starszy, koło sześćdziesiątki, sto dwadzieścia kilo żywej wagi? - Zgodnie z przypuszczeniem Józefa Małgorzata ożywiła się natychmiast.

- Coś takiego tam siedziało.

- Józef, kocham cię. - Małgorzata niemal rzuciła się Józefowi na szyję.

- Wiem, to normalne, nie jesteś odosobniona. Ale skąd to nagłe wyznanie?

- Ja właśnie szukam tego faceta.

- No popatrz, jaki dziwny zbieg okoliczności. - Józef zachował niewinną minę. - To co, zjemy wreszcie tę kolację, czy nie?

Na tym etapie Małgorzata naprawdę nie musiała wiedzieć, że inspektor Huhro odnalazł się zupełnie nieprzypadkowo. Dawny oficer milicji, z którym Józef zaprzyjaźnił się przed laty, nie stracił upodobania do gry w szachy przy akompaniamencie chórów gregoriańskich. Tyle że teraz zajął się polityką i pełnił dużo bardziej odpowiedzialne funkcje. I znacznie więcej wiedział.

## ROZDZIAŁ 26

Tym razem przynajmniej z wyborem kwiatów Karol nie miał problemu. Słoneczniki były już w pewnym sensie sprawdzone, kwaciarnia, gdzie je sprzedają - zlokalizowana, trzeba więc było tylko wykonać jeden mały ruch - kupić kwiaty, a potem po prostu zanieść je Małgorzacie. Po prostu. Karol powtarzał sobie te słowa od samego rana, mając nadzieję, że w końcu w nie uwierzy, ale im mniej czasu pozostawało do wyznaczonej samemu sobie godziny wyjścia, tym większe miał wątpliwości, czy niezapowiedziana wizyta u Małgorzaty w dniu jej imienin to naprawdę nic wielkiego. Problem ubioru również rozwiązał się sam, bo kiedy wreszcie Karol zdecydował się wyjść, było już za późno, żeby zastanawiać się, co ma na siebie włożyć, włożył więc to, co zwykle, czyli nieśmiertelny szary garnitur.

Po rozważeniu wszystkich za i przeciw Karol zdołał w końcu wykrzesać z siebie tyle odwagi, by w sobotni poranek stanąć przed drzwiami Małgorzaty. Kiedy z duszą na ramieniu przymierzał się do naciśnięcia dzwonka, usłyszał w jej mieszkaniu hałas - coś jakby dźwięk odsuwanej zasuw. Ponieważ wprowadziło to zamęt w harmonogramie jego działań, niewiele myśląc, wbiegł piętro wyżej, postanawiając stamtąd obserwować bieg wydarzeń.

Małgorzata wychodziła właśnie z domu. Karol patrzył rozczerowany, jak precyzyjnie zamyka wszystkie zamki, obracając tym samym w gruzy jego misterny plan. Gdy była już na dole, ruszył za nią wolno, pilnując, by przypadkiem go nie zauważyła. Wyrzał przez szybkę w drzwiach wejściowych. Na szczęście Małgorzata nie oglądała się za siebie. Zdecydowanym krokiem przemierzyła podwórko i wyszła na ulicę. Karol wyszedł z klatki dopiero wtedy, gdy znikła za bramą. Popatrzył smutno w tamtym kierunku, opłakał słoneczniki i zostawił bukiet pod kapliczką Matki Boskiej na środku podwórza.

Zrezygnowany wszedł do bramy. Wyrzał na ulicę ostrożnie, i słusznie, bo Małgorzata nie zdołała odejść daleko. Stała przed wystawą sklepu kilka domów dalej i w końcu zdecydowała się wejść do środka. W pierwszej chwili Karol miał zamiar ruszyć w przeciwnym kierunku, ale jakaś siła kazała mu iść za Małgorzatą. Po chwili stanął przed wystawą tego samego sklepu. I tym razem, również nie wiedząc dlaczego, zadziałał w sposób zupełnie nieprze-myślany. - Raz kozie śmierć - pomyślał, otworzył drzwi i wszedł do środka. Rozejrzał się bezradnie po wnętrzu, co natychmiast spowodowało oczywistą reakcję czujnej ekspedientki.

- Dzień dobry, czy mogę panu pomóc?

- Nie, nie, dziękuję bardzo.

Ekspedientka odeszła i stanęła w dyskretnej odległości. Spłoszony Karol zaczął energicznie przeglądać kreacje na wieszaku, zastanawiając się, gdzie do licha mogła się podziać Małgorzata, gdy jej głowa wychyliła się zza kotary przebieralni.

- Przepraszam panią - przywołała ekspedientkę - czy znajdzie się do tego jakiś żakiet?

- Tak, zaraz przyniosę.

Uradowany Karol ruszył dziarsko w kierunku Małgorzaty.

- Cześć, co za spotkanie! Co tutaj robisz? - Zdumienie Karola na kilometr pachniało oszustwem, ale Małgorzata była tak zaskoczona, że w ogóle tego nie zauważyła.

- Ja? Nic szczególnego, a ty?

- Szukam... garnituru - Karol ucieszył się, że tak łatwo udało mu się znaleźć dobry pretekst - stary już na wykończeniu.

- W sklepie z damską odzieżą?

Karol o mało się nie zakrztusił. Z opresji wybawiła go ekspedientka, która pojawiła się na horyzoncie z dwoma żakietami.

- Może być taki albo taki.

Małgorzata wyszła z przebieralni, ukazując Karolowi całą swą postać. Ubrana była w piękną czarną suknię z dużym dekoltem.

- Ale super wyglądasz! - tym razem Karol nie musiał udawać zachwytu. - Ja myślę, że żakiet ci do tego niepotrzebny.

- Pan ma rację - ekspedientka poparła Karola - ta sukienka jest tak ładna, że szkoda jej zakrywać.

- Czuję się trochę... goła.

- Możesz rozpuścić włosy.

- Albo narzucić jakiś lekki szal. Zaraz pani pokażę, co mamy.

Ekspedientka zniknęła w głębi sklepu.

- A tak w ogóle, to wszystkiego najlepszego w dniu imienin.

- Skąd wiesz? - Małgorzata uśmiechnęła się, mile zaskoczona.

- Słuchałem rano radia. Ślicznie wyglądasz, naprawdę. - Karol sam nie wiedział, jakim cudem te słowa wydostały się z jego ust.

- Dzięki.

- Pewnie idziesz na jakiś wielki bal w wielkim świecie. Fajnie masz - Karol westchnął - ja takie rzeczy oglądam tylko w telewizorze.

- Nie na bal, tylko na wernisaż.

- Z Jareckim? - myśl o konkurencie nie dawała mu spokoju.

- Dlaczego z Jareckim?

- No, myślałem...

- To wystawa mojego starego znajomego, który niedawno wrócił do kraju, a w ogóle, jak chcesz, to możesz iść tam ze mną.

- Zapraszasz mnie? - Karol popatrzył na Małgorzatę z niedowierzaniem. - Naprawdę?

- Oprócz Józefa nikogo tam nie znam, a skoro mam stać sama jak ten kolek... - Małgorzata nieopatrznie zdobyła się na szczerość.

- To już możesz nawet ze mną - dokończył Karol smutno.

- Nie, to nie tak, po prostu... przepraszam, jeśli cię uraziłam... - Małgorzata zawstydzila się chwili słabości i dokończyła hardo, swoim zwykłym tonem - jeśli nie chcesz, nie musisz ze mną iść.

Na horyzoncie pojawiła się ekspedientka z szalami.

- A co pani powie na to?

Małgorzata wzięła do ręki szal i zarzuciła sobie na ramiona.

## **ROZDZIAŁ 27**

Oprócz niewielkiej wywieszki na drzwiach z lapidarnym napisem „Colt”, informującej również o godzinach otwarcia, sklep z bronią Jerzego Huhro nie miał żadnej zewnętrznej reklamy, bo widocznie takiej nie potrzebował. Wejście prowadziło z bramy, schodkami w dół do niewielkiej sutereny.

Małgorzata znalazła się w ciasnej salce, gdzie w gablotach za pancernymi szybami mieściły się najnowsze wynalazki służące do uśmiercania. W środku nie było nikogo. Rozejrzała się po wnętrzu zdziwiona, że takiego miejsca nikt nie pilnuje. Nic bardziej mylnego. Wręcz przeciwnie, była uważnie obserwowana. Cztery dobrze ukryte kamery przekazywały obraz do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie na czterech monitorach właściciel sklepu mógł najpierw dobrze obejrzeć klienta, zanim się zdecydował, czy do niego wyjść.

- Dzień dobry? - rzuciła Małgorzata w przestrzeń, gdy przez dłuższy czas nikt się nią nie interesował.

Masywne, stalowe drzwi od sąsiedniego pomieszczenia otworzyły się i stanął w nich Jerzy Huhro.

- Dzień dobry, czym mogę pani służyć? O, pani... Małgorzata?

- Dobrą ma pan pamięć.

- Nie narzekam. - Inspektor uśmiechnął się przyjaźnie. - No proszę, wreszcie złamała się pani? To żaden wstyd. Nawet najwięksi przeciwnicy broni w końcu do mnie trafiają. Lepiej późno niż wcale. To co, wybieramy coś zgrabnego?

- Ja nie po broń. Pamięta pan sprawę Jareckiego?

- Wiedziałem. - Firmowy uśmiech na twarzy inspektora znikł w jednej chwili. - Jak tylko usłyszałem, że go zwalniają, wiedziałem, że się zacznie. Prowadzi pani tę sprawę?

- Ja już nie pracuję w prokuraturze.

Małgorzata nie mogła się oprzeć wrażeniu, że słysząc te słowa, inspektor odetchnął z ulgą.

- To dlaczego pani...?

- Powiedzmy, prywatne śledztwo.

- Przeciwno komu?

- Zaraz przeciwno. - Małgorzata, widząc zaniepokojenie na twarzy inspektora, celowo zrobiła dłuższą pauzę. - Jarecki twierdzi, że jest niewinny. Chcę się tylko przekonać, czy to prawda.

- Przeszła pani na stronę wroga? - Huhro poczuł się pewniej.

- Wie pan, strony... to tu się trochę pomieszały.

- Po co to pani?

- Zaraz udzieli mi pan przyjacielskiej rady, że byłoby lepiej, gdybym się do tego w ogóle nie mieszała...

- To nie rada, to ostrzeżenie.

- ...i nie będę mieć już żadnych wątpliwości, że ma pan dobre powody, żeby coś ukrywać.

Zapadła długa, męcząca cisza. Małgorzata zaczęła się obawiać, że przyjęła zbyt agresywną taktykę i zaraz zostanie uprzejmie, acz kategorycznie poproszona o zamknięcie drzwi z drugiej strony, kiedy inspektor, niespodziewanie, odezwał się zupełnie innym tonem.

- Może tak jest, jak pani mówi?

Drzwi na górze zaskrzypiały i po chwili do sklepu wtargnęła staruszka z pieskiem.

- O! - stanęła zdumiona. - Tu był kiedyś sklep dla psów.

- I jest nadal, proszę pani - poinformował Huhro uprzejmie - tylko w następnej bramie.

- O! To przepraszam.

- Nic nie szkodzi.

Staruszka wyszła, ale inspektor nie kwapił się do zwierzeń. Małgorzata zaskoczona nieoczekiwaną zmianą w jego postawie dała mu czas na pozbieranie myśli.

- Napije się pani kawy?

- Nie, dziękuję. - Wprowadzanie miłej, kawiarnianej atmosfery było Małgorzacie nie na rękę.

- A pozwoli pani, że ja się napiję?
- Proszę - zgodziła się bez entuzjazmu.
- To zapraszam na zaplecze.

Małgorzata niechętnie weszła za inspektorem do mikroskopijnego kantorka. Huhro zdążył włączyć czajnik, gdy stalowe drzwi same się zamknęły, wydając tylko ciche trzaski. Małgorzata drgnęła. Już miała zapytać, czy inspektor nie boi się zostawiać cennej zawartości sklepu bez opieki, gdy dostrzegła rząd monitorów przekazujących obraz wnętrza sąsiedniego pomieszczenia. Huhro dostrzegł jej pytające spojrzenie.

- Gdy jesteśmy tu, w środku, nikt nie może otworzyć tych drzwi z tamtej strony - wyjaśnił niepytany, zalewając kawę wrzątkiem. - A gdyby ktoś tam, po drugiej stronie, zaczął źle się zachowywać, tym przyciskiem - wskazał czerwony guzik pod blatem biurka - mogę zablokować wyjście na zewnątrz. W ciągu trzech minut przyjeżdża brygada antyterrorystyczna.

- Nieźle.
- Taki biznes, takie czasy. Może jednak napije się pani ze mną?

Małgorzata stanowczo pokręciła głową. Huhro wziął swoją kawę i usiadł za biurkiem.

- Ale usiąść to chyba pani może?

Małgorzata usiadła naprzeciwko inspektora.

- Wie pani - zaczął w końcu z widocznym wahaniem - najtrudniej naprawia się własne błędy. Po jednej stronie marny wyrzut sumienia, a po drugiej - własny byt, bezpieczeństwo, przyszłość...

- Zależy jeszcze, jak marny ten wyrzut.

- Dobrze. - W głosie inspektora znowu zabrzmiała pewność siebie. - Ale wie pani, że nic z tym pani nie zrobi. Dowodów nie ma, a mój wyrzut nie jest aż tak silny, żeby mnie zmusić do oficjalnych zeznań.

Małgorzata podała mu swoją torebkę i demonstracyjnie podniosła rękę.

- Proszę sprawdzić, nie mam dyktafonu.

- Wierzę pani na słowo. - Inspektor oddał jej torebkę, nie zaglądając nawet do środka. - Pamięta pani tego młodego, Dziubiński się nazywał, co pierwszy przyjechał na miejsce zbrodni? Pani też tam wtedy była.

- Tak. Straszny palant.

- Palant? Jezu, co to był za świr! Zero logiki, sto procent ignorancji. Inteligencja na poziomie imbecyla, odpowiedzialność żadna.

- Chyba go pan nie lubił.

- Nie lubił? Ja dostawałem wysypki na jego widok. To nie było pierwsze śledztwo, które spieprzył, ale inne przy tym to mały pikus.

- To dlaczego go pan nie zwolnił?

- Ha, ha, ha. Wie pani, czym był synem? Komendanta Głównego Policji! Mój szef co chwila powtarzał, że trzeba dawać chłopakowi szansę. No to dostawał, a ja potem odpowiadałem za wszystkie jego wpadki. Dziwi się pani, że po tym, kiedy kolejny raz spieprzył robotę, chciałem zatuszować sprawę? Na pół roku przed emeryturą? Kiedy już miałem w ręku koncepcję na ten sklep?

- I na poczekaniu wymyślił pan historyjkę o wypadku żony.

- Cel uświęca środki... A poza tym, naprawdę wyglądało, że to on.

- No wie pan! - Małgorzata nie ukrywała oburzenia. - Co to za argument! Wyglądało, że zabił!!! Proszę pana, przez pana człowiek został skazany na dwadzieścia pięć lat!

- Nie myślałem, że tyle dostanie... - wyrwało się inspektorowi nieopatrnie. - To nie moja wina, to sąd go skazał! - wycofał się szybko na z góry upatrzone pozycje.

- Ale pan go zrobił!

- Zaraz zrobił! To był dorosły człowiek, miał swój rozum. Zresztą w sądzie odwołał wszystkie zeznania z komisariatu.

- Ale sąd już sobie wyrobił o nim zdanie, że kręci.

- Ja nie przypuszczałem... - Huhro znów zaczął wyglądać na skruszonego - te poszlaki były tak wątle... A już w drugiej instancji to byłem pewien, że go uniewinnią!

- Pan był pewien, a jego skazali.

- Ja tylko... próbuję się usprawiedliwić. Nie wie pani, co teraz robi ten palant Dziubiński?

- Wiem, śpiewa, w zespole rockowym. Nawet nieźle.

- No, w czymś w końcu musiał być dobry.

## **ROZDZIAŁ 28**

Że też musiało się to wszystko zdarzyć, kiedy inspektorowi Huhro pierwszy raz od kilku lat udało się wyskoczyć z rodziną na wczasy nad morze. Takie zabójstwo w samym środku sezonu urlopowego! Przecież przestępcy też są ludźmi. Nie mogą, jak ludzie, wziąć w lipcu wolnego, a pracować, jak się skończą wakacje? Inspektor niechętnie odnosił się do tego, co go czeka w najbliższej przyszłości. Już od jakiegoś czasu nie potrafił myśleć o niczym innym, jak tylko o zbliżającej się emeryturze. Piętnaście lat pracy w policji, właściwie najpierw w



milicji, to było przynajmniej o dziesięć lat za dużo. Gdy od razu po studiach trafił do wydziału zabójstw, wydawało mu się, nic lepszego nie mogło go spotkać. Za dużo się naoglądał amerykańskich filmów. Szybko okazało się, że trzy czwarte jego czasu zajmują nikomu niepotrzebne, biurokratyczne czynności, a pozostałą jedną czwartą walka z niedowartościowanymi szefami. Przez pierwsze lata jeszcze wierzył, że może coś zmienić. Z biegiem czasu pierwotny entuzjizm ustąpił zubożeniu, a niedługo później zubożenie zostało wyparte przez zwątpienie w jakikolwiek sens jego pracy. Resztki poczucia obowiązku pozwoliły mu na wykonywanie powierzonych zadań w stopniu wystarczającym do usatysfakcjonowania przełożonych i jemu samemu też, co obserwował z odrazą, ta satysfakcja zaczynała wystarczać.

Nigdy jednak nie miał dość siły ani odwagi, żeby coś zmienić. Teraz wreszcie w jego życiu miała nastąpić odmiana. Jeszcze tylko parę miesięcy i nareszcie będzie wolny.

Huhro wracał znad morza swoim polonezem i był już w okolicy Łomianek, kiedy w radiotelefonie odezwał się nieśmiały, nieregularny męski głos.

- Jurek, jesteś tam?

Inspektor odebrał radiotelefon niechętnie.

- No.

- Przepraszam, że cię wyrwałem, ale wiesz, wszyscy na urloпах, pojechał tam młody Dziubiński, a technika się spóźnia. Sam rozumiesz.

- Nie musisz nic więcej mówić.

- Pogoda nad morzem fajna?

- Fajna.

- Dzieciaki fajnie się bawią?

- Fajnie.

- To fajnie. No to cześć.

- Cześć.

Inspektor Huhro pojawił się w mieszkaniu Moniki Zasławskiej późnym wieczorem i przez moment miał nawet nadzieję, że może niewiele tam będzie miał do roboty. Na miejscu krzątała się od jakiegoś czasu ekipa techniczna, która umiejętnie roztaczała atmosferę wytężonej pracy i dobrze wykonywanych obowiązków. Inspektor, mimo wieloletniego doświadczenia, dał się zwieść pozorom i przez chwilę uwierzył, że ten przypadkowy zespół, pozbierany pospiesznie z dyżurujących niedobitków i tych, którzy mieli pecha i w porę nie wyjechali z miasta, potrafi pracować profesjonalnie. Niestety, szybko dowiedział się, że zanim przybyli na miejsce, przez ponad dwie godziny panoszył się tam aspirant Dziubiński. Kiedy

zaś ustalił, co było powodem ich tak znacznego opóźnienia, pożegnał się z myślą, że uda mu się w ogóle wrócić w tym roku nad morze. Otóż chłopcy z wydziału zabójstw, pędząc nie wiadomo po co na sygnale do miejsca zbrodni - bo przecież logiczne wytłumaczenie, że chcieli zobaczyć Jacka Jareckiego na żywo, nie mogło być żadnym usprawiedliwieniem - zderzyli się z pędzącą również na sygnale karetką pogotowia. Wydarzenie to nie spowodowało wprawdzie bezpośrednich ofiar w ludziach, ale za to inne, nie mniej bolesne i daleko idące konsekwencje.

Huhro rozglądał się po mieszkaniu wyłącznie z poczucia obowiązku. Nie miał większych złudzeń, że jeszcze może się na coś przydać. Już sama obecność w tym miejscu aspiranta na D., jak go inspektor nazywał w chwilach lepszego humoru, nie wróżyła niczego dobrego. Huhro dobrze wiedział, że pozostawienie Dziubińskiemu możliwości samodzielnego podejmowania decyzji może prowadzić tylko do destrukcji. Zawsze starał się wysłać z nim jakiegoś anioła stróża, a tym razem, niestety, miał okazję przekonać się, jak słusznie czynił. Choć obiecywał sobie, że wysłucha aspiranta ze stoickim spokojem, i nawet przez jakiś czas mu się to udawało, to jednak, gdy Dziubiński doszedł do relacji z wyjmowania ciała z wody, nie wytrzymał. Zazgrzytał zębami i żeby powstrzymać się od rękoczynów, wyszedł na korytarz i zapalił papierosa. Pomogło. Udało mu się przynajmniej powściągnąć mordercze skłonności. Wróciwszy do pokoju, odezwał się do aspiranta lodowatym tonem:

- Niech powtórzę, bo inaczej nie uwierzę. Spuściłeś wodę z wanny?

Aspirant, unikając wzroku inspektora, pokiwał głową.

- Woda była brunatna, więc pewnie zakrwawiona?

Kiwnięcie.

- Nie pobrałeś próbek?

To samo.

- Denatka nie miała ran, więc prawdopodobnie wylałeś krew mordercy, czyli najważniejszy dowód rzeczowy? Pozacierałeś wszystkie odciski palców?

- Nie wszystkie. - Aspirant choć raz mógł zaprzeczyć.

Inspektor zawył.

- A okno? Po jaką cholere ruszałeś to okno? Mógł przecież wejść przez balkon! Co jeszcze spieprzyłeś?

- Ale mam zdjęcia. Wszystko sfotografowałem. Wszyściutko, tak jak było.

- Nie wiem, czy uda się tym razem uratować nasze dupy. Ty jeszcze tutaj? Biegaj z tymi zdjęciami, już!

Inspektor odprawił Dziubińskiego, machając ręką, tak jakby chciał odpędzić muchę, i ruszył do lekarza pochylonego nad ciałem Moniki ułożonym na podłodze łazienki.

- Jak zginęła?

- Prawdopodobnie najpierw dostała czymś w głowę - mamy pęknięcie podstawy czaszki, a potem woda dostała się do płuc. Ale mogło też być odwrotnie - najpierw utonęła, a potem ktoś jej na wszelki wypadek przyłożył w głowę.

- Wyniki sekcji potrzebuję na wczoraj.

Inspektor chciał już odejść, ale coś sobie przypomniał i wrócił do lekarza.

- O której umarła?

- W piątek w nocy.

- O której, pytam! - ryknął inspektor.

- Nie rzucaj się. - Lekarz wzruszył ramionami. - Powiem ci po sekcji. Ciało mogło być zanurzone w gorącej wodzie.

- Jak tylko coś będziesz wiedział, daj znać.

Aspirant Dziubiński wywołał inspektora z przesłuchania Jacka w dobrym momencie, bo Huhro właśnie tracił wątek, zastanawiając się intensywnie, jaką strategię dochodzenia obrać.

- No? - Inspektor popatrzył na aspiranta z nadzieją.

- Panie inspektorze - Dziubiński minę miał dziwnie niepewną - ja mam te zdjęcia, tylko...

- Co?

- Niech pan lepiej sam zobaczy.

Inspektor wziął zdjęcia do ręki. Jak na każdym filmie, wiele klitek było prześwietlonych, parę zupełnie nieczytelnych, a tych kilka, które wydawały się w porządku, też wyglądało jakoś dziwnie. Widać na nich było wyraźnie roześmianą dziewczynę w bikini na słonecznej plaży, na jej sylwetkę zaś nakładały się widoki zupełnie nieadekwatne do miejsca, w którym dziewczyna się znajdowała: meble, wanna, damska torebka, czyli niewątpliwie wszystko, co starał się uwiecznić dla dobra śledztwa aspirant Dziubiński na miejscu zbrodni.

- O Jezu. - Inspektor domyślił się od razu, że klisza została dwa razy naświetlona. - Skąd miałeś ten film?

- Znalazłem... to znaczy dostałem... w mieszkaniu denatki.

- Jezu! - Huhro już nawet nie miał siły wrzeszczeć. - To ja tu czekam, gadam głupoty i robię z siebie durnia, a ty mi przynosisz takie dowody? Synu, potrafisz się modlić?

## ROZDZIAŁ 29

Wernisaz Józefa odbywał się w „Bibliotece”, jednak nazwa nie znaczyła wcale, że można tu było wypożyczać książki. Modna warszawska restauracja rzeczywiście mieściła się w nowym gmachu Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego i żeby nikt nie miał żadnych wątpliwości, nazwana została „Biblioteką”. Nie było to jednak miejsce ulubione przez studentów, którzy omijali je szerokim łukiem, aby przez nieopatrne wkroczenie w tutejsze progi nie spowodować katastrofy w swoich budżetach.

Wystrój lokalu nie porywał, za to wyczyny szwajcarskiego kucharza, proponującego a to przepiórki w winie na ostro, a to mózdzek cielęcy w sosie truflowym, skutecznie rekompensowały niedostatek wrażeń estetycznych. Zapewne w celu poprawy tych ostatnich właściciel restauracji - dawny znajomy Józefa, zdecydował się ozdobić swój lokal jego pracami. Niewątpliwie chodziło też o zdobycie dodatkowych klientów, którzy przyjdą tu przede wszystkim z ciekawości, chcąc zobaczyć obrazy malarza, który zdobył uznanie na Zachodzie, a jednak powrócił na ojczyzny łono.

Józef i Małgorzata witali gości zaraz przy wejściu do głównej sali.

- Robię to tylko dla ciebie. - Małgorzata pochylała się nad uchem Józefa, korzystając z chwilowej przerwy w napływie gości. - Gdybym wiedziała, że to takie typy... Chyba nie ty ich zapraszałeś?

- Cii... to klienci.

Jakby w odpowiedzi na jej słowa do sali weszło monstrum płci żeńskiej, ubrane w błyszczące, powiewne szaty, nieudolnie skrywające obfite kształty właścicielki. Monstrum obwieszona było kilogramami złota w postaci bransolet, kolczyków, naszyjnika i czego tam jeszcze. Zjawisku temu towarzyszył mały, niepozorny mężczyzna w garniturze. Kobieta zatrzymała się tuż przed Małgorzatą, a jej towarzysz dwa kroki dalej, co - biorąc pod uwagę ilości wody toaletowej „Samsara”, które jego małżonka na siebie wylała - było posunięciem bardzo roztropnym. Kobieta powiodła wzrokiem po sali, zupełnie ignorując Małgorzatę.

- A gdzie nasz uroczy gospodarz? - zapytała w końcu, nie odnajdując widać poszukiwanego obiektu.

- Tutaj. - Małgorzata wskazała Józefa, mimo wszystko pełna dobrych chęci.

- Nie - kobieta nawet na niego nie spojrzała - mam na myśli właściciela lokalu.

- To chyba pani pomyliła daty - Małgorzata bez żadnych skrępowań pozwoliła sobie na złośliwość - bo dzisiaj akurat ten pan jest gospodarzem wieczoru.

Kobieta zignorowała jej słowa, bo w głębi sali dostrzegła wreszcie kogoś znajomego. Pomachała ręką i nie zwracając uwagi na gospodarza wieczoru, ruszyła w tamtym kierunku.

Jej mąż uśmiechnął się do Józefa przepraszająco, uklonił grzecznie Małgorzacie i potulnie podreptał za żoną.

- Miło mi było państwa poznać - Józef nie zapomniał o kurtuazji.

Tymczasem w holu pojawił się nowy gość. Małgorzata dostrzegła go, gdy zdejmował płaszcz, i zeszywniała, jakby zobaczyła ducha.

- O nie! - powiedziała do Józefa z wyrzutem. - Tego już nie musiałeś mi robić.

Zjawisko w szatni nie było duchem, tylko człowiekiem z krwi i kości. Minister Woliński właśnie odbierał od szatniarza numerkę, Małgorzacie pozostało więc niewiele czasu, by uniknąć niepożądanego spotkania.

- Uciekam. - Cmoknęła Józefa w policzek. - Reszta niech się sama wita.

- Nie przejmuj się, spróbuję go szybko spławić, dzięki za wytrwałość.

Małgorzata szybko wmieszała się w tłum krążący w okolicy bufetu i odnalazła Karola, pilnującego strategicznego miejsca w pobliżu ogromnego talerza pełnego krewetek w rozmiarze „jumbo”.

- Co daje się zjeść?

- Wszystko - odparł Karol, wystawiając kucharzowi najlepsze świadectwo.

- Właściwie to nawet nie jestem głodna. - Małgorzata sięgnęła po kieliszek czerwonego wina.

- Powiedz mi... - Karol, który przez cały czas nie spuszczał wzroku z Małgorzaty, dobrze widział pocałunek. Chociaż przedmiotem czułości był tylko policzek Józefa, trochę się zaniepokoił. - Co cię właściwie łączy z Józefem?

To było dobre pytanie. Czasami był dla niej świetnym kumplem, z którym można nawet o północy wyskoczyć na piwo, innym razem powiernikiem, któremu można się zwierzyć nad ranem z kłopotów sercowych. Najczęściej był jednak autorytetem, z którym, co w przypadku autorytetów zdarza się dość często, prowadziła odwieczną walkę i niekończące się spory. Często miała wrażenie, że Józef chciałby ingerować w jej życie w dużo większym stopniu, eufemistycznie nazywając taką postawę dzieleniem się doświadczeniem życiowym. Biorąc jednak pod uwagę, że od dawna nie była już małą dziewczynką, taka nadopiekuńczość czasem ją irytowała.

- Przyjaźń - odpowiedziała w końcu po dłuższej chwili namysłu.

- Tylko przyjaźń?

- A dlaczego pytasz?

- Nie, nic... - Karol machnął ręką, ale Małgorzata podjęła temat.

- Znam go od... od urodzenia. Był najlepszym przyjacielem mego ojca, po śmierci taty zaopiekował się mną jak córką. Chciał się nawet ożenić z mamą, ale jakoś im się w końcu razem nie poukładało... A potem mama umarła i został mi tylko Józef. Tak naprawdę, to najbliższa mi osoba.

- Rozumiem. - Karol z ulgą pokiwał głową i od razu poczuł do domnianego rywala większą sympatię. - No to... zdrowie Józefa.

Zanim Małgorzata zdołała unieść kieliszek do ust, za jej plecami, jak spod ziemi wyrósł Woliński.

- Mogę się przyłączyć do toastu?

Małgorzata rozpoznała głos byłego szefa od razu i nawet się nie odwróciła.

- Ależ oczywiście - Karol na widok przełożonego zareagował prawidłowo. - Czego się pan napije?

- Mógłby mi pan przynieść odrobinę martella?

- Oczywiście.

Karol pośpiesznie odszedł do baru, a Woliński stanął na wprost Małgorzaty.

- Dobry wieczór.

Małgorzata niechętnie skinęła głową.

- Nie usłyszę od pani nawet dobry wieczór?

- Nie życzę panu dobrze.

- Jak zawsze rozbijając szczerą. - Woliński roześmiał się zdawkowo i obrzucił Małgorzatę uważnym spojrzeniem.

- To naprawdę pani?

Ta z pozoru mało rozbijająca uwaga nie była jednak pozbawiona sensu. Niby ta sama Małgorzata, rzeczywiście wyglądała zupełnie inaczej, i różnica nie leżała wyłącznie w ubiorze. Miała na sobie tę piękną suknię z dużym dekoltem, którą za gorącą namową Karola zdecydowała się kupić. Gołe ramiona okryła lekkim tiulowym szalem, jednak największe wrażenie robiły jej lekko falujące, kasztanowe włosy, które uwolnione z ograniczającego swobodę koka nareszcie mogły zaświecić pełnym blaskiem.

- Dopiero teraz widzę, co straciłem.

- Przepraszam, ale... - Małgorzata odwróciła głowę, chcąc odejść.

- Proszę poczekać. Chciałbym, żeby pani kogoś poznała.

- Proszę mi wybaczyć, ale nie interesują mnie pana znajomi.

- To nie moi znajomi, tylko... Jareckiego.

Małgorzata popatrzyła na Wolińskiego nieufnie.

Perspektywa spotkania z najlepszym przyjacielem Jacka Jareckiego okazała się na tyle kusząca, że Małgorzata postanowiła przynajmniej na ten wieczór zakopać topór wojenny i mimo przekonania, że to na pewno jakiś podstęp, wysłuchać, co też Woliński może jej mieć do powiedzenia. Minister jednak dokonał tylko krótkiej prezentacji i szybko zniknął z pola widzenia, zostawiając rozmówców własnemu losowi.

- Więc co panu kazał powiedzieć Woliński? - zaczęła Małgorzata.

- A kto to jest Woliński?

- Niech pan nie udaje. - Małgorzata popatrzyła na Lutka Dobronia skonsternowana. - To ten facet, który mi pana przedstawił.

- Widzę go dzisiaj pierwszy raz w życiu. Moja żona pisze o sztuce, dlatego dostała zaproszenie na wernisaż. Kto to był ten facet, jakaś szycha?

- Pan chyba żartuje. - Małgorzata ciągle mu nie dowierzała. - To minister sprawiedliwości.

- Aktualny? Ja już nie nadążam. Wie pani - dodał tonem usprawiedliwienia - ostatnio dużo pracuję za granicą.

- Dobrze, niech będzie, że kupuję pana wersję. To co mi pan chciał powiedzieć?

- Ja pani coś chciałem powiedzieć? A o czym?

- Proszę pana - Małgorzata podniosła głos, bo ta wymiana zdań zaczęła ją już irytować - Woliński przedstawia mi pana jako przyjaciela Jacka Jareckiego, mam więc prawo przypuszczać, że robi to w jakimś określonym celu. Wie pan, że Jarecki wyszedł na wolność?

- Tak? - Dobroń wyraźnie się ucieszył. - Na warunkowe?

- Nie, ułaskawienie.

- To dobrze. Nigdy nie wierzyłem w jego winę. Ostrzegałem go parę razy, że w końcu sobie napyta biedy. Rozrabiał, owszem, ale morderstwo - to zupełnie do niego niepodobne.

- Rozrabiał... a w jakim sensie?

- Co tu dużo mówić... Jacek miał słabość do pięknych kobiet. Umiał je zdobywać, ale nie zawsze na tym dobrze wychodził. Pamiętam raz... to było na festiwalu filmowym, nad jakimś ciepłym morzem, w San Sebastian, a może w Cannes...

## **ROZDZIAŁ 30**

Bankiet z okazji otwarcia festiwalu urządzony w sali balowej hotelu „Majestic” nie był zbyt wystawny. Organizatorzy doszli widocznie do wniosku, że w zupełności wystarczy, by goście zadowolili się strawą duchową. Przekąski rozeszły się w kilka minut, właściwie tylko

wina nie brakowało, co - biorąc pod uwagę, że w tym słonecznym kraju wino było często tańsze niż woda, a już na pewno tańsze niż coca-cola - nie oznaczało szczególnej troski o gości.

Jacek, który już od dłuższego czasu niespokojnie kręcił się po sali znudzony towarzystwem kolegów z ekipy, zauważył natychmiast schodzącą po schodach obitych czerwonym dywanem piękną dziewczynę, wyglądającą znacznie lepiej niż większość obecnych tutaj gwiazd i gwiazdek filmowych. Na jej widok Jacek wyraźnie się ożywił.

- Ty, kto to jest? - Szturchnął Lutka w ramię.

- Tam nie, tam to nie radzę - Lutek z satysfakcją zacytował klasyka polskiej komedii.

- To lepiej powiedz od razu, kim jest jej ojciec.

- To akurat nie ma znaczenia. Zapytaj, kim ona jest.

- No kim?

- Krytykiem filmowym - Lutek dobitnie zaakcentował każdą sylabę.

- No i co z tego? Nie boję się, ja mam dobrą prasę.

- To ona pisze te zjadliwe recenzje w „Gazecie” - dodał Lutek szeptem, widząc, że dziewczyna zmierza w ich kierunku.

- To Roman Pawelski jest kobietą? - Jacek roześmiał się z własnego dowcipu.

- Ciekawe, czy będzie ci tak samo wesoło, jak ta panienska już ci się znudzi. Przynieść ci coś do picia? - Dziewczyna była tuż-tuż, Lutek postanowił się więc na wszelki wypadek ewakuować.

- Dzięki, nie trzeba.

Lutek zniknął, a chwilę potem Renata stanęła przed Jackiem z dyktafonem w dłoni.

- Dzień dobry, jestem Renata Maczek.

- Jacek Jarecki. - Jacek szarmancko ucałował podaną dłoń.

- Wiem, dlatego chciałabym pana poprosić o wywiad dla „Gazety”.

- Z dziką rozkoszą. Ale tu?

- Może gdzieś znajdzie się jakieś spokojniejsze miejsce.

- Znam takie. Jedną chwilę.

Jacek rozejrzał się po sali i wypatrzył w kącie kelnera. Podbiegł do niego szybko i zanim kelner zdążył zaprotestować, zdjął z jego ramienia białą serwetę, przewiesił ją przez swoje ramię. Mrugnął do Renaty, podszedł do bufetu i zabrał stamtąd otwartą butelkę czerwonego wina i dwa kieliszki.

- Voila. - Kłaniając się w pas, wskazał Renacie otwarte drzwi na taras. Kątem oka dostrzegł przepychającego się w ich kierunku Lutka. Z niewinną miną rozłożył ręce, wskazując



na dyktafon Renaty, po czym beztrąsko pomachał przyjacielowi trzymaną w dłoni butelką wina.

Kiedy Lutek chwilę potem wyszedł na taras, żeby zapalić papierosa, Jacka i Renaty już tam nie było. Dopiero po dłuższej chwili wypatrzył ich w oddali. Siedzieli na plaży, bezpośrednio na piasku. Renata boso, Jacek w rozpiętej pod szyją koszuli. Przed nimi rozłożona była serweta, na której stały napełnione kieliszki i butelka wina. Jakieś dwa metry dalej leżały porzucone buty na wysokim obcasie i krawat. Renata włączyła dyktafon i postawiła go przed swym rozmówcą. Jacek wziął dyktafon do ręki, wyłączył urządzenie i niedbałym ruchem dorzucił je do butów i krawata.

Konferencja prasowa miała się zacząć za dziesięć minut, a Jacka ciągle nie było. Nie pojawił się również na śniadaniu, co, biorąc pod uwagę, że był to jedyny posiłek, wyłączając bankiety, za który nie trzeba było płacić z własnej kieszeni, było dość zastanawiające.

- Ktoś widział Jacka? - Reżyser wiercił się nerwowo na krześle, obserwując zapełniającą się powoli dziennikarzami salę konferencyjną w hotelu „Majestic”. - Czy on wie, że zaraz zaczynamy?

- Pewnie zasnął. - Lutek podniósł się ze swego miejsca. - Pójdę po niego.

- Tylko żeby jeszcze ciebie nie wciągnęło.

Pokój Jacka mieścił się na samym końcu długiego korytarza, daleko od windy. Lutek ruszył w tamtym kierunku i ujrzał, co zupełnie go nie zdziwiło, wychodzącą z pokoju Jacka Renatę. Na wszelki wypadek wycofał się w okolice windy, skąd bezpiecznie, zza węgła, mógł obserwować wszystko, co się dzieje. Po chwili z pokoju wyszedł Jacek i rozejrzał się po korytarzu. Cmoknął dziewczynę w policzek, ale Renaty nie usatysfakcjonowało takie pożegnanie. Poczekała, aż Jacek zamknie drzwi, i namiętnie pocałowała go w usta. Dopiero wtedy odeszła, na szczęście w kierunku schodów, więc Lutkowi odpadł problem natychmiastowego znalezienia sobie nowej kryjówki. Odczekał jeszcze kilka chwil i, nie spiesząc się, ruszył na spotkanie Jacka.

- O, tu jesteś? - Zdziwienie odegrał profesjonalnie. - Właśnie po ciebie idę. Stary cię oskubie, zaraz zaczynamy.

- No przecież jeszcze się nie spóźniłem. Mamy całe pięć minut.

Wsiedli razem do windy.

- Jak tam wywiad? - Lutek chrząknął znacząco. - Udał się?

- A wiesz - Jacek uśmiechnął się lekko - wyobraź sobie, że dyktafon się zepsuł. Będziemy musieli powtórzyć.

- No popatrz, jaka złośliwość przedmiotów martwych.

- Rzeczywiście, pech.

Zgodnie z wieloletnią tradycją bufet warszawskiego Teatru Nowoczesnego w porze lunchu zamieniał się w jaskinię hazardu. Szczególnie stolik w najdalszym kącie pod oknem był ulubionym miejscem spotkań starych nałogowców oraz innych przygodnych, lecz również żądnych dreszczyka emocji graczy. Gra szła zawsze o wysokie stawki, bez taryfy ulgowej dla przegrywających. Dług był honorowy i jeszcze się nie zdarzyło, żeby ktoś próbował wyłgać się od jego spłaty.

Jacek należał do stałych klientów stolika. Nigdy nie przepuścił okazji do sprawdzenia, czy akurat dzisiaj nie uśmiechnie się do niego szczęście. Tym razem jednak ustawił się grzecznie w kolejce do baru i nawet nie popatrzył w stronę kąta pod oknem.

- Hej, Jacek, chodź - Lutek przywołał Jacka ręką - może się odegrasz.

Poprzednim razem Jacek przegrał w kości całą swą miesięczną gażę i - choć w Teatrze Nowoczesnym pobory nie były oszalamiające - żyłka hazardzisty powinna nakazać mu podjęcie próby wyjścia przynajmniej na zero. Jacek odebrał swoją porcję pierogów i bez słowa usiadł samotnie na pierwszym z brzegu wolnym miejscu. Spotkało się to z pomrukiem deza-probaty.

- Jacek, co jest? Może jesteś chory?

- Odwał się!

Towarzystwo przy stoliku zaszemrało, poczuwszy się dotknięte wyrażoną tak dobitnymi słowami odmową.

- Ty - Lutek szturchnął w bok swojego sąsiada, próbując ustalić przyczyny niecodziennego zachowania Jacka - co go ugryzło? Dużo przegrał?

- No, całą partię. Nie czytałeś?

Lutek wziął do ręki podaną mu gazetę i zaczął czytać. „A w ogóle film byłby całkiem niezły, gdyby niejedna totalna pomyłka obsadowa. Wieprz prowadzony na rzeź miałby chyba więcej czaru niż Jacek Jarecki w roli romantycznego kochanka”. Podpisano: Renata Maczek.

- Mówiłem mu - Lutek musiał się pochwalić. - Mówiłem. No i doigrał się... gruba rura.

- Skąd. - Jego towarzysz zdecydowanie pokręcił głową.

- Całkiem niezła kobitka.

Stolik aż zadrżał od wybuchu śmiechu.

Zakulisowe rozmowy w trakcie sceny pojedynku huzarów weszły już Lutkowi i Jackowi w nawyk.

- Słuchaj, ty znasz dobrze dziewczynę, która prowadzi te warsztaty w Domu Dziecka? - zapytał Jacek, nacierając na Lutka ze szpada.

- Monikę? Bardzo ambitna, po psychologii. Ale nawet nie próbuj, to porządna dziewczyna.

- Domyślam się, dlatego właśnie będę próbował.

- I tak ci się nie uda.

- Założysz się?

- Nawet o skrzynkę Johnny Walkera.

- Ale Black Label?

- Stoi.

Uścisnęli sobie wolne, lewe ręce, po czym Lutek szybko wypchnął Jacka na scenę, a ten legł na deski, jakby rażony celnym ciosem doskonałego szermierza.

## **ROZDZIAŁ 31**

Karol zrezygnował już dawno z okupowania miejsca przy talerzu z krewetkami, nie tylko dlatego, że zapasy przekąsek na stole zaczynały się szybko kurczyć. Początkowo miał jeszcze nadzieję, że rozmowa Małgorzaty z nowo poznanym facetem nie potrwa długo. Co jakiś czas dyskretnie pojawiał się w zasięgu jej wzroku, licząc, że może go zauważy i życzliwie dopuści do swego towarzystwa. Kiedy jednak Małgorzata z Lutkiem zaszyli się na wygodnej kanapie w najdalszym kącie sali, zrozumiał, że po raz kolejny życie spletało mu figła. Poczynienie tej obserwacji wiązało się z głębokim poczuciem krzywdy, gdyż w jego przeświadczeniu na pewno na takie traktowanie nie zasłużył.

Wieczór w „Bibliotece” wchodził powoli we wstępną fazę schyłkową. Kelnerzy zaczęli roznosić kawę, a na stołach pojawiły się desery. Kulinarna strona imprezy zupełnie przestała jednak Karola interesować. Co jakiś czas rzucał ukradkowe spojrzenia w kierunku kanapy, gdzie siedziała Małgorzata. Nie przynosiło to żadnych rezultatów, doszedł więc do wniosku, że jego dalsza obecność na wernisażu nie ma uzasadnienia. Kierując swe kroki do wyjścia, przypomniał jednak sobie właściwy powód jego obecności w „Bibliotece” i uznał, że przed opuszczeniem lokalu wypadałoby przynajmniej zapoznać się z twórczością Józefa. Zawrócił od drzwi i zaczął przyglądać się obrazom.

- Nudzi się pan? - Głos Józefa, który niespodziewanie zmaterializował się tuż za jego plecami sprawił, że Karol drgnął i szybko się odwrócił.

- Nie, skąd - zaprzeczył nieszczerze. - Piękne obrazy.

- Dziękuję.

Zapadła kłopotliwa cisza.

- Ja właściwie - Karol zaczął niepewnie - chyba chciałbym się już pożegnać. Czy mógłby pan powiedzieć Małgorzacie...

- A dlaczego pan jej sam nie powie?

- Nie chcę jej przeszkadzać. - W głosie Karola dało się wyczuć rozżalenie. - Wygląda na to, że jest zajęta.

- Och, ona zawsze tak wygląda. Nie zauważył pan?

- Mówiła, że nikogo tutaj nie zna - Karol mógł nareszcie komuś się poskarżyć - a rozmawia z tym gościem prawie godzinę.

- Chce pan? - Józef wypiął pierś i zacisnął pięść - zaraz mu przyłożę.

- Nie jestem zwolennikiem przelewu krwi. - Karol zdobył się na wymuszony uśmiech.

- Ja też nie. - Józef opuścił pięści i wrócił do poważnego tonu. - Długo pan zna Małgorzatę?

- Trzy lata. Choć nie powiedziałbym, że ją znam.

- Ale, jak rozumiem, chciałby pan poznać ją lepiej?

- Jakoś... - Karol wahał się przez chwilę, uznał jednak, że dalsze ukrywanie swoich uczuć nie ma sensu - nie potrafię do niej dotrzeć.

- Widocznie pan nie próbuje.

- Ale właśnie próbuję, przez cały czas próbuję...

- No właśnie, pan próbuje, a tu trzeba przestać próbować i zacząć coś robić.

- Żebym jeszcze wiedział co.

- Cokolwiek. Niech pan po prostu sprawi, żeby pana zauważyła.

Karol skrzywił się, słysząc zwrot „po prostu”, gdyż to, co było proste dla Józefa, jemu wydawało się niewykonalne.

- Na początek może pan włożyć czerwone skarpetki albo stanąć na głowie. O, widzi pan - Józef wskazał na Małgorzatę i Lutka wstających z kanapy - udało się bez bicia. No, trochę więcej optymizmu. Podpowiem coś panu - Józef zbliżył się do Karola i szepnął mu do ucha: - Vivaldi.

Karol popatrzył na Józefa ze zdumieniem.

- Sam pan się zdziwi, jak to działa. No, muszę pana porzucić, klienci czekają.

Wyglądało na to, że Małgorzata rzeczywiście już kończyła rozmowę. Lutek wstał i zaczął rozglądać się po sali niespokojnie.

- Musiał pan wydać majątek na tę skrzynkę whisky. - Małgorzata również wstała.

- Nic nie wydałem. Jacek nigdy nie próbował wygzekwować wygranej. Tak naprawdę, do końca nie wiem, na ile poważnie traktował Monikę.

Lutek wypatrzył swoją żonę zmierzającą do wyjścia i pomachał jej ręką. Miał właśnie pożegnać się z Małgorzatą, gdy zauważył, że w ich stronę, chwiejnym krokiem, z kieliszkiem wina w jednej ręce i zapalonym papierosem w drugiej żeglujecie kobieta, której twarz wydała mu się znajoma.

- Barbara? - zawołał z niedowierzaniem. Kobieta wyglądała na równie zaskoczoną.

- Lutek? Ty w kraju? Cześć!

Żona Lutka dostrzegła męża i zaczęła mu dawać ponagłające znaki.

- Tak, na chwilę. Wiesz, że Jarecki wyszedł z więzienia? - Lutek podzielił się natychmiast najnowszą rewelacją.

- Doprawdy? - Jego słowa nie wywołały u Barbary spodziewanego entuzjazmu. - I co? Mam się cieszyć?

- No... w końcu...

Żona Lutka, nie doczekawszy się reakcji ze strony męża, stanowczo zmierzała w jego stronę.

- Muszę pędzić. - Lutek wołał uniknąć konfrontacji.

- Pa, zadzwonię - zdawkowo pożegnał się z Barbarą. - Aha - już odchodząc, przypomniał sobie o Małgorzacie i w przelocie dokonał prezentacji - pani też jest znajomą Jacka - rzucił i szybko zniknął z pola widzenia.

- Tak? - zaciekawiła się Barbara. Ogarnęła Małgorzatę taksującym spojrzeniem, wypila łyk wina i zaciągnęła się papierosem. - A z którego okresu? - zapytała drwiąco. - Sprzed Joli, po Renacie czy przed Moniką?

Małgorzata przyjrzała się Barbarze uważnie. Instynktownie wyczuwała, że jest to kobieta mniej więcej w jej wieku, choć twarz Barbary zdawała się przeczyć jej instynktowi. Zmarszczki wokół oczu i w kącikach ust sugerowały wymownie, że ich właścicielka z nikotyną i alkoholem zawarła bliższą i intensywną znajomość.

- Po więzieniu.

Z ust Barbary znikł drwiący uśmiezek.

- No cóż... więzienie. - Opróżniła swój kieliszek i rozejrzała się za kelnerem. - Dość specyficzna... kochanka.

- Chyba szczególnie go pani nie żałuje?

- Nietrudno się domyślić, prawda? Kiedy go wsadzili, to nawet byłam szczęśliwa. Sama nie wymyśliłabym lepszej zemsty. - Barbara strząsnęła popiół z papierosa do kieliszka. - Moja krzywda pomszczona w taki sposób.

- Założę się, że Monika wolałaby nie brać w tym udziału.

Barbara ze złością zgasiła w kieliszku papierosa wypalonego zaledwie do połowy.

- Niech pani nie miesza do tego tej biednej gęsi. Miałam do Jacka wielki żal, to prawda, i cieszyłam się, że go spotkała kara. Wprawdzie niewspółmierna do winy, ale wtedy tak o tym nie myślałam.

- Czym się pani tak naraził?

W pobliżu pojawił się kelner, Barbara odstawiła na tacę zabrudzony kieliszek i szybko wzięła nowy. Nie czekając nawet, aż kelner odejdzie, wychyliła zawartość do połowy.

- Och, najbardziej boli urażona duma. Właściwie zostałam ukarana za własną naiwność. Na dobrą sprawę powinnam dziękować Jackowi za życiową nauzkę. Już nigdy więcej nie popełniłam tego błędu. A pani wierzy, gdy mężczyźni mówią, że panią kochają?

- Wie pani - Małgorzata uśmiechnęła się mimo woli - w moim życiu w takich sytuacjach mężczyźni jakoś nigdy nie występowali w liczbie mnogiej.

Barbara albo nie dosłyszała uwagi Małgorzaty, albo zupełnie się nią nie przejęła.

- Kochałam go - ciągnęła jak w transie - zresztą, nic szczególnego, wtedy pół Polski się w nim kochało. Kiedy mówił, że za mną szaleje i że jestem jedyna, wierzyłam mu jak głupia, chociaż dobrze wiedziałam, że wcześniej były inne. Uwielbiałam słuchać, kiedy kłamał, że rzuci żonę i chce być tylko ze mną do końca życia. Kochaliśmy się w każdej wolnej chwili, w garderobie, na pięć minut przed spektaklem, na otwarciu galerii - w toalecie dla niepełnosprawnych, w parku w krzakach. Dni były za długie, noce za krótkie. Aż pewnego dnia odkryłam, że mam guza na piersi. Strach, podejrzenie raka, ale przecież miałam Jacka, który na pewno będzie mnie wspierał. Leżałam w szpitalu miesiąc - nie odwiedził mnie ani razu. Tłumaczył się potem, skurwysyn, że nie mógłby znieść mojego cierpienia. Później się dowiedziałam, że już wtedy kręcił z Moniką. A guz okazał się niegroźny. Szkoda. Mógłby być niezły melodramat.

Barbara znowu rozejrzała się za kelnerem, ale ponieważ nikogo w pobliżu nie było, schyliła się i postawiła pusty kieliszek na podłodze pod ścianą. Sprawny powrót do pionu okazał się ponad jej siły, i gdyby nie w porę podana ręka Małgorzaty, doszłoby do katastrofy.

- Chyba powinnam już stąd iść - Barbara poczyniła uwagę niezwykle, jak na jej stan, przytomną.

- Zamówić pani taksówkę? Może panią odwiozę?
- Dziękuję, jak pani widzi, świetnie sobie daję radę.

Małgorzata była jednak innego zdania. Otworzyła torebkę i sięgnęła po telefon komórkowy. Zdołała tylko włożyć rękę do środka i w tej sekundzie z jej ust wydobył się cichy jęk.

- Wacek, nie!

Było już jednak za późno. Biała myszka właśnie zeskoczyła na podłogę.

## ROZDZIAŁ 32

Karol nigdy by nie przypuszczał, że tej nocy będzie jednak stawał na głowie, choć może nie w dosłownym tych słów znaczeniu.

Małgorzata zastygła przerażona i obserwowała bezradnie, jak biedny Wacek wykonuje rozpaczliwy taniec wokół własnego ogonka, po czym rzuca się do ucieczki. Pomknął jak strzała w stronę baru, zahaczając po drodze o kieliszek, który Barbara postawiła na podłodze. Wprawilo go to w jeszcze większy popłoch i spowodowało, że jego ruchy stały się zupełnie nieskoordynowane. Wpadł w poślizg, nie zdążył w porę wyhamować, odbił się od ściany, wylądował tuż pod nogami nobliwie wyglądającej damy i tam wreszcie spoczął, nie dając oznak życia. Całe zajście trwało nie dłużej niż kilka sekund i wydawało się, że nie zostało przez nikogo zauważone. Nieświadoma niczego dama beztrąsko oglądała dzieła Józefa.

Stojąca obok Barbara nerwowo przerzucała zawartość swojej torebki, bezskutecznie starając się znaleźć w niej telefon komórkowy. Po trzeciej próbie dała za wygraną.

- Chyba nie wzięłam komórki. Ma pani swoją? - zwróciła się do Małgorzaty.

- Tak - potwierdziła Małgorzata, nie spuszczając z oczu Wacka, który lada chwila mógł odzyskać przytomność.

- Może pani wezwać Tele Taxi?

- Tak, już dzwonię - odrzekła Małgorzata, nie robiąc jednak nic w tym kierunku. Starsza pani podziwiająca obrazy wyraźnie zamierzała ruszyć dalej i konfrontacja z Wackiem wydawała się nieunikniona.

- Zna pani numer? - zachowanie Małgorzaty zaczęło irytować Barbarę.

- Tak, tak.

Wzrok Małgorzaty ciągle utkwiony był w jednym punkcie. Zaintrygowana Barbara odwróciła głowę. Nie zauważyła nic szczególnego - młody mężczyzna rozmawiał z jakąś starszą kobietą, za barem znudzona barmanka próbowała ukryć ziewanie, ktoś przysypiał na kanapie.

- Jaki to miał być numer? - Małgorzata wyciągnęła wreszcie telefon z torebki.

To nieprawda, że zajścia z Wackiem nikt nie zauważył. Był ktoś, kto obserwował przebieg wydarzeń z takim samym przejęciem jak Małgorzata. Kiedy Wacek legł u nóg starszej pani, Karol wpadł w panikę. Oto nagle pojawiła się przed nim szansa, by zwrócić na siebie uwagę. Przez chwilę poczuł euforię, ale natychmiast zastąpiła ją obawa, że może nie sprawdzić się w roli prawdziwego mężczyzny. Na szczęście nie miał zbyt wiele czasu, by zastanawiać się, co w takiej sytuacji powinien zrobić prawdziwy mężczyzna. Gdy tylko zauważył, że starsza pani zamierza ruszyć dalej, rzucił się desperacko w kierunku Wacka. Przyklęknął na jedno kolano, udając, że zawiązuje sznurowadło w bucie. Drugą ręką, nie bez oporów, chwycił mysz za ogon i wsunął ją do kieszeni marynarki. Wstał szybko i jeszcze zdążył zapytać odchodzącą kobietę, co sądzi o twórczości prezentowanego tu dziś artysty. Z dużym poświęceniem wysłuchał wykładu na temat nowych prądów we współczesnym malarstwie i zerknął na Małgorzatę, żeby sprawdzić, czy jego sprawna akcja została zauważona. Dostrzegł błysk wdzięczności w jej oczach. Z satysfakcją wypiął pierś i pomyślał, że mimo początkowych niepowodzeń plan minimum na ten wieczór został chyba wykonany.

### **ROZDZIAŁ 33**

Małgorzata, jak na zdyscyplinowanego obywatela przystało, prowadziła swoje cinquecento zgodnie z obowiązującymi przepisami. Konsekwentnie dawała się wyprzedzać wszystkim, nie wyłączając maluchów i rowerzystów. Działo się tak nie tylko z powodu zawodowego odruchu przestrzegania prawa. Małgorzata usiłowała jednocześnie kierować samochodem i zebrać myśli, co w przypadku kogoś, kto tak jak ona, prawo jazdy miał dopiero od miesiąca, przedstawiało pewną trudność. Było to jednak zadanie o tyle wykonalne, że o pierwszej w nocy intensywność ruchu ulicznego w mieście stołecznym nie wymagała nadzwyczajnego skupienia uwagi. Karol, który siedział obok i z trudem walczył z sennością, na szczęście nie należał do osób o narzucającej się osobowości. Małgorzata doceniła to w końcu, i w jej osobistym rankingu jego notowania wzrosły odczuwalnie. Natomiast nie można tego powiedzieć o notowaniach Jacka Jareckiego. Małgorzata miała świadomość, że wyciągając tę historię na światło dzienne po tylu latach, napotka wiele komplikacji. Nie przewidziała jednak, że ich najpoważniejszą przyczyną może być sam Jacek. Wyrzucała sobie, że za szybko uwierzyła w jego niewinność. Po rozmowie z inspektorem Huhro wydawało się jej, że słusznie podjęła śledztwo, bo przecież przed laty skrzywdzony został niewinny człowiek. Teraz, choć ustalone wcześniej fakty wydawały się bezsporne, zaczęły ogarniać ją wątpliwości. Do tego była na siebie zła. Podjęła się tej sprawy z ambitnym zamiarem walki o sprawiedliwość, a wyszło na



to, że została adwokatem żałosnego gnojka. W pierwszym odruchu miała ochotę rzucić wszystko, ale nie mogła sobie pozwolić na uleganie emocjom. Po tym co teraz usłyszała, bardziej niż kiedykolwiek zależało jej na poznaniu prawdy. No i była zwyczajnie ciekawa, jak Jacek zareaguje na te - bulwersujące dla niej, lecz chyba nie dla niego - informacje.

Siedzący na fotelu obok Karol zaczął wydawać dźwięki przypominające chrapanie.

- Karol, śpisz?

- Nie, skądże. - Karol natychmiast otworzył oczy.

- Przepraszam, że cię zostawiłam samego. Musiałeś strasznie się nudzić.

- Skąd. Odbyłem bardzo pouczającą pogawędkę z Józefem.

- Tak? O czym? - zaciekała się Małgorzata.

- O sztuce współczesnej.

- Ach tak.

Karolowi wydało się, że w głosie Małgorzaty zabrzmiało rozczarowanie.

- Co z Wackiem?

- Chyba doszedł do siebie. Wolę nie zaglądać do torebki. Gdzie cię właściwie podrzucić?

- Na Bemowo. Jezu! - Karol walnął dłonią w czoło. - Miałem zadzwonić do mamy!

Nerwowo wyszarpnął komórkę z kieszeni i wybrał numer. Po dłuższej chwili w słuchawce odezwało się zaspiane „halo”.

- Mama ? Ja już jadę.

- Karolu, czy ty wiesz, która jest godzina?!

Karol z trwogą popatrzył na zegarek.

- Przepraszam, chciałem ci tylko powiedzieć...

- Czy ty musisz mi się natychmiast chwalić, kiedy nie wrócisz na noc do domu?

- Nie o to chodzi, zresztą wszystko przez Wacka.

- Miałam przynajmniej nadzieję, że zatrzymała cię kobieta.

- Wacek to biała myszka.

- O Boże. To straszne. Dzwonisz o tej porze, żeby mi opowiadać o białych myszkach?

- Nie, ja tylko...

- Porozmawiamy rano - mama zdecydowanie ucięła rozmowę - jak wytrzeźwiejesz - i odrzuciła słuchawkę.

Małgorzata popatrzyła na Karola podejrzliwie.

- Zawsze meldujesz mamie, kiedy wracasz do domu?

- No coś ty. Zapomniałem kluczy - Karol niepotrzebnie zaczął się tłumaczyć. - Chciałem zadzwonić... to znaczy wcześniej, żeby nie zamykała drzwi, ale wyleciało mi z głowy. Nie wiedziałem, że już tak późno.

Małgorzata nie wyglądała na przekonaną.

- A zresztą - Karol westchnął i pomyślał, że chyba właśnie stracił wszystkie punkty, które tak ciężko zdobywał tej nocy - jakie to teraz ma znaczenie?

## ROZDZIAŁ 34

Bar mleczny na Krakowskim Przedmieściu, tuż przy bramie uniwersytetu, nazwany z tego powodu „Uniwersyteckim” (co nie przeszkadzało, by wszyscy jego użytkownicy i tak nazywali go „Karaluchem”), jakimś dziwnym sposobem uodpornił się na zawirowania losu i w niemal niezminionej postaci dotrwał do dzisiejszych czasów. Jedyna różnica polegała na tym, że kiedyś nie podawano tam mięsa, a dzisiaj, oprócz klasyki w postaci barszczu czerwonego z fasolą, można było dostać również mielonego. Wystrój i atmosfera baru nawiązywały bezpośrednio do minionej epoki, co wiernym klientom zupełnie nie przeszkadzało, ponieważ dla tutejszych cen, na szczęście, czas również zatrzymał się w miejscu.

Jacek Jarecki, mimo że mieszkał tuż za rogiem, za studenckich czasów wpadał tu rzadko i niechętnie. Odkąd skończył studia, nawet w chwilach największej desperacji przez myśl mu nie przeszło, że mógłby w takim miejscu zaspokoić głód. Tym razem jednak, mając kilka monet w kieszeni i świadomość, że w najbliższym czasie nie może liczyć na cud ich rozmnożenia, przekroczył progi „Karalucha” bez oporów.

Pora była obiadowa, więc w barze panował duży ruch. Jacek ustawił się w kolejce do kasy, obserwując tutejszą klientelę. Jej trzon stanowili ludzie zupełnie młodzi oraz emeryci z bardzo starego portfela, zdumiewająco kompatybilnie w tym miejscu egzystujący. Przy stoliku w kącie chudy, zarośnięty facet ubrany w futro z niegdyś białego królika siedział nad kubkiem kefiru i mocno gestykulując, prowadził polemikę z niewidzialnym przeciwnikiem. Trochę dalej starszy mężczyzna w okularach zachowywał się podobnie, choć po nim można się było spodziewać, że jest raczej profesorem pobliskiego uniwersytetu niż miejscowym wariatem. Pochłonięty lekturą książki rozłożonej obok talerza z nie ruszonymi pyzami, co chwila wygłaszał do siebie gniewne komentarze. „No tak! Ma rację! Jak mogłem!”.

- Co pan życzy?

Chrapliwy głos kasjerki wyrwał Jacka z zamyślenia. Popatrzył z roztargnieniem na jałospis i zaczął go studiować.

- To teraz czyta? - Kasjerka jakby tylko czekała, żeby go skarcić. - Wcześniej nie miał czasu się namyślić? Ludzie czekają.

- Poproszę leniwe - Jacek szybko zamówił pierwszą pozycję z listy - i kefir.

- Pięć pięćdziesiąt - oznajmiła kasjerka urzędowo. Jacek wyjął drobne z kieszeni i przeliczył.

- Przepraszam - popatrzył na kasjerkę zawstydzony, odkrywszy, że brakuje mu paru groszy - mógłbym zrezygnować z kefiru?

Kobieta za kasą najwyraźniej przywykła do podobnego zachowania. Nie wygłosiła kolejnego komentarza, pokręciła tylko głową i spojrzała na Jacka karcąco. Wcisnęła w kasie jakiś klawisz i obwieściła znudzona:

- Cztery złote.

Jacek odebrał leniwe w okienku obok i rozejrzał się w poszukiwaniu wolnego stolika. Wszystkie były zajęte. Pod oknem wypatrzył stół, przy którym siedziała tylko jedna osoba i wydawało się, że właśnie kończy. Ruszył w tamtym kierunku.

- Przepraszam, wolne? - zapytał siedzącą dziewczynę, nawet się jej nie przyglądając.

- Tak, proszę.

Jacek usiadł i zajął się leniwymi, skupiając na jedzeniu całą swą uwagę. Jego towarzyska przy stole zaczęła intensywnie mu się przyglądać. Mogła mieć lat dwadzieścia kilka. Nie należała do piękności, ale jej twarz przykuwała uwagę i nie sposób było przejść obok niej obojętnie. Odstawiła talerz, włożyła na głowę bajecznie kolorowy, ręcznie wydziergany beret i zarzuciła na szyję taki sam kolorowy szalik. Nie wstała jednak od stołu, tylko odsunęła krzesło, usiadła wygodniej i popatrzyła na Jacka, ważąc w sobie jakąś decyzję.

- Przepraszam, pan Jacek Jarecki? - zdecydowała się w końcu zadać pytanie.

- Tak. - Zaskoczony Jacek podniósł wzrok znad talerza i wreszcie zwrócił na dziewczynę uwagę.

- Pan mnie nie poznaje.

Jacek spojrzał na dziewczynę bezradnie i uśmiechnął się przeproszająco.

- Ja jestem... ja brałam kiedyś udział w tych warsztatach teatralnych, które pan prowadził w domu dziecka.

- Tak? - Jacek popatrzył z zaciekawieniem, ale nadal dziewczyny nie rozpoznawał.

- Ja byłam Adą. „Ada, to nie wypada” - zanuciła.

- Ach tak! - Na twarzy Jacka pojawił się wyraz ulgi. - Przypominam sobie. Trochę się pani zmieniła.

- No tak, dziesięć lat...

- Jak tam leci?
  - Dobrze, nawet bardzo dobrze.
  - Miło słyszeć, że w dzisiejszych czasach komuś dobrze się wiedzie.
  - Zdałam do szkoły teatralnej, za drugim razem, ale się udało. Wie pan, że pana zdjęcia ciągle wiszą na korytarzach?
  - Nie zdjęli? To miłe. Kiedyś sprawiali wrażenie, jakby chcieli spalić nie tylko zdjęcia, ale wszystkie moje filmy. A pani, jak sobie radzi?
  - Dostałam właśnie propozycję dużej roli w filmie.
  - To świetnie, świetnie.
  - I zawsze chciałam panu podziękować...
  - Mnie? - Nagłe wyznanie dziewczyny zupełnie Jacka zaskoczyło. - Za co?
  - To wszystko dzięki panu. To, że ktoś tak sławny przychodził do nas, do dzieci, których nikt nie chciał... ja wiem, że to głupio brzmi, ale... dla nas to było coś... coś naprawdę wielkiego. To nam... to mi dawało motywację do pracy. Dzięki panu po prostu uwierzyłam w siebie. Więc teraz dziękuję.
- Dziewczyna wygłosiła swoje przemówienie i zamilkła zawstydzona. Jacek spojrzał na nią uważnie.
- Wie pani... Nigdy o tym nie myślałem w taki sposób...

## **ROZDZIAŁ 35**

Na ulicy przed barem „Uniwersyteckim” Małgorzata stała już od dłuższej chwili. Pewnie przeszłaby obok obojętnie, tak jak robiła to wiele razy, gdyby jej wzroku nie przykuł kolorowy beret siedzącej tuż przy oknie dziewczyny. Małgorzata zatrzymała się, żeby go sobie lepiej obejrzeć, i zauważyła, że towarzyszem dziewczyny przy stole jest Jacek Jarecki. Rozmawiali z ożywieniem, a po błakającym się na twarzy mężczyzny uśmiechu, jakiego nigdy wcześniej Małgorzata u niego nie widziała, można było sądzić, że pogawędka sprawia mu przyjemność.

Wreszcie dziewczyna wstała od stolika, podała rękę na pożegnanie i odeszła. Stojąc już w drzwiach, odwróciła się jeszcze, pomachała Jackowi ręką i dopiero wtedy wyszła z baru.

Małgorzata przyjrzała się dziewczynie, po czym, wiele się nie namyślając, weszła do środka i energicznie ruszyła prosto do stolika, przy którym siedział Jacek.

- Przepraszam, wolne? - Stała tuż przy nim.
- Tak - Jacek odpowiedział machinalnie, zajęty myślami.

Małgorzata stanęła naprzeciwko. Jacek podniósł wzrok.

- O, pani tutaj? - zdziwił się szczerze.

- No widzi pan, jaki fart, przechodziłam obok.

Jacek, zaaferowany poprzednim spotkaniem, nie wyczuł ironii w głosie Małgorzaty.

- Co, mamusia już panu nie gotuje? - druga uwaga nie pozostawiła jednak żadnych wątpliwości co do jej intencji. To już nawet nie była złośliwość, tylko czysta perfidia. Małgorzata uświadomiła to sobie o sekundę za późno. Można było złagodzić wymowę tych słów krótkim „przepraszam”, ale akurat ten wyraz przechodził przez usta Małgorzaty wyjątkowo opornie i najchętniej w ogóle wycofałaby go ze swojego słownika. Odwróciła głowę, nie chcąc patrzeć na niemy wyrzut, który pojawił się na Jacka twarzy.

- Wyszła do lekarza - oznajmił chłodno. - Usiądzie pani? - zaproponował tym samym tonem.

- Właściwie nie miałam takiego zamiaru, ale... - Małgorzata przysiadła się do stolika i rozpięła płaszcz.

- Ale?

Małgorzata popatrzyła na Jacka i widząc, że jego twarz przybrała dobrze jej znaną maskę pobłażliwości, uznała, że gotów jest stawić czoło kolejnemu atakowi.

- Zauważyłam, że nie traci pan czasu.

- Nie rozumiem.

- Ładna dziewczyna.

- Ach, o to pani chodzi. - Sens słów Małgorzaty dotarł do Jacka z opóźnieniem. - Ma pani dzisiaj dzień ciętego języka? Nie ma obawy. Przy pani nie ma szans.

- Niech pan sobie daruje dowcipy.

- Przepraszam. - Lodowaty ton głosu Małgorzaty sprawił, że Jacek stracił ochotę do żartów. - Przypadkowe spotkanie po latach.

- Dużo tych przypadków w pana życiu. Renata, Barbara, Monika...

- Więc już pani wie...

- Chyba mógł pan przypuszczać, że dowiem się, więcej, niż można przeczytać w aktach.

- Ja... ja nie myślałem, że to ma jakieś znaczenie.

- Ma pan rację, to nie ma żadnego znaczenia. Zupełnie mnie nie obchodzi, ile panienek pan przeleciał i ilu wyznawał pan miłość. Ale podryw Moniki dla skrzynki whisky...

- Nie - Jacek przerwał jej gwałtownie. - To nie było tak, jak pani myśli.

- Nie sądzi pan, że byłoby lepiej, gdybym usłyszała to wszystko od pana?

- Wie pani, ten zakład... ja w ogóle o nim zapomniałem. To było tak długo przedtem...

- Przed czym?

- No... zanim się w niej zakochałem. Nie może mnie pani oskarżać o nieczyste zamiary.

- Ależ ja pana nie oskarżam. Zresztą, sam pan sobie winien, trzeba było nie prosić o pomoc prokuratora. Nie uważa pan, że jednak należy mi się jakieś minimum zaufania?

Jacek pokiwał głową.

- Z Moniką było zupełnie inaczej. Właściwie od samego początku. Ja naprawdę ją kochałem. Ona była tak delikatna, krucha, tak... nieprzystosowana do życia... Ten zakład był idiotyczny, ale ja go zaproponowałem, bo... bo chyba sam przed sobą nie chciałem przyznać, co do Moniki czułem.

## ROZDZIAŁ 36

Jacek otworzył szeroko windę. Ceremonialnym ruchem zaprosił Monikę do środka i gdy drzwi się zatrzasnęły, zatoczył ręką kilka kręgów wokół przycisków, aż w końcu wcisnął guzik z numerem 1.

- Jedziemy tylko na pierwsze? - zdziwiła się Monika. - Mogliśmy piechotą.

- Nie przemęczaj się, kiedy nie musisz. - Jacek wskazał na poważnie już zaokrąglony brzuch dziewczyny.

- Co to za tajemnicza wizyta? Nie powiesz mi, dokąd idziemy?

- To ściśle tajne.

Winda zatrzymała się na piętrze. Wyszli do małego przedsionka, z którego dodatkowe drzwi prowadziły na właściwy korytarz.

- Wiem - ucieszyła się Monika - chcesz mnie przedstawić swojej matce.

Jacek uśmiechnął się tajemniczo.

- Wytrzymaj jeszcze chwilę.

Monika chciała otworzyć drzwi, ale Jacek chwycił ją za ramię.

- Poczekaj. Najpierw zamknij oczy i na razie nigdzie się stąd nie ruszaj.

- Długo mam tak stać?

- Dziesięć sekund. Dam ci znać. Tylko nie podglądaj.

Jacek podszedł do drzwi jednego z mieszkań i otworzył kluczem zamek. Wrócił szybko i zanim Monika zdążyła się zorientować, chwycił ją na rękę. Przestraszona dziewczyna otworzyła oczy.

- Nie było hasła „nie podglądaj”.

Monika roześmiała się, chwyciła Jacka za szyję i posłusznie zamknęła oczy. Jacek wniósł ją do otworzonego wcześniej mieszkania i ostrożnie postawił na ziemi.

- Już możesz.

Monika rozejrzała się niepewnie.

- Witamy w domu. - Jacek wyciągnął zza wieszaka ukryty tam bukiet kwiatów i wręczył Monice. Widząc jej niepewność i zdumienie, wyjaśnił dokładnie.

- Tak, to nasze nowe mieszkanie, a właściwie twoje.

- Wynająłeś je? - ucieszyła się Monika.

- Nie, kupiłem. Dla ciebie, to znaczy dla nas. Na razie je zadatkowałem, ale akt notarialny jest już gotowy, możesz go podpisać w każdej chwili.

- Ale dlaczego tylko ja? - Monika była wyraźnie oszołomiona. - Przecież będziemy tu mieszkać razem.

- Wiesz, moja żona może mieć jakieś roszczenia przy rozwodzie, lepiej niech to od razu będzie na ciebie.

- Rozmawiałeś z nią? Zgodziła się?

- Taaak - potwierdził Jacek niepewnie - to znaczy nie - zaczął się plątać - to znaczy... tak. W końcu zostawiam jej cały dom.

- Cudownie! - Monika zbyt była przejęta, by zwrócić uwagę na pokrętność tłumaczeń.

- Chodź - Jacek szybko zmienił temat - obejrzyj naszą chatę. Kuchnia jest już urządzona, facet zostawił meble. Zobacz, czy ci się podobają, bo jak nie, to zaraz się wymieni.

Monika popatrzyła na meble rozkojarzona.

- No co, mogą być?

- Tak, mogą. Ale co powiedziała twoja żona? - przypomniała sobie o przerwany wątku.

- Nic, nic, wszystko w porządku.

- To może zdążymy ze ślubem, zanim dzidzius się urodzi?

- Na pewno, kochanie, spokojnie. Znam prawnika, który potrafi zdziałać cuda. Chodź, teraz zobacz duży pokój. - Jacek znowu spróbował odciągnąć uwagę Moniki od zasadniczego tematu.

- Prawdę mówiąc - Monika nie dała się zwieść - jak mnie przeniosłeś przez próg, miałam nadzieję, że może wszystko już załatwione.

- No bo tak jest. Prawie. Nie martw się, wszystko będzie dobrze.

- Ustaliłeś z nią wszystko czy nie?

Jacek popatrzył w podłogę.

- Dzisiaj to zrobię - obiecał w końcu, zdając sobie sprawę, że terminu decydującej rozmowy z żoną nie może przeciągać w nieskończoność.

Tego dnia Jacek zrezygnował z codziennej gry w kości z kolegami. Wrócił do domu zaraz po próbie w teatrze i już w progu wyczuł, że dzieje się coś dziwnego. Wokół panowała podejrzana cisza. Nie grało radio ani telewizor, nie słychać było dzieci, nikt mu nie wybiegł na spotkanie. Drzwi wejściowe były otwarte, więc raczej wszyscy powinni być w domu. Jacek zajrzał do kuchni i salonu, ale na dole nie zauważył nikogo. Dopiero gdy zaczął wchodzić po schodach, usłyszał dochodzące z dziecinniej sypialni szmery. Otworzył cicho drzwi, ukrył się za framugą, chcąc jak zwykle wyskoczyć niespodzianie i nastraszyć dzieciaki, jednak to, co zobaczył, odebrało mu ochotę do żartów.

Jego żona trzymała w jednej ręce zabrudzony ręcznik, a drugą tuliła do siebie trzyletnią Kasię. Mała była tak przerażona, że nawet nie miała siły łkać. O rok starszy Jasio siedział w kącie i cicho chlipał. Chłopiec pierwszy zauważył ojca.

- Tato, a jak ona umrze? - natychmiast podzielił się zmartwieniem.

- Cicho, Jasiu - matka skarciła syna. - Nie umrze.

- Co się stało? - Jacek mimo zapewnień żony trochę się zaniepokoił.

- Gorączka i wymioty. Cicho, kochanie - matka starała się uspokoić Kasię, która właśnie otrząsnęła się z szoku spowodowanego pierwszymi w życiu torsjami i zaczęła płakać - teraz już będzie dobrze, już dobrze.

- Mama, pić. - Niebezpieczeństwo zostało chwilowo zażegnane, więc Jasio uznał, że pora wreszcie zwrócić uwagę na siebie.

- Musisz poczekać. Jacek, idź do łazienki, wyrzuć to - żona wcisnęła mężowi brudny ręcznik - namocz świeży ręcznik w zimnej wodzie i przynieś mi.

Jacek wbiegł do łazienki, wrzucił brudny ręcznik do umywalki, rozejrzał się niezdecydowanie i wrócił do żony z pustymi rękami.

- Ale który ręcznik?

- Wszystko jedno, jak najmniejszy.

- Mama, pić! - Jaś coraz dobitniej domagał się swoich praw.

- Na stole w kuchni stoi kubek z herbatą. Idź i sobie weź.

- Nie, nie, ty mi daj - zażądał malec obrażony, że mama przez cały czas zajmuje się wyłącznie siostrą.

- Widzisz, że teraz nie mogę, poczekaj.



Jacek wrócił z mokrym ręcznikiem i podał go żonie. Anna przyłożyła kompres do czoła chorej dziewczynki.

- Mama, pić!!! - Jasio nie dawał za wygraną.
- Jacek, przynieś mu coś do picia albo w ogóle zabierz go stąd.
- Nie, nie, ja chcę tu zostać! Przynieś mi soku!

Jacek zbiegł po schodach. Zimny kompres przyłożony do rozgrzanego ciała Kasi sprawił, że dziewczynka zaczęła płakać jeszcze głośniej, próbując zedrzeć ręcznik z czoła.

- Przestań, nie rusz. Musisz wytrzymać choć trochę!
- Gdzie jest sok? - z kuchni dobiegł głos Jacka.
- Jak to gdzie, w lodówce. Dolej trochę gorącej wody.
- Nie ma gorącej wody.
- To zagotuj!
- Nie chcę z gorącą wodą! - Jasio zaprotestował dla zasady.
- To w ogóle nic nie dostaniesz. Jacek, wracaj!
- Gotuje się. - Jacek stanął w drzwiach pokoju.
- Chwała Bogu! - Anna otarła ręką pot z czoła. Dziewczynka na chwilę przestała płakać

i przytuliła się do matki.

- Jacek, idź do apteki i kup paracetamol. Tylko w czopkach.
- Jacek odwrócił się pośpiesznie i z ulgą wyszedł z domu.

Opakowane szarym papierem krzesła stały na środku pokoju. Jacek i Monika z niepokojem obserwowali tragarzy wnoszących do ich mieszkania stół. Starszy z mężczyzn, do którego młodszy zwracał się per „panie majster”, obejmował obiema rękami stół, trzymając w ustach zapalonego papierosa, z którego popiół zwisał niebezpiecznie nad nieosłoniętym blatem.

- Stół gdzie? - zapytał przez zęby, nie wyjmując papierosa z ust.
- Tu.
- Tam.

Jacek i Monika patrzyli na majstra jak zahipnotyzowani.

- To państwo się zastanowią - majster wyjął papierosa z ust i bezceremonialnie strząsnął popiół na podłogę - a w tym czasie my pójdziemy po resztę.

Tragarze wyszli. Jacek i Monika popatrzyli na siebie i w jednej chwili wybuchnęli śmiechem.

- Myślałem, że chciałaś mieć stół pod oknem.

- Bo w ogóle to jest najlepsze miejsce na stół, ale w tym akurat mieszkaniu to trochę za daleko od kuchni. Zanim zdążę donieść ci jajecznicę, już będzie zimna.

- Śniadania możemy jadać w kuchni.

- A jak się dzidzius urodzi? We trójkę się nie zmieścimy.

- Masz rację. Poddaję się.

W drzwiach pojawili się tragarze z kanapą.

- A to gdzie? - zapytał majster, ciągle trzymając w zębach coraz krótszego papierosa.

- Tam - szybko zdecydowała Monika, wskazując najbliższą ścianę.

- Tam - potwierdził Jacek. - Dziękuję, ze stołem sobie poradzimy.

Jacek wcisnął banknot do ręki majstra, w ten prosty sposób dając do zrozumienia, że jego misja została zakończona.

- Dzięki. - Monika się roześmiała, gdy drzwi za tragarzami wreszcie się zamknęły. - Gdyby przydeptał peta na podłodze, chyba bym mu zrobiła jakąś krzywdę.

Jacek usiadł na kanapie i wyciągnął do Moniki ramiona. Dziewczyna chwyciła go za ręce. Siadła obok i zaczęła skakać na kanapie, ciesząc się jak dziecko.

- Cudownie, po prostu cudownie. Nigdy nie byłam bardziej szczęśliwa.

- Nie podskakuj tak, jeszcze małemu serce wskoczy do gardła.

- Chciałabym tak tu z tobą siedzieć i siedzieć... Jacek? Kiedy się tu wprowadzisz na stałe?

- No... już wkrótce. Wiesz, wypadałoby raczej po rozwodzie...

- Rozmawiałeś z żoną?

- No... - Jacek poparzył na uradowaną Monikę i nie odważył się powiedzieć jej prawdy - no pewnie.

- Naprawdę? I co?

- Bez rewelacji. Rozwód w toku.

- Nie wierzę.

- To sprawdź. Trzydziestego lipca, Sąd Rejonowy, sala dwieście pięć. - Jacek aż się zdziwił, że kłamstwo tak łatwo przeszło mu przez gardło.

- Naprawdę?!

- Wolisz welon krótki czy długi?

Anna Jarecka była kobietą bardzo atrakcyjną, zresztą gdyby nie była, to Jacek, mężczyzna głęboko przeczulony na punkcie estetyki, nigdy by się z nią nie ożenił. To prawda, w podjęciu trudnej decyzji o porzuceniu stanu wolnego bardzo pomogła mu ciąża Anny, żywił jednak także głębokie przekonanie, że jest ona właśnie tą osobą, z którą warto wspólnie spędzić resztę życia. Niestety, ani to przekonanie, ani skądinąd szczere uczucie, którym darzył swą żonę, nie przeszkadzało mu w kolejnych skokach na boki. Traktował je z beztronską, przeświadczony, że wszystko może robić bezkarnie, skoro tak naprawdę kocha tylko Annę.

Kiedy pojawiła się Monika, sytuacja niespodziewanie zaczęła się komplikować. Jacek podejrzewał, że do żony docierały słuchy o jego licznych romansach, a jednak poinformowanie jej o istnieniu poważnej rywalki zdecydowanie przerastało jego siły. To prawda, opowiadał Monice o rozwodzie, ale tak naprawdę byłby najbardziej zadowolony z zachowania istniejącego stanu rzeczy. Dlatego bardzo niechętnie przyjął do wiadomości, że takie rozwiązanie nie wchodziło jednak w grę.

Tego wieczora Anna miała wreszcie dowiedzieć się o wszystkim. Jacek przygotował się do rozmowy solidnie. Wyszedł z teatru zaraz po wieczornym spektaklu, nie zahaczając nawet o bankiet z okazji setnego przedstawienia.

- Już jestem - zameldował się od razu po wejściu do domu.

Z pokoju dziecinnego dobiegł go głos żony czytającej bajkę. W pierwszej chwili, tak jak co dzień, chciał wejść na górę, żeby pobawić się z dziećmi, ale pomyślał, że chyba lepiej by było, żeby dziś akurat zasnęły wcześniej. Zawrócił ze schodów i wszedł do sypialni. Przebrał się w piżamę i wyciągnął na łóżku, sięgając po dawno nieaktualny numer „Polityki” leżący na nocnym stoliku. Przez chwilę próbował nawet czytać, ale kiedy zorientował się, że litery nie układają się w wyrazy, a wyrazy nie łączą się w zdania, odłożył gazetę. Popatrzył w niezastłonięte okno, za którym wyblakłym, pomarańczowym światłem świeciła latarnia, i tak znieruchomiał w oczekiwaniu na żonę.

Anna pojawiła się w drzwiach w sypialni niepostrzeżenie.

- Już wróciłeś? Myślałam, że zostaniesz na bankiecie.

- Wolałem wrócić do domu.

Anna popatrzyła na męża podejrzliwie.

- Zasnęły? - upewnił się Jacek.

- Nareszcie. Chyba już pora, żeby się nauczyły zasypiać same.

- Posłuchaj - Jacek przystąpił do wykonywania planu - mam ci coś ważnego do powiedzenia.

- Poczekaj, ja też. Zaraz wracam.

Anna zniknęła na dłuższą chwilę. Wróciła w skąpej, koronkowej bieliznie, okryta przejrzystym, lekkim peniuarem. Usiadła na skraju łóżka, tuż przy Jacku, eksponując swoje długie nogi. Pochyliła się nad mężem, całując go w usta i jednocześnie rozpinając guziki jego pizamy.

- Mam bardzo poważne pytanie - szepnęła mu do ucha, delikatnie muskając językiem małżowinę. - Jak ci się podoba moje nowe dessous?

Jacek popatrzył na żonę i pomyślał, że rozmowa może jeszcze poczekać.

## **ROZDZIAŁ 37**

Dom Opieki Społecznej imienia Matki Teresy mieścił się w poszpitalnym budynku na skraju miasta. Wystarczyło kilka rozmów z uczynnymi sąsiadkami i Małgorzacie udało się ustalić, że od kilku lat przebywa tam, sparaliżowana po rozległym wylewie, matka Moniki Zasławskiej. Jej druga córka niedługo po śmierci Moniki wyjechała do Stanów. Tam wyszła za mąż za idealistę, z którym w ramach Korpusu Pokoju pojechała nieść kaganek oświaty gdzieś wśród partyzantów Świetlistego Szlaku. Odnalezienia jej nie podjąłby się nawet detektyw Rutkowski.

Małgorzata była umówiona na konkretną godzinę, ale na spotkanie kazano jej długo czekać. Siedziała w rozległym holu, na końcu długiego korytarza, nie będąc pewna, czy rozmowa w ogóle dojdzie do skutku. Siostra przełożona, gdy dowiedziała się o przyczynie wizyty, zrobiła się wyjątkowo nieprzychylna. W pewnym momencie Małgorzata pomyślała nawet, że łatwiej by jej było odnaleźć siostrę Moniki w dżungli Amazonii, niż przekonać siostrę Klarę, że widzenie z panią Zasławską jest jej niezbędnie potrzebne.

Wreszcie, po czterdziestu minutach, na końcu korytarza pojawiła się zakonnica pchająca przed sobą wózek inwalidzki, na którym siedziała starsza kobieta. Zakonnica zatrzymała wózek przy Małgorzacie, nie uważając nawet za stosowne, by się przywitać.

- To pani chciała się widzieć?

- Tak - Małgorzata szybko wstała - dziękuję, że siostra się zgodziła.

- To nie moja decyzja - szorstko odparła zakonnica. - Nikt by tu pani nie wpuścił, gdyby nie wola pani Zasławskiej.

Kobieta na wózku z dużym wysiłkiem uczyniła nieznaczny, karcący gest ręką. Zakonnica przystawiła wózek do fotela Małgorzaty.

- Proszę pamiętać, że chorej należy oszczędzić silnych emocji. Ma pani kwadrans.

Siostra Klara wyjęła z kieszeni habitu różaniec i usiadła na jednym z foteli. Małgorzata popatrzyła na nią nieufnie. Widząc, że na rozmowę sam na sam nie ma co liczyć, zbliżyła swą twarz do twarzy matki Moniki i zaczęła cicho:

- Przepraszam, że zmuszam panią do przeżywania tej tragedii jeszcze raz, ale chciałabym...

- Pani Zasławska potrafi zrozumieć pani motywy - przerwała jej zakonnica. - Proszę przejść do konkretów.

Małgorzata przełknęła uwagę, zagryzając wargi.

- Jacek Jarecki twierdzi, że nie zabił pani córki, i chciałby to udowodnić. Badam tę sprawę i z każdym dniem nabieram coraz większego przekonania, że to jednak nie jego wina.

Na twarzy Zasławskiej pojawił się bolesny grymas, natychmiast dostrzeżony przez siostrę Klarę. Zakonnica podniosła się ze swego miejsca, ale kobieta na wózku usadziła ją nieznacznym ruchem ręki.

- On zniszczył nam życie - wyszeptała z dużym trudem.

- On też stracił dziesięć lat swojego życia. Odpokutował w więzieniu za coś, czego nie zrobił.

Zakonnica gwałtownie wstała i zacisnęła palce na różańcu.

- A wszystko inne to się nie liczy? - zawołała z pasją. Niech pani nie broni tego grzesznika! Spotkała go zasłużona kara. Okłamywał żonę, krzywdził swoje dzieci. A potem tak samo okłamywał Monikę! Mówił, że kocha, że już, już się rozwodzi! Monika była taka zakochana, taka szczęśliwa, tak mu wierzyła! Kiedy jej powiedział, że wraca do żony, musiało jej serce pęknąć! A on twierdził, że przyjęła to zupełnie spokojnie - podobno i tak od dawna się tego spodziewała. To jakiś absurd!

Małgorzata słuchała słów zakonnicy w osłupieniu.

- Skąd siostra wie, że chciał wrócić do żony?

- Jak to skąd? Przecież sam się przyznał do tego na procesie. Potem zresztą to odwołał, jak wszystko inne. Zmieniał zeznania jak rękawiczki, nic dziwnego, że sąd mu nie uwierzył. Nawet jeśli nie zrobił tego własnymi rękami, to jego wina nie pozostawia wątpliwości.

Zakonnica rozluźniła chwyt na różańcu, wypuściła z ust resztkę powietrza i oklapła na fotelu bez siły. Małgorzata po raz pierwszy popatrzyła na nią życzliwiej.

- Widzę, że siostra jest doskonale wprowadzona w tę sprawę.

- Pani Zasławska nie rozmawia na inne tematy...

## ROZDZIAŁ 38

Małgorzata należała do tych nielicznych szczęściarzy, którzy najpierw mają samochód, a dopiero potem uczą się nim jeździć. Żółte cinquecento otrzymała w spadku po dalekim wujku, znanym kpiarzu. Wujek dobrze wiedział, że Małgorzata z uporem odmawia nauki kierowania pojazdami mechanicznymi i chyba tylko żeby zrobić ostatni dowcip zza grobu, właśnie jej przekazał w testamencie samochód. Małgorzata nie dała jednak wujowi okazji do chichotu z zaświatów i zdała egzamin na prawo jazdy, mieszcząc się w średniej krajowej, czyli już za trzecim razem. Miała jednak niejasne przeczucie, że podarowanie jej samochodu nie było ostatnim dowcipem szalonego wujka - jego duch na pewno da jeszcze o sobie znać i to w najbardziej nieoczekiwanym momencie. Moment ten, zdaje się, właśnie nastąpił.

Gdy Małgorzata opuściła Dom Opieki, na dworze było już ciemno. Dzielnica nie zachęcała do spacerów, na szczęście udało jej się zaparkować tuż przy wejściu, drogę do samochodu pokonała więc w kilka sekund, nie tracąc czasu na zawarcie z ponurą okolicą bliższej znajomości.

Cinquecento, choć wiekowe, przebieg miało niewielki i do tej pory nie sprawiało żadnych kłopotów, ale właśnie zaczęło zachowywać się podejrzanie. Po przekręceniu kluczyka w stacyjce silnik długo charczał, a kiedy już, już, wydawało się, że zaskoczy, niespodziewanie gasł. Małgorzata początkowo starała się nie zdradzać oznak niepokoju, kiedy jednak za siódmym razem samochód w ten sam sposób odmówił posłuszeństwa, pomyślała, że trudno - wujkowi po raz kolejny się udało. Pogodzona z losem sięgnęła po komórkę, aby wezwać pomoc drogową, ale w tym momencie uświadomiła sobie, że nawet nie wie, gdzie zadzwonić. Na dodatek już od jakiegoś czasu jej telefon sygnalizował, że bateria jest na wyczerpaniu. Odrzuciła komórkę na siedzenie pasażera, oparła ramiona o kierownicę i ukryła w nich głowę. Miała szczerą ochotę i naprawdę dobre powody, żeby się rozplakać. Znowu czuła się oszukana. Jaskrawa analogia postępowania Jacka do sytuacji dobrze jej znanej z autopsji nie mogła pozostać bez wpływu na stan jej ducha. Ostatni narzeczony Małgorzaty na miesiąc przed wyznaczonym terminem ślubu zerwał z nią, bo zrobił dziecko innej kobiecie i wypadało, żeby ożenił się z tamtą. Małgorzata już prawie zdążyła zapomnieć i odżalować, ale historia Jacka boleśnie odnowiła jej własne rany. Nic to - pociągnęła nosem, po raz kolejny wzięła się w garść i sięgnęła po komórkę. Może uda się wykonać chociaż jeden telefon.

## ROZDZIAŁ 39

Małgorzata wyszła z samochodu, by rozprostować kości. Zdażyła zrobić kilka rundek wokół cinquecento, bojąc się oddalać od jedynej na tej ulicy sprawnej latarni, kiedy tuż obok niej z piskiem opon zatrzymał się czerwony volkswagen. Tak szybkie pojawienie się Karola mogło świadczyć albo o tym, że pędził na złamanie karku z domu na Bemowie, lekceważąc po drodze wszystkie przepisy, albo jechał ze Śródmieścia, co by znaczyło, że o ósmej wieczorem był jeszcze w pracy. Karol wynurzył się ze swego samochodu w garniturze - a więc jechał prosto z prokuratury. Małgorzata uspokoiła się trochę. Karol nie narażał się na niebezpieczeństwo utraty prawa jazdy z jej powodu, jednak jego strój wzbudził w niej wątpliwości innej natury. Zaczęła poważnie wątpić, czy rzeczywiście jest on w tej sytuacji właściwą osobą na właściwym miejscu.

- Dzięki, że przyjechałeś, ale wystarczyło, gdybyś mi podał numer pomocy drogowej.

- Może obejdzie się bez mechanika.

- Nie wiedziałam, że się na tym znasz.

- Nie wiem, czy się znam, to się dopiero okaże. Mogę prosić o kluczyki?

- Tak. - Małgorzata sięgnęła do torebki, ale kluczyków tam nie znalazła. Gorączkowo zaczęła przeszukiwać kieszenie płaszcza, potem żakietu, a wreszcie spodni. Karol otworzył drzwi cinquecento i pokręcił głową z dezaprobatą.

- Nigdy tego nie rób. - Widząc kluczyki w stacyjce, pozwolił sobie na chyba pierwszą w życiu krytyczną uwagę pod adresem Małgorzaty. - Po takim numerze można wracać do domu na piechotę.

Usiadł za kierownicą i przekręcił kluczyk. Silnik powalczył trochę dla zasady, po czym, tak jak poprzednio, zgasł. Karol wysiadł, podniósł maskę, podciągnął rękawy garnituru i zagłębił się w czeluściach samochodu. Małgorzata obserwowała go uważnie, nie oczekując jednak zbyt wiele.

- No i co? - zapytała w końcu, nie mogąc się doczekać efektów oględzin.

Karol zatrzasnął pokrywę silnika i otrzepał ręce.

- Tak jak myślałem. Wygląda, że to tylko świece - oświadczył autorytatywnie. - Masz jakieś na wymianę?

Małgorzata miała minę, jakby słowo „świece” kojarzyło jej się wyłącznie z kolacją we dwoje.

- Chodź, podjedziemy. - Karol otworzył drzwi swego samochodu i zaprosił Małgorzatę do środka. - Powinni mieć na jakiejś stacji benzynowej.

Siadając na miejscu pasażera, Małgorzata uświadomiła sobie ze zdumieniem, że obecność Karola nie jest jej obojętna, a nawet w jego towarzystwie doświadcza poczucia bezpie-

czeństwa, co nie przydarzyło jej się od lat. Refleksja ta sprawiła, że popatrzyła na Karola z prawdziwą wdzięcznością.

- Wiesz, dobrze, że jednak przyjechałeś.

- Dla ciebie - zawsze - zadeklarował Karol odważnie, z trudem ukrywając, jak wiele go to kosztowało.

Małgorzata zerknęła na niego z ukosa, nie wiedząc, na ile poważnie ma traktować to wyznanie, jednak beznamiętny wyraz twarzy Karola wykluczył rodzące się w niej podejrzenie, że jego słowa są czymś więcej niż kurtuazją. Karol włożył do magnetofonu kasetę i po chwili z głośników popłynęły dźwięki *Czterech pór roku*.

- Lubisz Vivaldiego? - Małgorzata nie kryła zaskoczenia.

- Uwielbiam - potwierdził Karol bez mrugnięcia okiem.

- Ja też. A czego jeszcze słuchasz?

Karol nerwowo starał sobie przypomnieć, jakie płyty widział w czasie ostatniej wizyty u Małgorzaty, ale w głowie miał czarną dziurę.

- Sibeliusa - odpowiedział w końcu zgodnie z prawdą - Griega i... Dire Straits - co, o dziwo, spotkało się z pomrukiem aprobaty.

- Ja jeszcze lubię Brubecka - dorzuciła.

Wiem, pomyślał Karol, przypominając sobie, w jakich to okolicznościach przydarzyło mu się zasnąć pamiętnego wieczoru.

- Wiesz, Karol, przepraszam, że ci zajęłam tyle czasu.

- Drobiazg, nie ma o czym mówić. Zawsze możesz zadzwonić, o każdej porze.

- Dzięki. Mam wyrzuty sumienia, że cię traktowałam tak trochę... no wiesz... no nie tak... nie zawsze tak, jak powinnam.

- Może jeszcze uda się to naprawić. - Karol uśmiechnął się zachęcająco.

- Słowo daję, że też ty masz cierpliwość do takiej potwory, jak ja.

- Nie potwory, tylko poczwarki, jeśli już. Takiej poczwarki w skorupce. Ale wystarczy poczekać, aż skorupka pęknie, i nie ma takiej siły, każda poczwarka musi zamienić się w motyla.

- No to ja pękam. - Małgorzata się roześmiała.

Niespodziewanie pomyślny rozwój wypadków wprowadził Karola w stan bliski ekstazy, kiedy więc zadzwoniła jego komórka, nie sprawdził nawet, kto dzwoni, tylko od razu włączył urządzenie głośnomówiące.

- Słucham.



- Dzień dobry, panie Karolu - w słuchawce odezwał się głos Wolińskiego. - Coś dawno pan nie meldował, co tam u naszej pięknej Małgorzaty. Ciągłe się na mnie gniewa?

Karol zamarł na sekundę, po czym raptownie wyrwał komórkę z urządzenia i wydukał do słuchawki:

- Przepraszam bardzo, panie ministrze, ale nie mogę teraz rozmawiać, zadzwonię później... dobrze, jutro, dobranoc.

Karol głęboko wcisnął się w fotel, nie mając odwagi zerknąć na Małgorzatę, i dobrze, bo gdyby spojrzenia zabijały, jego los byłby w tej chwili przesądzony.

- Zatrzymaj się - wycedziła lodowato. - Ja wysiadam.

- Ale... - Karol nie spodziewał się aż tak gwałtownej reakcji. - To nie jest tak, jak myślisz...

- Ciekawe, czy wiesz, jak często to ostatnio słyszałam. „To nie jest tak, jak pani myśli - Małgorzata naśladowała głos Wolińskiego. - Ja panią naprawdę bardzo cenię”. „To nie jest tak jak pani myśli - tym razem sparodiowała Jacka. - Ja ją naprawdę kochałem”. Ale, że ją chciałem rzucić, na miesiąc przed porodem, to drobiazg, bo ją przecież kochałem. „To nie jest tak jak myślisz” - tym razem dostało się Karolowi. - Ciekawe, dlaczego ja zawsze myślę inaczej niż wszyscy. Potrafisz mi to wyjaśnić? Zatrzymaj się, ja wysiadam.

Karol odruchowo zatrzymał samochód, a Małgorzata, niewiele się namyślając, wyskoczyła na ulicę, ze złością trzaskając drzwiami. Posunięcie było o tyle nieroztropne, że miejsce, gdzie wysiadła, okazało się kompletnym pustkowiem, bez żadnej szansy na przystanek autobusowy w przyzwoitej odległości. Znajdowali się na skraju lasu, dalej było jakieś wielkie pole, dopiero hen za horyzontem majaczyły światła, świadczące o cywilizacji. Przenikliwy chłód panujący na dworze i zaczynający siąpić deszcz były w tej sytuacji zupełnie nieistotnym drobiazgiem. Karol wychylił głowę przez otwarte okno.

- Małgorzata, nie wygłupiaj się, wracaj.

Małgorzata oczywiście natychmiast zdała sobie sprawę, że jej położenie nie przedstawia się różowo i że, niestety, co do wygłupiania się, Karol ma rację. Świadomość ta bynajmniej nie poprawiła jej nastroju. Odeszła kilkadziesiąt metrów dalej i zamachała w kierunku przejeżdżającego samochodu, pierwszego, który pojawił się na całkiem pustej od kilku minut drodze. Nie spowodowało to jednak oczekiwanej przez nią reakcji. Światła samochodu zgasły za horyzontem, a Małgorzata, jeśli pominąć Karola, do którego ambicja w żaden sposób nie pozwoliłaby jej zwrócić się o pomoc, została na drodze sama.

## ROZDZIAŁ 40

Restauracja „Urocz” nie należała do miejsc, gdzie się można lansować, była za to lokalem, gdzie się bywało chętnie. Miękkie, wygodne krzesła zapraszały do biesiadowania, masywne, ciosane z litego drewna stoły mogły spokojnie przyjąć każdą ilość nawet najbardziej ciężkostrawnych potraw. O dziewiątej wieczór w dzień powszedni prawie wszystkie stoliki były zajęte, na wolnych zaś stały karteczki z napisem „rezerwacja”. Nie znaczyło to wcale, że wszystkie były zarezerwowane. Właściciel restauracji, Roman Kulka, lubił sam dobierać sobie klientelę. Jeśli gość nie wzbudził jego zaufania od pierwszego wejrzenia, wychodził z „Uroczej” głodny. Tajemnica sukcesu lokalu kryła się po pierwsze w niezbyt wysokich, jak na warunki warszawskie cenach, po drugie w swojskości podawanych potraw, nad którymi gość nie musiał zachodzić w głowę, co będzie jadł, jeśli zamówi ratatouille, po trzecie - wódka zawsze była zimna i po czwarte, najważniejsze - tania. Dodatkowo każdego dnia odbywały się tam na żywo koncerty muzyki, którą kiedyś nazywano rozrywkową, potem disco-polo, a dzisiaj, choć repertuaru w niczym to nie zmieniło - muzyką biesiadną. Do tego jeszcze, japońskim zwyczajem, w kilku punktach sali rozmieszczone były telewizory, na których pojawiały się słowa śpiewanych przebojów; klienci mogli sobie nie tylko posłuchać, ale i pośpiewać do kotleta. A że kotlety były schabowe i nie przypominały w niczym surowej ryby ani innych japońskich wynalazków, jasna przyszłość lokalu wydawała się niezachwiana.

Szukanie pracy w takim miejscu nie było dla Jacka szczytem marzeń, ale po ostatniej aferze z reklamą jego dawny agent w ogóle przestał się do niego odzywać. Telefony prawie wszystkich reżyserów, z którymi kiedyś pracował, już dawno nie były aktualne. Zdobycie nowych, po trzy razy zastrzeganych, okazało się zadaniem przekraczającym Jacka możliwości. Tylko Nardowski nie zmienił numeru, ale to dlatego, że już 10 lat temu mieszkał na Kolonii Staszica, w willi odziedziczonej po dziadkach. Kiedy jednak usłyszał w słuchawce głos Jacka, po zdawkowo przyjaznym powitaniu szybko skończył rozmowę, obiecując, że jakby co, to na pewno do niego zadzwoni.

Jacek siedział przy fortepianie, bawiąc publiczność restauracji „Uroczej” starym przebojem *Cała sala śpiewa z nami*. Gdy doszedł do słów „hiszpański walczyk w sam raz”, wstał i uderzając dwa ostatnie akordy odwrócony tyłem do fortepianu, zaczął stepować na pokrytej linoleum podłodze. Zakończył występy tanecznym ole! i uklonił się nisko. Przy akompaniamencie gorących oklasków przysiadł się do stolika z napisem „private”, gdzie urzędował samotnie właściciel lokalu Roman Kulka. Mały, łysiejący grubasek w okularach, łypiąc dookoła sali czujnym okiem, starał się jednocześnie wprowadzić jakiś stan uporządkowania w stercie leżących na stole papierów.

- No, nieźle to panu wyszło - pochwalił Jacka otwarcie, klepiąc go przyjaźnie po plecach. - Całkiem nieźle.

- Dziękuję.

- To kiedy mógłby pan zacząć?

- W każdej chwili.

- Nawet dziś?

- Nawet dziś.

- Dobrze, dobrze, lubię stuprocentową dyspozycyjność. O - właściciel odkrył w Jacka podaniu o pracę istotny szczegół - widzę, że skończył pan Szkołę Teatralną.

- Tak, dawno temu.

- To powinien pan spotkać tu trochę znajomych.

Roman Kulka zsunął okulary z nosa, rozejrzał się po sali i po chwili wyłowił wzrokiem osobę, której szukał.

- O - wskazał ręką - tamten chłopak też jest po szkole aktorskiej. Ale woli biegać po sali. Z napiwków lepiej wyciąga. Zna go pan?

- Nie, to już inne pokolenie.

- No tak. - Właściciel znowu wczytał się w papiery. - Zaraz, a co pan robił przez ostatnie dziesięć lat? Bo tu się kończy na Teatrze Nowoczesnym.

- Siedziałem w Białoleścu.

- Tam jest jakiś teatr?

- W więzieniu.

- Teatr w więzieniu? - Romanowi Kulce kojarzenie faktów przychodziło z dużym trudem.

- Byłem skazany - Jacek wyjaśnił precyzyjnie.

- Aha... - do Romana Kulki dopiero teraz dotarł sens usłyszanych słów. - To ja do pana zadzwonię... jakby co.

## **ROZDZIAŁ 41**

Ruch na drodze zrobił się wprawdzie trochę większy, ale chętnych, by zatrzymać się na pustkowiu i podwieźć zdesperowaną autostopowiczkę w środku nocy, jakoś brakowało. Wezwanie taksówki także nie wchodziło w rachubę, bo bateria w komórce padła już zupełnie. Po półgodzinie Małgorzata zaczęła powoli godzić się z myślą, że będzie się musiała ukorzyć przed Karolem, który zamiast oszczędzić jej wstydu i pojechać w siną dal, koczował wiernie

na poboczu w swym samochodzie. I wtedy tuż obok niej zatrzymał się zdezelowany czarny mercedes. Kierowca odkręcił szybę, popatrzył na Małgorzatę i cmoknął z uznaniem.

To prawda, Karol czuł do Małgorzaty żal, nawet duży żal, ale na szczęście nie aż tak duży, by zostawić ją samą na pustkowiu. Ustawił lusterka w samochodzie w ten sposób, aby móc obserwować bieg wydarzeń bez odwracania głowy. Zgasił światła i pomyślał, że klimat i okoliczności są po jego stronie, na zmianę nastroju Małgorzaty nie będzie więc musiał długo czekać. Gdy przy Małgorzacie zatrzymał się czarny mercedes, Karol trochę się zaniepokoił. Kiedy zaś Małgorzata odsunęła się od mercedesa, dając kierowcy znaki, by odjechał, bo nie ma zamiaru skorzystać z jego oferty - poczuł nagły przypływ adrenaliny. Z tylnego siedzenia mercedesa wyskoczył jakiś mężczyzna, podbiegi do Małgorzaty i chwycił ją za ramię. Karol bez zastanowienia uruchomił silnik. Zawrócił z piskiem opon, nie zapalając świateł, i w kilka sekund był tuż przy Małgorzacie. Mężczyzna z mercedesa, zaskoczony brawurową akcją czerwonego garbusa, rozluźnił uścisk i Małgorzacie bez trudu udało się wyszarpać ramię z jego dłoni. Otworzyła drzwi volkswagena i wskoczyła do środka. Karol ruszył, zanim nawet zdążyła zamknąć drzwi. Wcisnął gaz do dechy, z niepokojem obserwując mercedesa w lusterku. Jego kierowca nie był jednak amatorem trudnych zdobyczy, bo po krótkim namyśle ruszył w przeciwnym kierunku. Karol zwolnił i włączył światła.

Małgorzata drżała z zimna, szczękając zębami i rozcierając skostniałe dłonie.

- Dzięki - odezwała się po dłuższej chwili. Karol nawet na nią nie spojrzał.

- Możesz włączyć ogrzewanie? - poprosiła, nie doczekawszy się reakcji.

Karol bez słowa przekręcił dmuchawę i skierował na Małgorzatę strumień ciepłego powietrza.

- Przepraszam.

- Nie ma sprawy. - Obojętność w głosie Karola zaskoczyła nawet jego samego.

- Zachowałam się jak smarkacz.

- Nie będę polemizował.

Małgorzata nieznacznie się uśmiechnęła.

- Boże, tak mi wstyd.

- Daj spokój. - Karol uznał, że została już wystarczająco ukarana, i pocieszył ją wielkodusznie. - Ja właściwie już o wszystkim zapomniałem. Możemy się umówić, że nic się nie stało.

- Nie gniewasz się?

- Ja się nigdy nie gniewam, tylko czasami jest mi przykro.

- Przepraszam.

- Czym ci tak dopiekł ten Jarecki?

- Tak, powiem ci, a jutro pójdziesz i... - i doniesiesz Wolińskiemu, chciała dokończyć Małgorzata, ale w porę ugryzła się w język.

- I co?

- Nieważne. Jarecki to gnojek. Nie wiem, czy zabił, ale chyba wcale mi go nie żal, że siedział.

- Nawet jeśli nie zabił?

- Nawet jeśli nie zabił, to nie znaczy, że nie był winny.

- Miałaś być adwokatem, a wychodzi z ciebie prokurator.

- Nie miałam być adwokatem, miałam wyjaśnić prawdę.

- I jak ci idzie?

- Muszę sobie to wszystko jakoś poukładać.

Ciemność za szybami rozjaśnił nagle rząd kolorowych świateł, co oznaczało, że dojechali właśnie do stacji benzynowej. Karol zatrzymał się tuż przy wejściu.

- Kupię te świece. Pojedziemy wymienić i znikam. Z twojego życia też - rzucił prowokacyjnie, wychodząc z samochodu - jeśli tylko tego chcesz.

Nie spodziewał się jednak, że jej reakcja będzie natychmiastowa.

- Nie chcę. Tego akurat jestem pewna, że nie chcę.

Odrzucił się szybko, chcąc ukryć zaskoczenie i wtedy, w świetle jarzeniówek, Małgorzata zauważyła na jego marynarce dużą plamę.

- Ubrudziłeś sobie rękaw na łokciu.

- O rany - Karol przezornie obejrzał oba łokcie - jedyny garnitur.

- Kup te świece, to poszukamy jakiejś pralni.

## **ROZDZIAŁ 42**

Znalezienie w dwumilionowym mieście pralni czynnej po dwudziestej drugiej okazało się zadaniem dużo trudniejszym niż zakup świec. Małgorzata przypomniała sobie, że w pobliżu jest supermarket otwarty całą dobę, a zwykle w takich miejscach bywają również pralnie. Gdy dotarli na miejsce, stwierdzili, że pralnia owszem, jest, ale od dwóch godzin zamknięta na głucho, a w supermarkecie całodobowe ostało się tylko stoisko monopolowe. Małgorzata czuła się odpowiedzialna za brudny rękaw marynarki Karola. Nie mogła dopuścić do tego, żeby z jej powodu prokurator pojawił się nazajutrz w pracy bez garnituru. Zakupienie nowego nie wchodziło w grę z takich samych przyczyn, jak oddanie do pralni starego. Intensywne

poszukiwanie ewentualnego pożyczkodawcy wśród znajomych Małgorzaty również nie wchodziło w grę. Po dłuższym namyśle doszła bowiem do wniosku, że jedynym mężczyzną, do którego odważyłaby się zadzwonić o tej porze, był Józef, a w tym wypadku nie można było na niego liczyć z przyczyn formalnych - jego podejście do doboru garderoby było zupełnie nieadekwatne do norm obowiązujących urzędników państwowych. W chwili desperacji pomyślała nawet, żeby w ramach protestu zakupić butelkę wódki i opróżnić ją, ale myśl ta natchnęła ją, na szczęście, do podjęcia innych kroków.

- Zaczekaj. - Zatrzymała Karola przy wyjściu ze sklepu, a sama wróciła do środka.

Po chwili wyszła stamtąd, ściskając w dłoni butelkę.

- Spirytus - uświadomiła lekko zaniepokojonego Karola. - Może od tego zejdzie, a jak nie - Małgorzata poczuła twórcze natchnienie - spróbujemy benzyną. Powinnam mieć jakąś resztkę w kanistrze. Wracamy do mojego samochodu - zarządziła autorytatywnie i usadowiła się zadowolona na miejscu pasażera.

Karol pogodził się już z myślą o utracie garnituru i starał się przekonać sam siebie, że w gruncie rzeczy nie jest mu on niezbędny do życia, ale poszukiwania Małgorzaty były mu bardzo na rękę. Oznaczały one bowiem, że będzie mógł z nią przebywać przez kolejne godziny, co jeszcze nie tak dawno wydawało mu się nieosiągalne. Przekręcił ochoczo kluczyk w stacyjce i korzystając z okazji, że nastrój Małgorzaty uległ znacznej poprawie, postanowił zakończyć raz na zawsze temat Wolińskiego.

- Wiesz, z Wolińskim to naprawdę nie było tak jak myślisz.

Małgorzata popatrzyła na niego zaskoczona.

- Wiesz, dzięki komu dostałaś te akta Jareckiego?

- No, załatwiłaś z panią Basią.

- Aha, z panią Basią, tylko wcześniej Woliński napisał stosowny wniosek.

- Żartujesz?

- Kiedy zadzwoniłaś, on ze mną jechał. Wszystko słyszał. Niestety, musisz się pogodzić, że to nie wpływ mojego uroku osobistego na panią Basie, tylko twój ulubiony minister załatwił ci te papiery.

- A wiesz - Małgorzata zaczęła kojarzyć fakty - to nawet ma sens. W końcu wtedy na wernisazu poznał mnie z tym kolegą Jacka. Podejrzewam, że ta Barbara to też jego sprawka. Tylko... po co?

- To proste, boi się, żebyś nie zrobiła zamieszania w mediach z powodu twojej dymisji.

- No proszę, nie myślałam, że jestem taka ważna. Ale to by było zbyt proste. Na pewno jeszcze o coś mu chodzi.

- Nie wiem, może... może on ma też trochę wyrzutów, że cię zwolnił?

- Nie, nie! Tacy ludzie nie znają tego słowa.

- To już nie wiem... Tak czy inaczej, jutro idę mu powiedzieć, że może mnie co najwyżej w gołą dupę pocałować.

Małgorzata wyobraziła sobie ministra Wolińskiego całującego z uszanowaniem tyłek Karola i myśl ta wzbudziła w niej taką wesołość, że gdyby nie była przypięta pasami do fotela, turlałaby się po podłodze ze śmiechu.

- No, może nie dosłownie - wycofał się Karol, nie spodziewając się aż tak gwałtownej reakcji na banalny w końcu żart. Małgorzata już prawie łkała ze śmiechu.

- Może powinienem powiedzieć ci o tych aktach wcześniej, ale nie mogłem. No dobra, trudno, przyznam się - jestem tchórzem. I nic mnie nie obchodzi, co sobie o mnie pomyślisz.

- Naprawdę? - wyjąkała Małgorzata nękana wizją gołych pośladków Karola.

- Naprawdę... - Karol dramatycznie zawiesił głos - to jednak bardzo mnie obchodzi.

Małgorzata przestała się śmiać. Przyjrzała się Karolowi uważnie.

- Karol? - zagaiła zupełnie innym tonem. - Znamy się już tyle lat...

- Uhm? - Karola zaniepokoiła ta nagła zmiana nastroju.

- Dlaczego ty ciągle nazywasz mnie Małgorzatą?

- Przecież tak masz na imię.

- Czy nie mógłbyś, tak jak wszyscy, mówić na mnie Małgośka?

- No... ale przecież...

A Goethe - pomyślał Karol - a Bułhakow, a symbol kobiecości? Mam to wszystko zamienić na Marylę Rodowicz? No, właściwie na Osiecką, to już lepiej.

- Dobrze, jeśli chcesz...

Właściwie, czemu nie? - rozmyślał dalej. - Zamiana Małgorzaty na Małgośkę to zupełnie jak bruderszaft. Szkoda tylko, że bez pocałunku. Ciekawe, jak by zareagowała Małgorzata, gdyby jej coś takiego zaproponował. Zanim jednak zdążył się rozmarzyć, na horyzoncie pojawiło się żółte cinquecento.

- Przeczytałaś już wszystkie akta? - Karol przypomniał sobie o czekających go jutro przejściach. - Na pewno zaraz każą mi je zwrócić.

- Tak, możesz zabrać, już mi nie będą potrzebne.

Z nowymi świecami silnik cinquecento zapalił już bez żadnych protestów i to za pierwszym razem. Karol wyjął kluczyki ze stacyjki i podał je Małgorzacie.

- Wszystko w porządku. Możesz jechać.

- Karol, jesteś wielki.

Niewiele się namyślając, Małgorzata pocałowała go w policzek.

- No, coś ty - zdołał tylko wykrztusić Karol, ukrywając twarz w cieniu latarni.

- No dobrze, to teraz do mnie - zarządziła Małgorzata. - Przecież cię nie zostawię tak z tym garniturem. Pojedziesz za mną, dobrze?

Karol pokiwał głową i odruchowo zerknął na zegarek.

- O rany - Małgorzata zauważyła ten gest - jak już późno. Może lepiej zadzwoń do mamy.

- Nie muszę. - Karol ożywił się niespodziewanie. - Wyprowadziłem się - oświadczył z dumą.

- No, w to już nie uwierzę.

- Masz rację. - Karol roześmiał się głośno. - Sama mnie wyrzuciła. Powiedziała, że już czas najwyższy odciąć pępwinę.

- Możesz mnie poznać z twoją mamą? Chyba się z nią zaprzyjaźnię.

Karol popatrzył na Małgorzatę podejrzliwie.

## **ROZDZIAŁ 43**

Dźwięk dzwonka, który zabręczał w głowie Małgorzaty, przerwał brutalnie jej całkiem przyjemne senne majaki i to akurat w momencie, gdy w półśnie, półjawie zaczęły przybierać bardziej zdecydowane kształty. Nie otwierając oczu, w nadziei że może uda jej się poznać zakończenie filmu, którego była główną bohaterką, wymacała na nocnym stoliku słuchawkę telefoniczną. Aby odstraszyć śmiałka, który odważył się zadzwonić do niej o tak wczesnej porze, niezyczliwym głosem rzuciła „halo”, co w jej wykonaniu zabrzmiało zupełnie, jakby burknęła „czego?”. Usłyszała w słuchawce tylko ciągły sygnał, a dzwonek, tym razem w absolutnie już rzeczywistym świecie, zadźwięczał jeszcze raz. Niechętnie otworzyła oczy, po czym bez entuzjazmu zwlokła się z łóżka. Podeszła do drzwi i wyjrzała przez wizjer.

Widok Jacka Jareckiego sprawił ją w zakłopotanie, bo przyjmowanie obcych mężczyzn w piżamie nie należało do jej ulubionych rozrywek. Opanowała jednak odruch ucieczki i zamiast udać, że nie ma jej w domu, krzyknęła przez zamknięte drzwi „Już otwieram”. Wbrew swoim słowom weszła do łazienki, uczesała potargane włosy, włożyła czerwoną podomkę w białe paski i dopiero wtedy otworzyła drzwi.



- Przepraszam, chyba panią obudziłem. - Na widok Małgorzaty w stroju niedbałym Jacek trochę się zmieszał. - Umawialiśmy się na dzisiaj, na dziewiątą.

Małgorzata zerknęła na zegarek, który nieubłaganie wskazywał kwadrans po dziewiątej, i westchnęła zawstydzona, z trudem opanowując ziewanie.

- To ja przepraszam, tyle się wczoraj wydarzyło. Da mi pan jeszcze dziesięć minut?

- Jasne - przytaknął Jacek skwapliwie. - Nigdzie mi się nie śpieszy - dodał jakby z żalem - niestety.

- To zaraz do pana wpadnę.

Jacek siedział przy stole sztywno i energicznie mieszał herbatę w szklance, choć wcześniej wcale nie wsypał do niej cukru.

- Na pewno nie napije się pani herbaty?

- Nie, dziękuję. Co u pana? - zagaiła Małgorzata zdawkowo.

- Nic nowego. Szukam pracy. Nie wypada być dłużej na utrzymaniu matki.

- A co by pan chciał robić?

- Na początku miałem nadzieję, że uda mi się wrócić do zawodu, ale teraz... Już nie mam złudzeń, mógłbym robić cokolwiek. Tylko że akurat takich, co chcą robić cokolwiek, jest więcej i mają tę przewagę, że nie siedzieli w więzieniu.

Małgorzata ze zrozumieniem pokiwała głową.

- Może jednak napije się pani herbaty? - Jacek uczepił się tej myśli jak deski ratunkowej. - Bo kawa chwilowo nam się skończyła.

- Dziękuję. Chciałabym skończyć szybko tę rozmowę.

- Śpieszy się pani?

- Nie, wręcz przeciwnie. Mam dużo wolnego czasu. Nawet za dużo. Szczególnie na myślenie i wyciąganie wniosków.

- Czy... - Jacek trochę się zaniepokoił - odkryła pani coś nowego w mojej sprawie?

- Tak. - Małgorzata popatrzyła na Jacka, spodziewając się gwałtownej reakcji. - Podobno oświadczył pan Monice tuż przed jej śmiercią, że z nią zrywa.

- Przecież to było w aktach. - Na Jacku jej słowa nie zrobiły wrażenia.

- W jakich aktach?

- No w moich zeznaniach, z prokuratury. Nie znalazła pani tego?

Małgorzata odwróciła wzrok.

- Teczka z pana zeznaniami zginęła - przyznała niechętnie.

- Zginęły jakieś materiały z akt?

- Tak, ale w tym wypadku to nie ma większego znaczenia.

- Jak to nie ma znaczenia? - Jacek podniósł głos. - To właśnie może mieć znaczenie. Ktoś mógł to ukryć, specjalnie.

- Nie widzę powodu...

- Dlaczego - Jacek przerwał Małgorzacie w pół słowa - dlaczego mi pani o tym nie powiedziała?!

- Bo... - Małgorzata zamilkła, nie mogąc znaleźć usprawiedliwienia - bo nie uznałam tego za stosowne - rzuciła w końcu rozpaczliwie. Przyznanie się do błędu w przypadku Małgorzaty w ogóle nie wchodziło w grę, zamiast się więc tłumaczyć, zastosowała najstarszą metodę obrony. - A w ogóle, to czy mógłby pan przestać na mnie krzyczeć?

- Przepraszam - metoda okazała się wyjątkowo skuteczna. - To przecież pani prowadzi śledztwo.

- No właśnie, i jestem ciekawa, dlaczego pan to przede mną ukrył?

- Nic nie ukrywałem.

- Dlaczego mi pan nie powiedział, że zerwał z Moniką?

- Bo to nieprawda.

- Przecież sam pan złożył takie zeznania.

- W prokuraturze. A potem w sądzie odwołałem.

Małgorzata wzięła głęboki oddech.

- Przyznam się, że nie rozumiem.

- Może ja jednak zrobię tej herbaty?

- A cukier pan ma?

- Mam.

- To niech pan zrobi - Małgorzata dała za wygraną. - Tylko niech mi pan powie, po co pan tak kręcił?

- Wie pani, to nie takie proste. To głupio zabrzmiało, ale kochałem jednocześnie dwie kobiety - Monikę i moją żonę. W końcu obiecałem Monice, że odejdę od żony, ale musiałem powiedzieć o tym jeszcze Annie.

## **ROZDZIAŁ 44**

Jacek przetrząsał już trzecią szafę, ale bez rezultatu. Gdy w żadnej z dwóch komód również nie znalazł tego, czego szukał, zdecydował się wreszcie, mimo że narażało go to na uzasadnione zarzuty bałaganiarstwa, poprosić żonę o pomoc.

- Kochanie? - zawołał z sypialni na górze w głąb domu. - Aniu?

Nie doczekawszy się odzewu, zszedł na dół. Od razu ruszył do kuchni - na jutrzejszy obiad zaprosili parę osób, przezornie pozbywając się na ten czas dzieci z domu, istniało więc duże prawdopodobieństwo, że tam właśnie znajdzie żonę. Anna nadziewała właśnie imponujących rozmiarów indyka.

- Kochanie, nie widziałaś gdzieś mojego krawata, tego niebieskiego w czarne prążki?

Anna zachowała się dosyć dziwnie, zważywszy na to, że udzielenie odpowiedzi na tak postawione pytanie nie wymagało większego wysiłku umysłowego. Nie śpiesząc się, odłożyła nóż, wymyła starannie ręce i wytarła je ręcznikiem. Usiadła przy stole, popatrzyła na Jacka przenikliwie i dopiero wtedy odezwała się lodowato:

- Może został u Moniki?

Ton głosu żony i zdumiewająca celność poczynionej uwagi sprawiły, że Jacek zneruchomiał.

- To ty wiesz? - zapytał mało błyskotliwie.

- No chyba nie masz mnie za idiotkę? Co tak stoisz? Siadaj.

Jacek posłusznie usiadł przy stole, starając się nie patrzeć żonie w oczy.

- O innych też wiedziałam. Kama, Barbara, Renata, kto tam jeszcze. Uczynność ludzka nie zna granic. A przecież ty się nawet nie wysilałeś, żeby ukrywać swoje romanse.

- I... nic nie mówiłaś?

- Czasami łatwiej się cierpi w milczeniu.

Jacek spuścił głowę.

- Przepraszam - wyszeptał po dłuższej chwili.

- Chyba przeceniasz siłę tego słowa. Przepraszam, i już jest fajnie? Przepraszam, i mogę zaczynać od nowa? Jaki ma sens to twoje przepraszam, jeśli nie możesz obiecać poprawy.

Jacek wstał, żeby zaprotestować, ale Anna nie dopuściła go do głosu.

- No, chyba że rzeczywiście - w słowo „rzeczywiście” włożyła wyjątkowo dużą porcję ironii - że rzeczywiście masz zamiar złożyć przysięgę wierności.

- Posłuchaj - Jacek chciał wykorzystać chwilową przewagę spowodowaną tym, że właśnie wstał i dzięki temu mógł patrzeć na żonę z góry, ale Anna zmroziła go kolejną celną uwagą.

- To kiedy Monika rodzi?

Usiadł zrezygnowany i westchnął.

- Za miesiąc.

- Nawet mi jej żal - wyznała Anna, ale w jej głosie nie słychać było żalu. - Bękart z żonatym mężczyzną... Ale cóż, naiwność kosztuje...

- Posłuchaj - Jacek, urażony słowami żony, podjął decyzję - ja postanowiłem - w jego głosie przez chwilę zabrzmiało wahanie - ja chcę być z Moniką. - Spojrzał na żonę niepewnie. Anna przyglądała mu się bez emocji.

- Nie wierzę... za dobrze cię znam, nie jesteś przecież aż tak głupi. Nie wiem, dlaczego to robisz, ale dam ci ostatnią szansę i byłbyś durniem, gdybyś z niej nie skorzystał!

- Chcę rozwodu. - Tym razem w głosie Jacka zabrzmiała pewność.

Żona patrzyła na niego lekceważąco.

- Ty mnie jednak masz za idiotkę. Myślisz, że dam ci rozwód, ot tak, na jedno twoje pstryknięcie? Że zapomnę o wszystkich moich krzywdach? A pomyślałeś o dzieciach?! Tych, które już masz, oczywiście. Może zostały ci jakieś resztki poczucia przyzwoitości?

Jacek konsekwentnie unikał wzroku żony.

- Nienawidzę jej - Anna dopiero teraz straciła panowanie nad sobą - i wykrzyczę jej to prosto w twarz! Jeden telefon i nie powinna mieć kłopotów z właściwą oceną twojej osoby.

- Nie waż się jej teraz denerwować - Jacek podniósł głos.

- Nie tym tonem, kochanie. - Anna roześmiała się złośliwie. - Nie tym tonem. Jeszcze ktoś pomyśli, że naprawdę jesteś taki troskliwy. Chyba Monika się zdziwi, że nie będzie ślubu, co? Jak cię znam, pewnie wyznaczyłeś już datę?

- Nie dzwoń do niej - wyszeptał Jacek błagalnie - proszę.

- Tak już lepiej. I pewnie byś jeszcze chciał wynegocjować jakieś warunki?

- Daj spokój, na wszystko się zgadzam, ale czy musimy mówić o tym teraz? Za moment muszę być w teatrze. Porozmawiamy, jak wrócę, dobrze?

- Jeśli jeszcze będzie o czym rozmawiać.

- Obiecuj, że do niej nie zadzwonisz, błagam.

Anna popatrzyła na Jacka triumfująco i odwróciła głowę.

- Jedź już, bo się spóźnisz - powiedziała do ściany.

Tak kiepskiego Otella, jak w ten piątkowy wieczór, na deskach Teatru Nowoczesnego nie widziano od lat. Jacek Jarecki, nie dość, że co chwila musiał korzystać z pomocy suflera, to jeszcze o swej miłości do Desdemony zapewniał z takim przejęciem, jakby chodziło o sprzedawanie worka pietruszki. Omijał całe partie tekstu, a kwestie, których nie dało się usunąć, wyrzucał z siebie z prędkością karabinu maszynowego. Po spektaklu uklonił się tylko raz. Zakochana w nim publiczność wybaczyła mu wszystkie winy, ale nawet najgorętszymi oklaskami nie zdołała wyciągnąć go ponownie na scenę. Siedział już wtedy w samochodzie i pędził do Moniki, żeby opowiedzieć jej o tym, czego i tak w końcu dowiedziałyby się od kogoś innego.

Do drzwi Moniki Jacek dzwonił już drugi raz. Miał wprawdzie własne klucze, ale rzadko z nich korzystał, chcąc zapewnić Monice poczucie pewności, że prawdziwą panią domu jest wyłącznie ona. Kiedy jednak nacisnął przycisk dzwonka po raz trzeci i nie doczekał się żadnej reakcji, wyjął w końcu swoje klucze. Walczył z zamkiem dłuższą chwilę, dopóki nie zorientował się, że nie może go otworzyć, bo drzwi nie są zamknięte na klucz. Zdenerwowany lekkomyślnością Moniki wszedł do środka. W mieszkaniu było ciemno.

- Monika? - zawołał już w progu.

Zapalił światło. Ruszył najpierw do sypialni, przekonany, że Monika zasnęła, zapominając o zamknięciu drzwi. Łóżko było jednak puste. Coraz bardziej zaintrygowany wszedł do kuchni i w końcu do dużego pokoju.

- Monika! Gdzie ty się chowasz? - powiedział z wyrzutem. W końcu przyszło mu na myśl, że nie zajrzał do najbardziej prawdopodobnego miejsca, w którym Monika mogłaby być o tej porze. Znał dobrze jej upodobanie do słuchania muzyki w czasie kąpieli. Jeśli miała słuchawki na uszach, mogła nie słyszeć dzwonka.

- Monika - otworzył drzwi łazienki, skąd, czego wcześniej nie zauważył, sączyło się słabe światło - tyle razy ci mówiłem, żebyś... - nie dokończył, bo leżąca w wannie Monika, choć nie miała słuchawek, nie zareagowała na jego słowa. Leżała w nienaturalnej pozycji, z głową zwieszoną na piersiach. Wydawało się, jakby dopiero co zasnęła w wannie pełnej wody.

- Monika! - Jacek podbiegł do wanny. Potrząsnął ciałem dziewczyny, chcąc ją obudzić, i wtedy zauważył, że jej oczy są otwarte.

- Monika! Nie!!! - Ukląkł przy wannie i obiema rękami zaczął intensywnie uderzać w policzki dziewczyny. Głowa Moniki wciąż zwisała bezwładnie. Jacek nawet nie zauważył, kiedy strącił do wody stojącą na brzegu wanny filiżankę z rudobrazową farbą do włosów.

- Monika! - krzyknął jeszcze raz. Po kilku minutach chaotycznej reanimacji Jacek uświadomił sobie, że ciało dziewczyny jest zimne. Wziął do ręki jej nadgarstek, szukając pulsu.

- Monika, o Boże.

Usiadł na skraju wanny i wreszcie dotarło do niego, że jakiegokolwiek działania nie mają sensu. Na dnie wanny dostrzegł filiżankę z wypływającą z niej cieczą, która powoli zabarwiała wodę na brązowo. Machinalnie wyjął filiżankę, opłukał ją w umywalce i tam zostawił. Ta prosta czynność pobudziła go do myślenia. Niewątpliwie Monika nie żyła. Niewątpliwie zmarła tej nocy. Rozmawiał z nią przez telefon w przerwie spektaklu i mówiła, że wyjeżdża na weekend do koleżanki na wieś. Nigdy na nic nie chorowała, co nie wyklucza wprawdzie

jakiegoś nagłego, niespodziewanego ataku, ale wszystko wskazuje na to, że jej zgon nie był, niestety, naturalny. Monika mogła zostać zamordowana. Ta torebka na podłodze w pokoju. Zauważył ją od razu, ale dopiero teraz uświadomił sobie, że rozrzucanie rzeczy po podłodze nie pasowało do dziewczyny. Drzwi do mieszkania były otwarte, co też jej się raczej nie zdarzało. Ktoś musiał być tu wcześniej, ktoś musi być winien tej tragedii. Ale kto? Nikomu nie zależało na śmierci Moniki. Nikomu? Jacek pomyślał ze zgrozą, że jedyną osobą, która na śmierci Moniki mogłaby coś zyskać, był on sam. I na dodatek, to on jest teraz na miejscu zbrodni i to on będzie się musiał ze wszystkiego tłumaczyć. A może to był nieszczęśliwy wypadek? Szafka nad wanną była otwarta. Może sięgała wysoko i poślizgnęła się, uderzając o coś głową. Ale czy policja w to uwierzy? A jutro jeszcze ten obiad z Polakowskim i kontrakt za granicą, i nareszcie prawdziwa rola, nie te chałtury w serialach. Jacek przestał myśleć o Monice, zaczął myśleć o sobie. Jej już nie pomoże, ale chociaż uratuje siebie. Przecież nikt nie wie, że przyjechał tu w nocy. Jeżeli mu się uda szybko wrócić do domu, to będzie miał alibi - najpierw spektakl, potem żona. Tylko co zrobić? Zostawić wszystko tak, jak było, czy może zasugerować wypadek? A odciski? Trochę można zatrzeć, ale nie wszystkie, w końcu bywał tu prawie codziennie.

Jacek szybko wyszedł z mieszkania, zamykając drzwi na klucz. Niech będzie, że to wypadek. Albo włamanie, złodziej wszedł przez balkon, okno też przecież było otwarte. W każdym razie jego na pewno tu dziś nie było.

Zszedł cicho po schodach, przez nikogo nie zauważony. Doszedł bezpiecznie do swego samochodu i wtedy zza pleców dobiegł go donośny głos.

- Dobry wieczór.

Jacek obejrzał się zaskoczony.

- Dobry wieczór - odpowiedział niechętnie. Że też o tej porze ludziom chce się jeszcze wychodzić z psami na spacer. I że akurat właśnie teraz zachciało się wyjść temu wścibskiemu sąsiadowi Moniki z naprzeciwka. Pech. Ale jeszcze nic straconego. W końcu to, że jest pod domem, nic nie znaczy. Jak to dobrze, że zamknął drzwi. Teraz jeszcze trzeba pozbyć się kluczy. Najlepiej wrzucić do Wisły. Powie, że je zgubił, dlatego właśnie nie wszedł do mieszkania. Dzwonił, ale nikt nie otwierał, a on przypomniał sobie, że Monika miała wyjechać. Nikt mu niczego nie udowodni.

Jacek wjechał do garażu i zaparkował tuż obok samochodu żony. Wychodząc z garażu, zauważył w samochodzie Anny pewien drobny przedmiot. Na podłodze przy drzwiach, pod siedzeniem pasażera, leżała damska apaszka. Była to bardzo charakterystyczna apaszka, intensywnie kolorowa, w niepowtarzalne, ręcznie malowane, geometryczne wzory. Anna kupiła

ją kilka lat temu w Meksyku. Nie mogło być pomyłki, to była ta sama apaszka. Ta sama, którą...

## ROZDZIAŁ 45

W toalecie męskiej w Ministerstwie Sprawiedliwości unosiła się delikatna woń benzyny połączona z ledwo wyczuwalną nutą spirytusu. Za chwilę do tej i tak już dość wybuchowej mieszanki dołączyć miał jeszcze jeden zapach. Wprawdzie Karol go nie znosił, ale istniała nadzieja, że intensywność „Fahrenheita” Diora skutecznie stłumi dwa poprzednie aromaty, których mimo całonocnego wietrzenia marynarki na balkonie nie udało się do końca pozbyć. Na szczęście, dzięki wczorajszym zabiegom Małgorzaty przynajmniej plama zniknęła, więc drobny defekt w postaci niepożądanego zapachu wydawał się w tej sytuacji sprawą drugorzędną.

Karol popatrzył w lustro, poprawił krawat, po czym, nie żałując wody toaletowej, skropił najpierw szyję, a potem rękaw. Efekt był zadowalający. Zakasłał odruchowo, co było oczywistym dowodem skuteczności „Fahrenheita”, wstrzymał oddech, po czym powolutku, małymi porcjami wypuścił zatrzymane w płucach powietrze przez nos.

Małgorzata podniosła szklankę do ust, chcąc pociągnąć kolejny łyk, ale herbaty już w niej nie było.

- Znajdzie się coś jeszcze? - poprosiła, wskazując na pustą szklankę.
- Tak, oczywiście. - Jacek sięgnął po dzbanek i dolał Małgorzacie herbaty.
- Więc co to była za apaszka? - wróciła do przerwanej wątku.

- Ja tę apaszkę podarowałem Monice. Zapomniałem ojej urodzinach i w ostatniej chwili wyciągnąłem tę chustkę z szafy żony. I tak nigdy jej nie nosiła, myślałem, że nie zauważy zguby.

Małgorzata uśmiechnęła się krzywo. Wizja męża, który ofiarowuje kochance rzeczy należące do żony, spowodowała w niej kolejny, tym razem na szczęście krótkotrwały uraz do rodzaju męskiego.

- To mogło znaczyć tylko jedno - ciągnął Jacek. - Ze moja żona jednak pojechała do Moniki tamtej nocy. Myślałem, że może... no, że może...

- Podejrzewał pan, że to żona ją zamordowała?

- Nie zamordowała. Myślałem, że może Monika ją jakoś sprowokowała, wybuchła sprzeczka... Myślałem, że moja żona mogła w jakimś napadzie złości uderzyć Monikę... Nie powiedziałem o tym na policji ani w sądzie, bo chciałem chociaż ją ochronić przed kłopotami. Ją i dzieci. Zeznałem, że odszedłem od Moniki, żeby żona nie miała motywu. Chciałem, żeby nikt już więcej nie cierpiał przeze mnie - dodał cicho.

- To akurat się panu zupełnie nie udało - zauważyła Małgorzata z przekąsem, bo uwaga o cierpieniu wydała jej się w ustach Jacka wyjątkowo nie na miejscu. - Dobrze, że w ogóle pan sobie przypomniał, że ma dzieci - dorzuciła drwiąco - chociaż na pewno szkoda, że tak późno.

- Ja nie myślałem, że to się tak skończy.

- Wie pan co, bezmyślność - Małgorzata położyła szczególny nacisk na to słowo, uświadamiając w ten sposób Jackowi, że w tym momencie właściwsze byłoby o wiele mocniejsze sformułowanie - bezmyślność powinna być karalna przede wszystkim.

- W moim przypadku tak właśnie się stało.

Uwaga Jacka przypomniawszy Małgorzacie w porę, że jej wyrzuty, podobnie jak dobre chęci Jacka, też są już mocno przeterminowane.

- Nie wiem - przyznała w końcu - naprawdę nie wiem, co mam zrobić.

Popatrzyła z roztargnieniem w okno. Jacek obserwował ją w skupieniu. Przedłużającą się ciszę przerwał chrobot klucza w zamku. Pani Zofia weszła do domu i na widok Małgorzaty uśmiechnęła się promiennie. Szybko powiesiła w przedpokoju płaszcz i uradowana, jakby przed chwilą wygrała milion w totka, zajrzała do kuchni.

- No jak tam, kochani, nie trzeba wam czego? Może herbatki?

- Dziękujemy, mamo - Jacek nawet się nie starał, by mówić głośno i wyraźnie - już piliśmy.

- No to porozmawiajcie sobie, nie przeszkadzam wam. - Pani Zofia zamknęła drzwi i dyskretnie się wycofała.

- Musimy sprawdzić - Małgorzata westchnęła, zastanawiając się, ile razy jeszcze będzie dawała Jackowi szansę - czy rzeczywiście była tam wtedy pana żona.

- Naprawdę? - Jacek popatrzył na Małgorzatę z nadzieją. - Nie zostawi mnie pani teraz?

- Teraz? Kiedy pojawia się nowy wątek? Nie ma mowy. - Małgorzata przez moment nawet się uśmiechnęła. - A poza tym - wróciła do poważnego tonu - dziesięć lat temu nikt panu nie pomógł, więc jakaś równowaga musi być. Nie wiem tylko, czy na coś się przydam - dokończyła sceptycznie. - Ciągłe nie mamy argumentów, żeby przekonać sąd. Ba! Żeby w ogóle zacząć kogoś przekonywać.



- Dlaczego przynajmniej nie spróbować? Wie pani, przez te dziesięć lat w więzieniu nie było dnia, żebym nie wyobrażał sobie chwili, kiedy stanę jeszcze raz przed sądem i usłyszę „niewinny”. I drugiej chwili - gdy będę mógł bez lęku popatrzeć w oczy moich dzieci.

Tym razem słowa Jacka zabrzmiały szczerze.

- Więc musimy znaleźć pana żonę.

- Tylko jak? W tej chwili chyba tylko Pan Bóg raczy wiedzieć, gdzie ona jest.

- Nie, nie. Pana Boga w to nie mieszajmy, a nawet, powiedziałabym, wręcz przeciwnie.

Uwaga ta była oznaką wielkiego przełomu, jaki dokonywał się właśnie w duszy Małgorzaty. Mówiąc „wręcz przeciwnie”, miała na myśli Wolińskiego. Stawianie byłego szefa w opozycji do Pana Boga było w jej ustach niewątpliwym komplementem, biorąc pod uwagę, że jeszcze nie tak dawno barwne opisy jego osoby w rodzaju „stary pierdziel” i tak należały do najsubtelniejszych.

Sięgnęła do kieszeni po telefon komórkowy.

## ROZDZIAŁ 46

Małgorzata ze złością rzuciła swoją komórkę i zdenerwowana wstała od stołu. Obraz ministra całującego Karola w dupę nie dawał jej spokoju, choć tym razem nie była to już wizja naturalistyczna, jak poprzedniej nocy, a tylko prozaiczna obawa, żeby Karol nie chlapanął czegoś głupiego, zanim uda się wycisnąć z Wolińskiego wszystkie potrzebne informacje.

- Zapomniałam, że bateria padła. Gdzie tu jest telefon?

- W pokoju. - Jackowi udzielił się jej niespokojny nastrój. Podniósł się i otworzył drzwi.

W pokoju, na fotelu koło okna, siedziała pani Zofia i rozmawiała przez telefon.

- Ona słyszy przez telefon? - Małgorzata tak była zaskoczona tym widokiem, że zapytała szeptem.

- Tak - Jacek odparł tym samym tonem. - Zaczęła wreszcie nosić aparat słuchowy. Przez dwa lata kurzył się w szafie. Teraz odrabia zaległości z tych lat.

- Niech odrabia, zadzwonię z domu. - Małgorzata odwróciła się na pięcie. - O cholera - nagle zawróciła od drzwi - nie znam numeru, jest tylko w komórce. Niech mi pan rzuci, muszę podładować.

Jacek, chcąc szybko wykonać polecenie, chwycił komórkę ze stołu, zrobił zamach, ale zanim zdążył wykonać rzut, Małgorzata w porę go powstrzymała.

- Nie tak dosłownie. Lepiej nie ryzykujmy. Wystarczy, że mi pan poda.

Woliński miał zwyczaj załatwiać interesantów w najróżniejszych miejscach, nie wyłączając toalet, więc to, że wezwał Karola do stołówki w ministerstwie, nie było niczym nadzwyczajnym.

- Dzień dobry, panie ministrze. - Karol stanął przy stoliku Wolińskiego zgięty w ukłonie. - Przepraszam, że tak przy obiedzie...

- Po obiedzie, po obiedzie. Proszę. - Woliński szerokim ruchem ręki zaprosił Karola do stołu.

Karol zauważył z pewnym niepokojem, że w ręce tej Woliński trzyma nóż, a jego palce pokryte są lepką, czerwoną cieczą. Na szczęście, po bliższych oględzinach ciecz okazała się zwykłym sokiem z truskawek, które Woliński z dużym upodobaniem przekrajał na połowy i układał na talerzu.

Karol przysiadł na skraju krzesła, zachowując dyskretne milczenie, aby minister mógł w spokoju oddać się konsumpcji. Woliński zakończył pasjonującą czynność dzielenia truskawek, a następnie, co wprawiło Karola w stan konsternacji, posypał owoce pieprzem.

- Poczęstuje się pan? - Starannie wytarł palce w papierową serwetkę i postawił przed Karolem talerz.

- Dziękuję. - Karol z odrazą przełknął ślinę. - Już jadłem obiad.

Woliński przysunął talerz do siebie i zaczął jeść truskawki widelcem.

- No co tam nowego u naszej znajomej?

- Nic szczególnego. Śledztwo toczy się powoli.

Rozpaczliwy telefon od Małgorzaty, który Karol odebrał tuż przed wejściem do stołówki, postawił na głowie cały jego misterny plan. Chciał odważnie, choć niekoniecznie tak dosadnymi słowami, jak to wczoraj deklarował, zaprotestować przeciw składaniu donosów na byłą koleżankę. Niestety, nie pozostało mu nic innego, jak tylko wysłuchać z pokorą, co minister ma mu do powiedzenia.

- Nie o to pytam. Będzie rozrabiać, czy nie?

- Nie... raczej nie.

- Raczej ?

- Nie.

- To już lepiej.

Woliński, o dziwo, nie drążył tematu. Wytarł usta papierową chusteczką i odstawił brudny talerz na skraj stołu. Talerz natychmiast został sprzątnięty przez, jak się wydawało,

czyhającą tylko na ten moment bufetową. Po kilku chwilach ta sama bufetowa postawiła przed ministrem filiżankę pachnącej kawy, a Woliński podziękował jej szerokim uśmiechem.

- Panie Karolu - zaczął tonem zupełnie oficjalnym - widzę, że mogę pana obdarzyć zaufaniem.

- Dziękuję. - Karol nałożył okulary i popatrzył na ministra nieufnie, gdyż tego typu deklaracje w ustach szefa resortu po pierwsze zdarzały się rzadko, a jeśli już, to zawsze znaczyły coś zupełnie innego.

- Podpisałem właśnie pana nominację. - Woliński postłodził kawę. - Na szefa okręgu.

- To chyba jednak zbyt duże zaufanie. - Karol nie ukrywał zaskoczenia. - Nie wiem, czy podołam.

- Poradzi pan sobie. Wszystkie papiery może pan odebrać w sekretariacie. No, gratuluję. Do zobaczenia.

Woliński skupił się z lubością na sączeniu kawy, która widocznie dla niego została przyrządzona w jakiś specjalny sposób, bo normalnie była obrzydliwą lurą. Dopiero po dłuższej chwili skonstatował, że Karol, mimo jawnej zachęty do pójścia sobie precz, nie ruszył się jednak z miejsca.

- Jeszcze coś?

- Panie ministrze - Karol zdecydował się wreszcie - prosił pan, żeby informować, w razie jakby były jakieś kłopoty...

- No i?

- Potrzebny jest namiar na żonę Jareckiego.

- Na żonę? A dlaczego to takie trudne?

- Zmieniła nazwisko i zniknęła.

- No dobrze, spróbujemy.

Woliński wyciągnął komórkę i wybrał numer.

- Mówi Woliński, połączcie mnie z generałem Paluchem... Dzień dobry, generale, jak zdrówko? - zaczął wesoło. - U mnie też nie najlepiej - natychmiast zmienił ton głosu na refleksyjny. - Nie może pan? - teraz w jego głosie zabrzmiało szczere współczucie. - Tak, tak, w naszym wieku to duży problem. Tak... Generale - Woliński uznał, że uzalił się już wystarczająco nad losem kolegi i przeszedł do rzeczy - mam małą prośbę. Z mojego polecenia zaraz przyjdzie do pana pewien młody człowiek, który kogoś szuka. Zrobi pan, o co poprosi?... No, to bardzo się cieszę. Aha, i, niech pan spróbuje kompotu ze śliwek. Ja stosuję regularnie i bardzo pomaga... Nie, tylko śliwki. Najlepiej suszone... Tak.

## ROZDZIAŁ 47

Malutki, lekko zgarbiony, siwy jak gołąbek proboszcz parafii pod wezwaniem świętego Jacka w Gryzoniu Wielkim dreptał wokół obrazu *Madonny z hiacyntem* i oglądał go ze wszystkich stron.

- Piękny, naprawdę piękny - powtórzył już któryś raz z rzędu. - Jest w nim i dobroć, i światłość, i nadzieja, i spokój, i miłość. Jest pan prawdziwym mistrzem.

- Cieszę się, że się księdzu podoba - Józef przełknął komplement z zadowoleniem.

- Chodźmy na dwór, popatrzę sobie jeszcze przy dziennym świetle. - Proboszcz wziął obraz pod pachę i potruchtał w kierunku wyjścia.

- Ostrożnie - Józef ruszył za nim - niech ksiądz uważa, żeby nie zamókł, zapowiadali opady.

Ksiądz tylko machnął ręką i wyszedł przed kościół. Jakby na potwierdzenie proroczych słów, z nieba zaczęły kapać pierwsze krople deszczu. Proboszcz popatrzył na Józefa i uśmiechnął się.

- Mistrz i do tego cudotwórcą. Jak ja się modłę o deszcz, Pan Bóg nigdy mnie nie słucha. To wracamy.

Ksiądz wziął obraz, odwrócił się i potruchtał z powrotem w głąb kościoła.

- Tylko - rozejrzał się zatroskany - gdzie ja go powieszę? Pasowałoby w kaplicy Matki Boskiej, ale tam, tak z boku, nie będzie wcale widać. Dobrze by było gdzieś w widocznym miejscu...

Ksiądz zrobił obrót wokół własnej osi i napotkał wzrok Józefa.

- Ale, ale - znowu się zatroskał - nie powiedział pan jeszcze, ile wynosi honorarium. Ten obraz jest taki piękny, nie wiem, czy nas będzie na pana stać.

- Ależ proszę księdza, miało być co łaska.

- Wiem, wiem. - Proboszcz uśmiechnął się znacząco. - Ja też mówię parafianom: co łaska, a i tak wszyscy wiedzą, ile ma być.

- Proszę księdza, ja właściwie... chciałbym ofiarować ten obraz w darze.

- No nie - proboszcz popatrzył na niego zaskoczony - ja tak nie mogę. Ja wiem, że pan się podjął tej pracy z powodów finansowych...

- To były przejściowe trudności. Wystarczyło trochę reklamy i moje obrazy znów niezłe się sprzedają.

- To ładnie, bardzo ładnie - ksiądz szczerze się ucieszył. - Ale i tak nie mogę.

- No dobrze. - Józef uległ podejrzeniu łatwo. - Tyle że moje honorarium będzie... trochę nietypowe.

- Tak? - zaciekawił się proboszcz.

- Słyszałem, że księdza siostrzenica jest w Warszawie dyrektorką Domu Kultury.

- Jest. - Proboszcz popatrzył na Józefa zaintrygowany.

- Bo wie ksiądz, chodzi o taką sprawę...

Józef wyszedł z kościoła w sam środek burzy. Wiatr szarpał potężne korony drzew, a spadające z nieba strugi deszczu ograniczały widoczność do tego stopnia, że gdyby cinquecento Małgorzaty nie miało tak jaskrawożółtego koloru, można by go nawet nie zauważyć. Józef naciągnął na głowę kurtkę i rzucił się pędem w kierunku samochodu. Mimo że przebiegnięcie niewielkiego placu i dotarcie do celu zajęło mu ledwie kilka sekund, ulewa przemoczyła go doszczętnie. Z rozmachem otworzył drzwi i opadł z ulgą na siedzenie pasażera.

- Przepraszam, że tak długo czekałaś - wydyszał, z trudem łapiąc oddech. - Dlaczego nie poszłaś ze mną?

- Żeby nie zmoknąć. A zresztą, wiesz, co by było, gdyby proboszcz zobaczył żywą Matkę Boską? Lepiej to zdejmij - Małgorzata wskazała na kurtkę Józefa ociekającą wodą - bo się przeziębisz.

Józef posłusznie zdjął z siebie okrycie, strząsnął nadmiar wody na podłogę i rozłożył kurtkę na tylnym siedzeniu. Małgorzata popatrzyła za okno. Ściana deszczu wciąż skutecznie oddzielała ich od świata.

- Chyba lepiej przeczekać. Nie cierpię prowadzić w taką pogodę.

- Mnie się nie spieszy.

- Ja też mam ostatnio... wolny zawód.

- I nawet ci z tą wolnością do twarzy. - Aluzja Józefa dotyczyła nowej fryzury Małgorzaty. Jej włosy nie były już spięte w precyzyjnie uformowany kok, lecz luźno związane na karku. - To miło być dla kogoś inspiracją. - Wskazał na swoją skromną kitkę.

- Nie ciesz się tak, jutro idę do fryzjera.

- Nie! - zaprotestował Józef dramatycznie.

- Dlaczego nie? - Małgorzatę zdziwiła taka reakcja.

- A jak będę jeszcze kiedyś potrzebował Madonny?

- O nie, to było pierwszy i jedyny raz.

- To znaczy nie ostatni?

- Nie łap mnie za słówka. Podobał się obraz?

- Bardzo.

- A dlaczego... - Małgorzata od dawna chciała o to zapytać, ale gdy spotykała się z Józefem, zawsze mieli do omówienia ważniejsze sprawy - dlaczego ta Madonna trzyma w ręku hiacynt?

- To taka gra, żart. Ten kościół jest pod wezwaniem świętego Jacka.

- Jacka? No i co z tego?

- A Jacek to po łacinie hiacynt. *Hyacinthus*, dokładnie.

- No, no - Małgorzata z uznaniem pokiwała głową - sam na to wpadłeś?

Józef udał, że nie dosłyszał pytania.

- A co tam nowego u naszego Jacka?

- Same nowości - Małgorzata łatwo połknęła haczyk - ale stoję ciągle w punkcie wyjścia. Nie mogę udowodnić, że to nie on, jeśli nie wiem kto. Chyba mnie ta sprawa przerasta. Już, już wydaje mi się, że wpadam na jakiś trop, a okazuje się, że to ślepa uliczka. Jednego dnia jestem przekonana, że Jarecki jest niewinny, drugiego miałabym ochotę przyłożyć mu w zęby i napisać nowy akt oskarżenia. Najgorsze, że im bliżej jestem prawdy... tym bardziej się od niej oddalam.

Popatrzyła na swego przyjaciela w napięciu, spodziewając się, że jej wynurzenia spotkają się z należyтым poszanowaniem, ale Józef daleki był od zachowania powagi.

- Cieszę się - zachichotał - że to ważkie odkrycie zajęło ci tylko trzydzieści kilka lat. Są tacy, co umierają, nic o tym nie wiedząc.

- Józef! - Małgorzata ograniczyła swój wyrzut do jednego słowa, bo nagle doznała olśnienia. - Zaraz, zaraz - dopiero teraz dotarł do niej sens pytania. - Dlaczego zapytałeś o naszego Jacka? Od kiedy ty go znasz?

- No tak... - Józef zamilkł na chwilę, jakby się wahał, czy udzielić odpowiedzi na pytanie; w rzeczywistości dokonywał skomplikowanych obliczeń - będzie ze trzydzieści lat.

- I nic mi nie powiedziałaś? - W głosie Małgorzaty zadźwięczał wyrzut.

- Nie chciałem, żebyś się czuła zobowiązana - Józef spróbował swoim zwyczajem obrócić wszystko w żart.

Małgorzata popatrzyła na niego karcąco.

- No dobrze - dokończył poważnie. - To ja załatwiłem u Wolińskiego ułaskawienie Jacka. Przecież nigdy byś się nie zajęła jego sprawą, gdybyś o tym wiedziała! - dorzucił zaraz na swoje usprawiedliwienie.

Spojrzenie Małgorzaty mówiło wyraźnie, że oczekuje niezwłocznie dalszych wyjaśnień.

- Pamiętasz, kiedyś, tuż przed stanem wojennym, zacząłem uczyć plastyki w liceum? - zapytał Józef retorycznie i ciągnął swą opowieść. - Wlepili mi nawet wychowawstwo, i to w takiej klasie, której nikt nie chciał. Ale to była fajna klasa. Ja jakoś nie miałem kłopotów, żeby się z nimi dogadać, może dlatego, że gdy pierwszego dnia po ogłoszeniu stanu wojennego pojawili się w szkole, to znaczy pierwszego dnia po tych przymusowych feriach...

- Pamiętam - ożywiła się Małgorzata - nie było lekcji i chodziłeś wtedy ze mną na sanki.

Józef tylko kiwnął głową.

- No więc wtedy, a zbliżał się właśnie koniec semestru, postawiłem piątki z zachowania wszystkim, którzy przyszedli do szkoły z wpiętymi w swetry opornikami. To znaczy całej klasie, co do jednego. Myślałem, że dyrektor mnie zabije. Nie wiem, czy byłem dobrym wychowawcą, z punktu widzenia władz szkolnych nawet na pewno nie. Gdy na wiosnę zaczęły się demonstracje, to właśnie w moich uczniów trafiały najczęściej armatki wodne, bo zawsze byli, skubani, w pierwszych szeregach. Z tego powodu paru osób chcieli nawet nie dopuścić do matury, tylko jakimś cudem udało mi się ich wybronić. Jacek był moim uczniem. Zaprzyjaźniliśmy się łatwo, on nie miał ojca, ja syna, taka symbioza była więc zupełnie naturalna. Zresztą, zaprzyjaźniłem się nie tylko z nim. Moi uczniowie odwiedzali mnie tabunami, długo jeszcze po ukończeniu szkoły. Do dziś od nich dostaję kartki na święta. Potem ja wyjechałem za granicę, a Jacek zaczął robić karierę. Pisaliśmy do siebie, najpierw regularnie, potem coraz rzadziej, aż w końcu kontakty zupełnie się urwały. Myślałem, że taka jest po prostu kolej rzeczy. Dopiero później dowiedziałem się o wszystkim. Niestety za późno, Jacek już siedział w więzieniu. Zupełnie nie mogłem uwierzyć w jego winę. Naprawdę, wiele rzeczy można mu było zarzucić, ale zabójstwo z premedytacją? Łatwiej bym dał wiarę, że sam mogę kogoś zamordować. Ciężko mi z tym było, wyrzucałem sobie, że mu nie pomogłem...

- Ale jak mógłbyś mu pomóc?

- Nie wiem, może wystarczyło znaleźć lepszego adwokata? Wtedy wszyscy się od niego odsunęli. Dziennikarze wydali wyrok na Jacka J., zanim w ogóle wypowiedział się na ten temat sąd. Zawsze mu powtarzałem, że może na mnie liczyć, a w najważniejszym momencie zawiodłem. Dopiero teraz nadarzyła się okazja, kiedy Woliński został ministrem. Ale nie myśl, że to się stało tylko po znajomości. Gdyby nie było solidnych podstaw do ułaskawienia, Woliński nawet dla mnie nie podpisałby tego wniosku.

Józef badawczo popatrzył na Małgorzatę.

- Wybaczysz mi?

- Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

- Mam jeszcze parę innych tajemnic. - Józef się uśmiechnął. - Wybaczysz mi? - powtórzył błagalnym tonem, składając ręce jak do modlitwy.

- Wiesz - Małgorzata, widząc jego gest, nareszcie się uśmiechnęła - może ja jednak mam jakieś kwalifikacje na Madonnę?

## ROZDZIAŁ 48

Widok gromadki chichoczących nastolatków wystrojonych jak na bal sylwestrowy, z paznokciami dłuższymi niż łopatki do sadzenia tulipanów i makijażem nawiązującym do standardów obowiązujących wśród pań wykonujących najstarszy zawód świata sprawił, że w pierwszej chwili Małgorzata poczuła się w tym towarzystwie nieswojo. Jej świetny skądinąd pomysł, żeby wtopić się w tłum dziewcząt oczekujących na casting do reklamy kosmetyków znanej francuskiej firmy, okazał się trochę niedopracowany. Małgorzata, ubrana w klasyczny żakiet i uczesana w grzeczny kok, nie dość, że nie ginęła w tłumie, to swym ekstrawaganckim, jak na te warunki, wyglądem zwracała powszechną uwagę.

Poczekalnia była długim i szerokim korytarzem. Pod jego ścianami pomalowanymi w jaskrawe, szerokie pasy, umieszczono rzędy krzeseł. Małgorzata, niezrażona sensacją, jaką wzbudziła swym pojawieniem się, usiadła na pierwszym z brzegu wolnym miejscu. Nie zapytała nawet, kto jest ostatni w kolejce, wyciągnęła z torebki książkę i demonstracyjnie zaczęła czytać, ignorując złośliwe docinki i pokątne uśmiešky. Tak jak przewidziała, po kilku minutach przestała być obiektem zainteresowania. Rozchichotane dziewczęta zajęły się wyłącznie własnymi osobami, Małgorzata zaś mogła skupić się na tym, co sprowadziło ją do agencji reklamowej „Studio Bazana”, a nie była to chęć dorobienia sobie do zasiłku dla bezrobotnych poprzez występ w reklamie. Dyskretnie otworzyła książkę na stronie, gdzie tkwiła zakładka w postaci zdjęcia młodej kobiety z długimi, jasnymi włosami. Zaczęła intensywnie wpatrywać się w fotografię, jakby chciała nauczyć się rysów kobiety na pamięć.

Gdy drzwi gabinetu z napisem „Anna Bazana - dyrektor” otworzyły się i stanęła w nich elegancka, krótko ostrzyżona brunetka w średnim wieku, na korytarzu momentalnie zapadła głucha cisza.

- Dziewczęta, zaczynamy - zarządziła kobieta. - Która pierwsza?

Dziewczyna, która siedziała najbliżej wejścia do gabinetu niepewnie wstała.

- Ja.

- Jak masz na imię?

- Patrycja, ale mówią na mnie Pati.



- Wchodzimy pojedynczo - dyrektorka Bazana zwróciła się do wszystkich dziewcząt. - Wychodząc, zostawiacie otwarte drzwi. Kiedy Patrycja wyjdzie, proszę nie wchodzić, dopóki nie wezwę następnej osoby. Wszystko jasne?

Odpowiedział jej pomruk zrozumienia, ale nawet gdyby tak nie było, dyrektorka Bazana i tak nie miała zwyczaju niczego powtarzać. Powiodła znudzonym wzrokiem po sali, napotykając niespodziewanie świdrujące spojrzenie Małgorzaty.

- Pani też na casting? - zapytała z przekąsem, wzbudzając chichot na sali. - Do reklamy proszku do prania piętro wyżej.

Śmiech wcale Małgorzaty nie zraził.

- Nie żal było pani tych pięknych, jasnych włosów?

Dyrektorka Bazana dostrzegła, że Małgorzata trzyma w ręce jakieś zdjęcie - jej zdjęcie, choć niewątpliwie sprzed wielu lat.

- W ciemnych też mi do twarzy - odparła po sekundzie namysłu. - Ale chyba nie przyszła tu pani, żeby dyskutować o mojej urodzie?

- Przepraszam. Rozumiem, że pani czas jest bardzo cenny...

- Do rzeczy.

- Chodzi o Jacka.

- Pani wybaczy - Anna odparła bez chwili wahania - ale ten rozdział jest dawno zamknięty. Przykro mi, że się pani niepotrzebnie fatygowała. Zegnam panią. - Odwróciła się, nie czekając na reakcję Małgorzaty. - Patrycja, zapraszam.

Patrycja weszła do gabinetu i zamknęła za sobą drzwi.

## **ROZDZIAŁ 49**

Wstyd powiedzieć, ale Karol czuł do ministra Wolińskiego pewną wdzięczność. Kiedy Małgorzata zadzwoniła do niego z prośbą o załatwienie akt poprzez wywarcie osobistego wpływu na kierowniczkę archiwum, dobrze wiedziała, niestety, o czym mówi. Pani Basia od jakiegoś czasu żywiła bowiem do Karola bardzo przyjazne uczucia i nie krępowała się ich okazywać. Biorąc jednak pod uwagę, że nie były to uczucia matczyne ani nawet siostrzane, taki stan rzeczy był dla niego krępujący. Karol starał się omijać archiwum szerokim łukiem. Sytuacja, w której musiałby wykorzystać uczucia jednej kobiety, na której zupełnie mu nie zależało, aby zdobyć uczucia drugiej, na której zależało mu bardzo, wydawała mu się kompletnie nie do opanowania. Propozycja Wolińskiego rozwiązywała za jednym zamachem dwa nabrzmiałe problemy, nic więc dziwnego, że przyjął ofertę pomocy z uczuciem ulgi. Musiał

wprawdzie sam udać się po akta, co niestety nie eliminowało problemu kontaktu z panią Basią, ale na szczęście całą sprawę dało się załatwić drogą oficjalną. Jego szczęście było tym większe, że gdy pojawił się w archiwum, zaraz za nim ustawilo się w kolejce dwóch adwokatów, pani Basia miała więc małe szansę, by roztoczyć przed Karolem swe wdzięki. Niestety, akta kiedyś trzeba było zwrócić i moment ten właśnie nastąpił.

Tym razem oprócz Karola i pani Basi w archiwum nie było nikogo. Pani Basia, całkiem apetyczna trzydziestka z dużym biustem, ubrana jak zwykle w wyjątkowo kusą minispódniczkę, odrzuciła z czoła pukiel włosów ufarbowanych na kolor „słomiany blond”. Wzięła akta z rąk Karola, nie przepuszczając okazji, by musnąć palcami jego dłoń. Odwróciła się zamaszyście i mocno kołysząc biodrami, ruszyła w kierunku stojącej nieopodal drabiny. Zanim Karol zdążył pomyśleć, żeby zaoferować jej swą pomoc, przysunęła drabinę do właściwej półki. Z aktami pod pachą, powolutku, eksponując swe wdzięki, zaczęła wdrapywać się na sam wierzchołek drabiny.

- Może jednak pani pomogę? - zaoferował się Karol uczynnie, gdyż szpilki pani Basi nie wydały mu się najlepszym obuwiem do chodzenia po drabinie.

- Bardzo pan miły, ale naprawdę nie trzeba.

Gdy pani Basia wdrapała się tak wysoko, że można już było bez trudu zorientować się, jaki kolor mają jej majtki, Karol wycofał się zmieszany i prędko ukrył za regałem.

- Ale niech pan jeszcze nie ucieka. - Pani Basia była wyraźnie zawiedziona takim rozwojem wypadków. - Muszę przecież podpisać pokwitowanie zwrotu.

- Jestem, jestem - Karol odkrzyknął zza regału, uważając, by się przypadkiem nie wychylić.

Pani Basia odstawiała akta na najwyższą półkę. Upewniła się, że Karol jej nie widzi, wyciągnęła z kieszonki jaskrawoczerwoną szminkę i podmalowała usta. Ostrożnie zeszła kilka stopni niżej i gdy była już na zupełnie bezpiecznej wysokości, pociągnęła drabinę w swoją stronę.

- Ach!!! Ratunku! - krzyknęła teatralnie. - Spadam! - dorzuciła po chwili, żeby już naprawdę nikt nie miał wątpliwości, o co chodzi.

Karol wybiegł zza regału i widząc kobietę chyboczącą się groźnie na drabinie, natychmiast pospieszył jej z pomocą. Pani Basia tylko na to czekała. Gdy jej wybawca znalazł się w zasięgu skoku, rzuciła mu się w ramiona. Zaskoczony takim manewrem Karol zachwiał się pod niespodziewanym ciężarem niebezpiecznie - przed upadkiem uratował go tylko stojący za jego plecami regał. Chciał podeprzeć się ręką, ale zamiast w półkę trafił w teczki z aktami i

niechęcy zrzucił kilka z nich na podłogę. Schylił się szybko, aby posprzątać, co okazało się idealnym pretekstem, by usunąć ze swych objęć rozpalone ciało zawiedzionej archiwistki.

- Przepraszam - tłumaczył się gęsto, upychając akta na półce - bardzo przepraszam, naprawdę nie chciałem.

Gdy schylił się po ostatni tom, zauważył, że między wypaczone ścianki regałów wciśnięta się jeszcze jakaś teczka i jest raczej niemożliwe, by to on ją tam teraz wepchnął. Z trudem wyszarpnął teczkę ze szpary i właśnie miał zamiar oddać ją pani Basi, gdy jego wzrok padł na sygnaturę akt. Wydała mu się ona znajoma. Zajrzał do środka - tak, to był brakujący tom akt sprawy Jareckiego.

- Pani Basiu - Karol westchnął, bo jego radość z odkrycia brakującego elementu mieszała się z trwogą na myśl, że będzie musiał pofatygować się do archiwum jeszcze raz - chyba wstrzymamy się z tym pokwitowaniem.

## ROZDZIAŁ 50

Na korytarzu w agencji reklamowej „Studio Bazana” było już zupełnie pusto. Kiedy ostatnia kandydatka na gwiazdę weszła do gabinetu dyrektorki, Małgorzata odłożyła książkę, dzięki której przez trzy spędzone tu przymusowo godziny udawało się jej uniknąć dyskusji na temat, który lakier lepiej się trzyma paznokci, ile ma w pasie Cindy Crawford i czy regularny seks jest najlepszym lekarstwem na pryszcze. Wrzuciła do torebki *Pięć małych świnek* i pomyślała o Agacie Christie z wdzięcznością. Gdy tylko usłyszała odgłosy otwieranych drzwi - wstała. Dziewczyna wychodząca z gabinetu popatrzyła na nią niepewnie i wbrew logice, ale za to zgodnie z instrukcją, zostawiła uchylone drzwi. Po kilku chwilach z wnętrza gabinetu dobiegło głośne „proszę”. Małgorzata weszła do środka i stanęła w drzwiach.

Anna Bazana, dawniej Jarecka, siedziała przy biurku, pochylona nad stertą papierów i pilnie coś notowała.

- Proszę, siadaj - zwróciła się do domniemanej kandydatki na gwiazdę, nawet nie podnosząc wzroku. - Jak masz na imię?

Małgorzata zamknęła drzwi i usiadła na stołku, który ustawiony był pośrodku obszerne-go gabinetu, w sporej odległości od biurka.

- Małgorzata, ale mówią na mnie Gośka.

Dopiero teraz Jarecka podniosła wzrok.

- Nie chcieli mnie przyjąć do reklamy proszku.

- Wiedziałam - Anna uśmiechnęła się krzywo - że pani nie da za wygraną.

- Skąd?
- Ambicja wypisana na twarzy. Stykamy się z nią tu dość często.
- Miałam tylko nadzieję, że pani ciekawość będzie silniejsza niż strach.
- Strach? A czego niby miałabym się bać?
- Liczyłam, że pani mi to powie.

Anna wyciągnęła długiego brązowego papierosa z paczki leżącej na biurku, obok popielniczki wypełnionej po brzegi niedopałkami. Pobawiła się trochę, zonglując papierosem między palcami, jakby chciała w ten sposób zyskać na czasie. W końcu zapaliła i mocno zaciągnęła się dymem.

- Co u Jacka? - zapytała po dłuższej chwili.
- Pani wie, że...
- Wiem - Anna przerwała jej oschle - dlatego pytam, jak sobie radzi?

Małgorzata wstała, wzięła swój stołek, postawiła go tuż przy biurku i usiadła na wprost Anny, nie spuszczać z niej wzroku.

- Poczęstuje mnie pani? - Wskazała na papierosy, chociaż paliła bardzo rzadko, w zasadzie tylko wówczas, gdy było jej to do czegoś potrzebne.

- Tak, proszę. - Jarecka podała jej paczkę trochę zakłopotana, co Małgorzata odnotowała z zadowoleniem, bo o ten właśnie efekt jej chodziło. Zapaliła papierosa, starając się zaciągać dymem jak najmniej.

- Na razie mieszka u matki - wróciła do tematu Jacka - żyje powietrzem i ideą udowodnienia swojej niewinności.

- Chce wrócić do zawodu? - W głosie Anny zabrzmiał lekki niepokój.
- Dlatego tak bardzo mu zależy, żeby oczyścić się z zarzutów.
- Jak on to sobie wyobraża? Chce nowego procesu? Chce być znowu na pierwszych stronach gazet? - Niepokój w głosie Anny zamienił się w trwogę. - Nie może żyć bez świateł jupiterów?

- Nie jest to wykluczone - Małgorzata starała się mówić nonszalancko, a papieros w dłoni bardzo jej w tym pomagał.

- I naprawdę chce całe to piekło rozpętać od nowa?
- Jeżeli miałyby mu to w czymś pomóc.
- Kim pani jest? Czy pani jest jego... - Anna zawahała się, nie wiedząc, czy użyć słowa „kochanka”, czy poszukać bardziej wyrafinowanego sformułowania, ale Małgorzata sama rozwiała jej wątpliwości.

- Nie jestem. Zresztą to w tej chwili nieistotne. Stosowniejsze by było pytanie - kim by-  
łam. To ja podpisałam nakaz aresztowania pani męża.

- Pani jest prokuratorem? - zapytała Anna z niedowierzaniem. - Więc jak to się stało, że  
teraz jest pani po jego stronie?

- Raczej po stronie... sprawiedliwości.

- Uważa pani, że to nie on zabił?

- Wszystko na to wskazuje.

- Więc kto?

- Myślałam, że pani mi pomoże.

- Ja? W jaki sposób? Wydaje mi się, że wyjaśnienie tej sprawy jest w ogóle niemożliwe.

Po tylu latach nie ma już żadnych dowodów.

Tu cię mam - pomyślała Małgorzata i rzekła z przewrotnym uśmiechem.

- No, jeden by się znalazł. Meksykańska apaszka.

- Co takiego?... Skąd pani wie? - Anna zdusiła w popielniczce wypalonego zaledwie do  
połowy papierosa.

- Tej nocy gdy zabito Monikę, Jacek znalazł ją w pani samochodzie.

- Jacek? - W głosie Anny zabrzmiało szczere zdumienie. - Byłam pewna, że w roztar-  
gnienu zgubiłam ją gdzieś po drodze. Naprawdę to Jacek ją znalazł?

Małgorzata kiwnęła głową.

- I milczał przez cały ten czas? Nie powiedział o tym w śledztwie? Nie wierzę, to nie-  
możliwe.

- On myślał... że to pani... mogła zabić Monikę. Nie celowo, oczywiście. W afekcie. Ja-  
kaś sprzeczką, szarpaniną... Twierdzi, że nie chciał pani obciążać.

Anna popatrzyła na Małgorzatę, ciągle nie mogąc dać wiary jej słowom.

- Nie podejrzewałabym go o taki gest.

- A jednak. Widać słabo pani znała swojego męża.

- Tak. - Anna w zadumie sięgnęła po kolejnego papierosa. - Na to wygląda...

- Dlaczego pani pojechała wtedy do Moniki?

- Chciałam jej uświadomić pewne rzeczy.

- Żeby ratować małżeństwo?

- Ha! To by była ładna wymówka. Ale nie, proszę pani - Anna dmuchnęła dymem w  
kierunku Małgorzaty - ja tam pojechałam, żeby się odegrać. Na Jacku, oczywiście, nie na tej -  
chciała powiedzieć głupiej smarkuli, ale w porę się powstrzymała - na tej biednej małej. Już  
miałam dość tych jego wyskoków. Po prostu, miałam już dość.

## ROZDZIAŁ 51

Anna wykonała makijaż nadzwyczaj starannie. Pomalowała nawet paznokcie na czerwono, co zdarzało jej się naprawdę rzadko. Wybór odpowiedniego stroju nie zajął jej dużo czasu. Bez wahania sięgnęła po najbardziej efektowną rzecz, która wisiała w jej szafie - czerwona sukienka od Armaniego w wielkie czarne grochy. Kupiła ją wprawdzie specjalnie na jutrzejsze przyjęcie, ale nie miała wątpliwości, że premiera kreacji powinna odbyć się właśnie teraz. Uzupełniła swój strój torebką i pantoflami z tej samej kolekcji, po chwili namysłu włożyła jeszcze czarny kapelusz z wielkim rondem i tak wystrojona wyszła z domu. Dla wzmocnienia efektu tuż przed drzwiami Moniki skropiła się obficie perfumami Poison i wyjątkowo zadowolona z efektu osiągniętego tymi prostymi, choć nie można powiedzieć tanimi środkami nacisnęła dzwonek, przytrzymując klawisz przez kilka sekund. Minęło co najmniej pół minuty, zanim z wnętrza mieszkania dobiegły odgłosy zbliżających się kroków. Ktoś przystawił oko do wizjera i zza drzwi dobiegło zaniepokojone „kto tam”.

- Anna Jarecka.

Monika uchyliła drzwi i nieufnie wyjrzała na korytarz.

- Tak?

- Jestem żoną Jacka.

Monika popatrzyła na Annę, zaskoczona w równym stopniu niespodziewaną nocną wizytą, jak i ekstrawaganckim, zważywszy na okazję, wyglądem swojego gościa.

- Mogę wejść? - upomniała się Anna.

- Tak, proszę. - Monika ocknęła się i otworzyła szeroko drzwi.

- Nie zajmę pani dużo czasu - Anna z przewrotną kurtuazją usprawiedliwiła swoją obecność, doskonale wiedząc, że strata czasu ma w tej chwili dla Moniki drugorzędne znaczenie. Popatrzyła na swoją rywalkę z ciekawością i bez cienia zakłopotania obejrzała ją sobie od stóp do głów. Dziewczyna była rzeczywiście ładna, ale dzisiaj, w szlafroku ledwo dopinającym się na wielkim brzuchu, z brudnymi włosami i w przydeptanych kapciach - wyglądała, delikatnie mówiąc, nieciekawie. Poczyniona obserwacja wprawiła Annę w dobry nastrój, utwierdzając w przekonaniu, że włożenie kreacji od Armaniego nie poszło na marne. Ostentacyjnie zakończyła lustrację dziewczyny, zostawiając ją w przedpokoju, a sama bez pytania weszła najpierw do kuchni, a potem obejrzała oba pokoje.

- Ładne mieszkanie - odezwała się z przekąsem.

- Dziękuję. - Monika nie zauważyła ironii. - Mnie też od razu się spodobało.

- Teraz już wiem, dlaczego pieniądze za ostatni film Jacka rozeszły się tak łatwo.

- No, ale... - do Moniki dotarły wreszcie intencje Anny. - Mieszkanie jest moją własnością- odpowiedziała śmiało - i jeśli pani ma jakieś roszczenia...

- Mogę usiąść? - pytanie było w zasadzie retoryczne, bo Anna właśnie usiadła na kanapie, demonstracyjnie zakładając nogę na nogę. Zanim Monika zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, zdjęła z głowy kapelusz i rzuciła go niedbale na siedzenie.

- Ależ skąd - dopiero teraz wróciła do przerwane go wątku - nie jestem chciwa. Uważam nawet, że należy się pani jakaś... rekompensata.

- Nie wiem, o czym pani mówi. - Monika popatrzyła na nią ze zdumieniem.

- No, chyba nie uwierzyła pani, że Jacek się z panią ożeni?

- Nie rozumiem.

- To kiedy pani obiecał ten ślub? Za tydzień? Dwa? Jeszcze przed porodem? Jak na razie bigamia w naszym kraju jest zakazana, a Jacek rozwodu nie ma i o ile mi wiadomo, nawet nie zamierza o niego wystąpić.

- To nieprawda!

- Biedactwo. A tego, że założył się o skrzynkę whisky, że panią poderwie, też pani nie wie?

- Pani kłamie, kłamie! - Monika miała ochotę rzucić się na Annę z pięściami.

- Proszę wybaczyć, ale naprawdę nie muszę. Ja to wiem - nawet najlepszym przyjacielom po kilku piwach rozwiązują się języki. Przeżywałam flirty Jacka nie raz i wiem, do czego jest zdolny. Zawsze do mnie wraca.

Żona Jacka sięgnęła do torebki, wyrwała kartkę z notesu i zaczęła coś na niej pisać.

- Proszę. - Podała kartkę Monice. - Tu są telefony jego poprzednich kochanek, jeśli pani mi nie wierzy.

- Proszę to schować! - Monika wyrwała Annie kartkę z dłoni, po czym rzuciła jej w twarz.

Anna z drwiącym uśmiechem spokojnie schowała kartkę do torebki.

- Wystarczy, że go pani zapyta o Barbarę, o Renatę, o Jolę...

- Proszę stąd wyjść! - Monika straciła cierpliwość, a jej krzyk zaczął nabierać niebezpiecznie historycznych tonów.

- Ależ oczywiście. Właśnie zamierzałam to zrobić.

Żona Jacka, nie spiesząc się, sięgnęła po kapelusz i włożyła go. Spokojnie wyciągnęła z torebki lusterko. Sprawdziła, czy dobrze wygląda, wyjęła szminkę i umalowała nią usta.

Schowwała szminkę i lusterko do torebki i dopiero wtedy wstała. Gdy była już w przedpokoju, dostrzegła na wieszaku rzecz, której widok najpierw ją zdumiał, a potem rozśmieszył.

- O, moja apaszka - zauważyła rozbawiona. - Byłam pewna, że ją zgubiłam! Przywiozłam ją z Meksyku dwa lata temu. Czyżby dostała ją pani w prezencie od Jacka? Nie wydaje się pani, że to już przesada?

- Niech sobie pani weźmie tę apaszkę! - Monika, bliska płaczu zerwała chustkę z wieszaka i wcisnęła Annie do ręki. - I niech się pani już wynosi!

- O, dziękuję, byłam do niej bardzo przywiązana. Dobranoc pani.

Monika zatrzasnęła za Anną drzwi. Jej oczy napęłniły się łzami. Załkała cicho. W pustym mieszkaniu płacz dziewczyny rozbrzmiewał coraz głośniejsze i głośniejsze, aż w końcu zamienił się w rozdzierający, przeciągły jęk.

## **ROZDZIAŁ 52**

Małgorzata pomyślała, że wersja Anny Jareckiej brzmiała, niestety, całkiem wiarygodnie i zapewne jest prawdziwa. Albo bardzo dobrze obmyślana. W jednym i drugim wypadku zeznanie żony nie posuwało sprawy Jacka w żaden sposób do przodu. Jeżeli nawet była winna, nieważne, czy nieumyślnego spowodowania śmierci, czy też z premedytacją zaplanowanej i dokonanej zbrodni, to udowodnienie jej czegokolwiek w tej chwili było niemożliwe. Małgorzata nie bez żalu pogodziła się z wersją, że Jarecka mówi prawdę, choć do koncepcji zemsty urażonej żony zaczęła się już powoli przyzwyczajać. To wszystko tak dobrze się układało. Mąż jedzie do teatru i żona wie, że spędzi tam co najmniej trzy godziny. W tym czasie ona jedzie do jego kochanki i zabija ją, wiedząc, że mąż sprowokowany wieczorną rozmową, zaraz po spektaklu natychmiast też do niej pojedzie. Mąż przyjeżdża, znajduje ciało i ma duże kłopoty. Zemsta zostaje dokonana. To w wersji egzaltowanej, w wersji bardziej życiowej panie biorą się za głowy i w tej potyczce żona ma więcej szczęścia niż kochanka.

Niestety, oba scenariusze były nie do udowodnienia. Małgorzata postanowiła przynajmniej jedną rzecz ustalić na pewno.

- Dlaczego nie powiedziała pani o tym w śledztwie?

- Jako najbliższa rodzina miałam prawo odmówić składania zeznań - Anna wyrecytowała natychmiast dobrze opanowaną formułkę.

- Niech pani sobie wyobrazi, że znam przepisy - odparła Małgorzata. - Pytam - dlaczego?

- Nie muszę się przed panią tłumaczyć.



Małgorzata natychmiast zauważyła, że udało jej się trafić w czuły punkt, ale tym samym pomyślny przebieg dalszej rozmowy zaczął wisieć na włosku.

- Istotnie, nic pani nie musi - wycofała się szybko z napastliwego tonu.

Anna Jarecka wstała. Małgorzata również, sądząc, że jej wysiłki poszły na marne i żona Jacka w ten sposób daje do zrozumienia, że pora wreszcie opuścić jej gabinet.

- Nie, proszę poczekać. - Anna pokazała ręką, by Małgorzata usiadła. Sama podeszła do okna, okazując ostentacyjnie przesadne zainteresowanie parkującymi na podwórku samochodami.

- Dlaczego? - powtórzyła pytanie po tak długiej pauzie, że Małgorzata niemal straciła nadzieję na odpowiedź.

- Tak trudno się domyślić? Gdyby wydało się, że tam byłam - rzekła po chwili namysłu, stojąc ciągle tyłem do Małgorzaty - miałabym kłopoty. Myślałam zresztą, że to Jacek... Może inaczej - nie byłam przekonana o jego niewinności. W śledztwie powiedział, że zerwał z Moniką i myślałam, że tak było. Podejrzewałam jakąś sprzeczkę, wypadek. Zdałam sobie sprawę, że przez Jacka - Anna wypowiedziała te słowa drżącym, nagle zupełnie zmienionym głosem - moje życie legło w gruzach. Chciałam przynajmniej ochronić dzieci. Po prostu... umyłam ręce. - Tym razem w jej głosie zabrzmiało poczucie winy, ale szybko się zreflektowała i dokończyła z wcześniejszą determinacją. - Nie ja pierwsza, zresztą.

- Teraz mogłaby mu pani pomóc. - Małgorzata spróbowała wykorzystać tę chwilę słabości.

Anna gwałtownie odwróciła się od okna.

- A pomyślała pani, dlaczego zmieniałam nazwisko? Wyjechałam do innego miasta? Zatarłam za sobą wszystkie ślady? Moje dzieci nie wiedzą, że mają ojca mordercę. Dla nich ojciec nie żyje. Nawet mój obecny mąż nie wie, że byłam żoną Jacka. Mam pozwolić, żeby mój świat legł w gruzach po raz drugi?

- I nadal jest pani przekonana, że Jacek jest mordercą?

Anna Jarecka wróciła na swoje miejsce za biurkiem i popatrzyła Małgorzacie prosto w oczy.

- Wydaje mi się, że wyczerpałyśmy już temat.

Małgorzata kiwnęła głową i wstała. Na biurku dostrzegła zdjęcie, na którym obok Anny stał jakiś uśmiechnięty mężczyzna i czwórka dzieci w różnym wieku.

- Czy mogę zabrać to zdjęcie? - Małgorzata wskazała na fotografię. - Dla Jacka.

- Proszę. - Po dłuższej chwili milczenia Jarecka niechętnie skinęła głową.

- Dziękuję, że poświęciła mi pani swój cenny czas. - Małgorzata odstawiała stołek na środek pokoju. - Do widzenia.

Anna Jarecka zatopiła wzrok w papierach.

## ROZDZIAŁ 53

Wizyta w archiwum bezlitośnie ujawniła Karolowi jeszcze jedną słabość, choć na szczęście tym razem była to tylko słabość materii. Gdy próbował ratować z opresji panią Basię, pod wpływem jej ciężaru rękaw marynarki oddzielił się od części zasadniczej i trzymał się już właściwie na jednej nitce. Perspektywa zakupu nowego garnituru zrobiła się tak nagląca, że Karol wyjątkowo wyszedł z pracy jeszcze przed zamknięciem sklepów i w pierwszym napotkanym po drodze salonie firmowym „Vistuli” kupił sobie nowy strój roboczy. Trzeba jednak przyznać, że określenie „nowy” nie oznaczało bynajmniej ani inny, ani tym bardziej modny. Karol zrobił wszystko, by nowy garnitur jak najmniej różnił się od starego. Było to zadanie całkiem proste, biorąc pod uwagę, że stary miał linię tak klasycznie nudną, że jego wzór na pewno musiał znajdować się w Sevres.

Karol przymierzył nowy, wyglądający jak stary garnitur i już w nim został, natomiast stary, wyglądający jak nowy (jeśli pominąć stopień zużycia), zaraz po wyjściu ze sklepu umieścił w metalowym pojemniku z napisem PCK. Zahaczył jeszcze o kwaciarnię, w której po raz trzeci rzucił wyzwanie losowi i kupił bukiet słoneczników. Z brakującym tomem akt sprawy Jareckiego stanął przed drzwiami Małgorzaty i śmiało nacisnął dzwonek. Fakt, że najpierw otworzyły się drzwi mieszkania sąsiadki, zupełnie go nie zdziwił. Odwrócił się i uśmiechnął przyjaźnie.

- Dzień dobry pani. - Ukłonił się grzecznie. - Jak zdrowie?

Pani Zofia mruknęła pod nosem coś, co tylko przy dużej dozie dobrej woli można było uznać za „dzień dobry”, i pośpiesznie zniknęła w mieszkaniu. Karol, przejęty swym małym sukcesem, nawet nie zauważył, kiedy Małgorzata otworzyła drzwi.

- Hej, hej, tu jestem. - Jej głos wyrwał go ze stanu chwilowej euforii, wprowadzając w zupełnie typowy stan konsternacji. Odwrócił się szybko i wcisnął Małgorzacie do rąk bukiet słoneczników.

- Dzięki, jakie piękne! - zachwyciła się szczerze. - A wiesz - przypomniała sobie nagle - kilka dni temu ktoś zostawił słoneczniki przed figurką Madonny na podwórku.

Ta niewinna uwaga zmroziła Karola bardziej niż wizja nadciągającej epoki lodowcowej. Pomyślał ze zgrozą, że został rozszyfrowany, i jedyne co mu w tej trudnej chwili pozostało, to jak najszybciej dać nogę.

- To te brakujące zeznania. - Nerwowo wyszarpnął z teczki akta Jareckiego i podał Małgorzacie, starając się nie patrzeć jej w oczy.

- Myślałam, że zostaniesz na kolacji. - W głosie Małgorzaty tak wyraźnie słychać było zawód, że nawet Karol, mimo zahamowanych chwilowo procesów myślowych wreszcie to zauważył. - Spieszysz się gdzieś?

- Nie. To znaczy... właściwie...

- Może jednak wejdiesz? - Małgorzata postanowiła dać Karolowi jeszcze jedną szansę.

- Chętnie, prawdę mówiąc, umieram z głodu.

Po poprzednich eksperymentach z golonką Małgorzata postanowiła uraczyć swojego gościa kuchnią bardziej wyrafinowaną. Przygotowała potrawę, którą wypróbowała na gościach już wielokrotnie, za każdym razem wzbudzając niekłamany entuzjazm. Danie wyjęte z pieca wyglądało całkiem zwyczajnie, ale smakowało o wiele lepiej, niż wyglądało. Największy efekt osiągało się jednak dopiero wtedy, gdy goście dowiadywali się, co właściwie zjedli. Reakcja Karola w niczym nie odbiegała od przerabianego wielokrotnie scenariusza.

- Słuchaj, to jest pyszne - Karol przełknął pierwszy kęs nieufnie, ale po drugi sięgnął już z zapalem - co to właściwie jest?

- Zapiekanka. Józef przywiózł przepis od szkockich górali.

- Ale co w niej jest?

- Cieszę się, że ci smakuje. - Małgorzata uśmiechnęła się tajemniczo. - Chcesz dokładkę?

Karol ochoczo pokiwał głową. Małgorzata nałożyła mu solidną porcję, a swój talerz odsunęła na środek stołu, rzucając dyskretne spojrzenie na leżącą na kanapie teczkę z dokumentami.

- Możesz zajrzeć - Karol natychmiast odgadł jej zamiary - nie krępuj się.

- Nie, nie - Małgorzata lekko się zmieszała - papiery nie uciekną. Lepiej wstawię wodę na herbatę.

- Kawę, jeśli można - Karol, jak na lekcji w szkole, podniósł dwa palce.

- A czego byś chciał posłuchać? - zapytała, zbliżając się do półki z płytami.

- Sama wybierz... - tylko nie Brubecka, chciał dokończyć Karol, ale nie zdążył, bo Małgorzata wyjęła z półki tę samą płytę, przy której zasnął, gdy był tutaj pierwszy raz. Jęknął cicho, zastanawiając się, czy to wyrafinowana zemsta, czy przypadkowe zrządenie losu.

- To moja ulubiona płyta - wyznała Małgorzata, włączając muzykę. - Wiesz, że byłam akurat na tym koncercie, który tu nagrali? Dlatego kiedy tamtego wieczoru wybrałaś tę właśnie płytę, pomyślałam...

Zawiesiła głos, oczekując jakichś sygnałów zainteresowania, ale Karol, któremu akurat tamten wieczór kojarzył się wyłącznie z kompromitacją, nie miał odwagi podnieść wzroku, a co dopiero zadać pytanie - „o czym?”.

- Widzę, że cię to nie interesuje - skostatowała Małgorzata i nie dając mu szans na odpowiedź, zniknęła w kuchni. - Tę kawę chcesz z mlekiem czy bez?

- Bez. - To było wszystko, co Karol zdołał z siebie wykrztusić.

Sięgnął zrezygnowany po teczkę z zeznaniami Jareckiego i zaczął mechanicznie przetrzącać kartki, specjalnie nie zagłębiając się w ich treść. Jego wzrok przykuło jedno, wydawało się całkiem niewinne zdanie, które jednak w kontekście pozostałych wydało mu się w tym miejscu dziwne. Małgorzata wróciła właśnie z kuchni, niosąc kawę, więc na jej widok szybko zamknął teczkę i odłożył na skraj stołu.

- Małgosiu, muszę ci powiedzieć coś bardzo ważnego - zaczął tknięty nagłym impulsem.

- Tak? - zapytała Małgorzata z nadzieją w głosie, nieruchomiejąc nad stołem z dwoma filiżankami kawy w dłoni.

- Chyba znalazłem nowy trop.

- Aha. - Małgorzata, nie kryjąc rozczarowania, postawiła kawę na stole i demonstracyjnie przysunęła Karolowi filiżankę przed nos.

Karol pociągnął łyk kawy i wygodnie rozluźnił się na krześle.

- Zajrzyj do tych akt. - Wskazał teczkę leżącą na stole. - Tam pod koniec, wydaje mi się, jest coś ciekawego.

Małgorzacie nie trzeba było dodatkowej zachęty.

- No tak, teraz to co innego. - Pobieźnie kartkowała papiery. - Zeznania Jacka, jedno, drugie, odwołanie pierwszego, wszystko się zgadza.

- Popatrz na ostatnie dwie strony.

- O, jeszcze zeznania sąsiada. - Małgorzata trochę uważniej zagłębiła się w tekst. - Był na spacerze z psem, poszedł do nocnego kupić chleb, potem na stację benzynową po papierosy, potem widział Jacka... Na wszystko ma alibi, facet w sklepie go zapamiętał, bo się strasznie wyklócał, że chleb nieświeży. Na stacji benzynowej znowu się awanturował, że nie pozwalają mu wejść z psem - relacjonowała monotonna. - Zaraz - ożywiła się nagle - więc po co szedł na stację benzynową, taki kawał drogi, kiedy papierosy mógł kupić w sklepie?

- Nie było jego ulubionych?
- Ale nikt tego nie sprawdził...
- Pewnie w policji mieli za mało etatów.
- I dlaczego tak się awanturował o głupoty i w sklepie, i na stacji?
- No właśnie - Karol potwierdził jej wątpliwości - no właśnie.

Małgorzata z nowym zapałem zaczęła wczytywać się w zeznania sąsiada, powoli tracąc kontakt z rzeczywistością. Po kilku minutach wyczekiwania Karol doszedł do wniosku, że jego osoba w tym towarzystwie znowu stała się zupełnie zbędna, więc cicho wstał i dyskretnie oddalił się od stołu.

- Pójdę już - rzekł, stojąc jedną nogą w przedpokoju. - Nie chcę ci przeszkadzać.
- Małgorzata dopiero teraz zauważyła, że Karol nie siedzi już razem z nią przy stole.
- Wcale mi nie przeszkadzasz - odrzekła, pośpiesznie zamykając teczkę - a nawet...
- Co nawet? - tym razem reakcja Karola była szybka i prawidłowa.
- A nawet wręcz przeciwnie.
- Tak tylko mówisz - Karol podał w wątpliwość jej słowa, żywiąc nadzieję na bardziej

konkretne wyznanie.

Małgorzata wstała od stołu i zbliżyła się do Karola, z dezaprobatą kręcąc głową.

- Przecież wiesz, że ja nigdy nie mówię „tak tylko”.

Karol spłoszony odwrócił wzrok i sięgnął po płaszcz.

- Posłuchaj - zatrzymał się nagle w pół drogi - czy...
- Tak? - Małgorzata podeszła niebezpiecznie blisko.

Karol zamilkł, szukając odpowiednich słów. Zdjął okulary i swoim zwyczajem potarł nasadę nosa. Popatrzył na Małgorzatę. Bez okularów cała jej postać wydała mu się nierealna. Ta dobrze mu znana, niedostępna i zimna jak Królowa Śniegu Małgorzata gdzieś nagle znikła, a zamiast niej pojawiła się zupełnie inna, choć równie nieodgadniona Małgosia. Wypowiedzenie kilku słów, które wcześniej nigdy nie chciały mu przejść przez gardło, nagle wydało się mu niespodziewanie łatwe.

- Małgosiu, czy mógłbym... - Zawahał się przez chwilę, chcąc zapytać, czy mógłby ją zaprosić na Wigilię, ale Małgorzata nie pozwoliła mu dokończyć.

- Mógłbyś.

Kiedy Karol zdjął okulary, Małgorzata również dokonała niespodziewanego odkrycia. Zdała sobie sprawę, że wie nareszcie, dlaczego przez tak długi czas zupełnie go nie zauważała. Karol po prostu dobrze się ukrył. Za grubymi szklami w ogóle nie było widać człowieka.

A teraz Małgorzata mogła nareszcie z bliska popatrzeć mu w oczy i w tych oczach znalazła to, czego od dawna bezskutecznie szukała.

- Mógłbyś - powtórzyła jeszcze raz. Wyjęła mu z ręki okulary, a potem, zaskoczona własną śmiałością, lecz przekonana o słuszności swego zachowania narastającym, charakterystycznym ssaniem w dołku, nareszcie go pocałowała.

## ROZDZIAŁ 54

Telefon z zaproszeniem na rozmowę w sprawie pracy zadzwonił do Jacka Jareckiego w zupełnie niespodziewanym, choć najlepszym z możliwych momencie. Jacek zaczął już widzieć swoją przyszłość w czarnych barwach, tracąc wiarę, że dla kogokolwiek, oprócz własnej matki, znaczy jeszcze cokolwiek.

Grażyna Barcz wydawała się osobą konkretną. Nie obiecywała złotych gór i nie robiła wielkich nadziei, ale oferowała konkretną pracę za konkretne pieniądze.

W magazynie kostiumów roznosił się ten sam swojski zapach stęchlizny wymieszany z zapachem naftaliny, który Jacek pamiętał sprzed lat. Kiedyś był powodem nieustannych kpin i namawiania dyrektora teatru do wyrzucenia wreszcie tych staroci albo oddania ich do muzeum, a przynajmniej do pralni. Teraz jednak Jacek nie mógł się oprzeć uczuciu nostalgii. Stał zamyślony i nawet nie zdając sobie z tego sprawy, gładził rękaw kostiumu huzara.

- Potrafi się pan tym posługiwać? - Grażyna Barcz przywołała go do rzeczywistości, wskazując ręką półkę, na której leżały poukładane kukielki.

- Kiedyś potrafiłem, mieliśmy zajęcia na studiach. - Jacek wziął do ręki drewnianą Kaczkę Dziwaczkę i poruszył jej dziobem. - Kwa, kwa - wydał z siebie niezbyt przekonujący dźwięk i roześmiał się. - Będę musiał trochę potrenować. Prawdę mówiąc, chyba lepiej układa mi się współpraca z żywymi aktorami.

- Ma pan wolną rękę, ale dzieci w tym wieku raczej wolą kukielki. Może, jeśli zorganizujemy starszą grupę...

- Dlaczego chce mnie pani zatrudnić? - Jacek ciągle nie dowierzał, że dyrektorka Domu Kultury „Tęcza” naprawdę chce go przyjąć na etat instruktora teatralnego. - Przecież na pewno łatwo pani znajdzie kogoś z większym doświadczeniem.

- Niech pan nie będzie taki skromny. - Grażyna Barcz uśmiechnęła się przyjaźnie. - Pan przecież już kiedyś pracował z młodzieżą, i to z całkiem niezłymi wynikami.

- Widzę, że dobrze pani zna mój życiorys. - Jacek znów poczuł się niepewnie. - Pewnie zna pani również inne szczegóły z mojej przeszłości.

- Bardziej mnie interesuje przyszłość niż przeszłość.

- Są rzeczy, których nie można zapomnieć...

- Cóż, to raczej pana problem - dyrektorka weszła mu w słowo, eliminując tym samym ewentualne próby uzalania się Jacka nad własnym losem. - Umówmy się, że dla mnie przeszłość nie istnieje.

- Dużo pani ryzykuje. Nie boi się pani?

- Ma pan bardzo dobre referencje.

Choć w oczach Jacka widać było wyraźnie wielki znak zapytania, nie zmusiło to jednak dyrektorki do zdradzenia źródła swych informacji.

- Czasami trzeba ludziom zaufać. To co, kiedy może pan zacząć? - Grażyna Barcz definitywnie ucięła dyskusję. - Jeśli pan chce, oczywiście.

- Chcę! Natychmiast! W każdej chwili.

Dyrektorka uśmiechnęła się i podała Jackowi rękę.

- No to witamy na pokładzie.

Jacek chwycił jej dłoń i uścisnął solidnie.

- Przepraszam bardzo, ale... skoro już mam tu pracować... - czy mógłbym wypożyczyć pewien kostium na dzień albo dwa?

## ROZDZIAŁ 55

Małgorzata bez trudu odnalazła dom, w którym kiedyś mieszkała Monika Zasławska. Od czasu gdy była tam ostatni raz, mimo upływu ponad dziesięciu lat, w okolicy niewiele się zmieniło. Jediną oznaką postępu był zainstalowany w drzwiach wejściowych domofon, co pewnie dobrze służyło mieszkańcom domu, jednak Małgorzacie tylko utrudniło pracę. Nie pamiętała numeru mieszkania sąsiada, a poza tym nie miała gwarancji, że ciągle mieszka pod tym adresem. Zaczaiła się więc przed klatką, udając, że rozmawia przez komórkę. Gdy tylko dostrzegła, że w kierunku wejścia zbliża się starsza pani z pieskiem, dziarskim krokiem ruszyła za nią, przytrzymując uprzejmie otworzone przez staruszkę drzwi.

Pamiętała, że mieszkanie Moniki znajdowało się na pierwszym piętrze, na końcu korytarza, po lewej stronie, sąsiad zaś mieszkał naprzeciwko. Z dużym niepokojem stanęła przed drzwiami mieszkania, które kiedyś należało do Henryka Solicy, i nacisnęła dzwonek. Nie było żadnej reakcji. Zadzwoiła jeszcze raz. Wydało jej się, że wewnątrz słychać jakieś szmer. Zadzwoiła po raz trzeci, i żeby nie było wątpliwości, że bardzo jej zależy, aby dostać się do środka, zaczęła głośno pukać do drzwi. W końcu w pewnym sensie osiągnęła swój cel -

drzwi się otworzyły, chociaż nie te, do których pukała. Z dawnego mieszkania Moniki Zasławskiej wynurzyła się kobieta w szlafroku.

- On jest w domu - poinformowała konspiracyjnym szeptem - tylko nie otwiera. Pani jest z pomocy społecznej?

- Nie. - Małgorzata odwróciła się zaskoczona.

- A może z administracji?

- Nie, nie.

Wykaz możliwych gości sąsiada chyba się na tym się kończył, mimo to kobieta dodała:

- Może pani coś zrobi, bo już się tu wytrzymać nie da. Niech pani próbuje do skutku - doradziła, również w swoim interesie, i zamknęła drzwi.

Zaintrygowana Małgorzata po raz kolejny nacisnęła dzwonek i tym razem drzwi mieszkania się otworzyły. W jednej chwili zrozumiała, a raczej poczuła, na czym polegał problem kobiety w szlafroku. Cofnęła się mimowolnie, z trudem opanowując odruch zasłonięcia nosa przed wydobywającym się ze środka fetorem. Jej oczom ukazał się smętny widok. Mężczyzna stojący przed nią był niewątpliwie tym, którego szukała. Nie był to już jednak ten elegancki starszy pan, który podtrzymywał ją na duchu, kiedy zobaczyła ciało Moniki. Małgorzata rozpoznała go dopiero po dłuższej chwili, gdy skrzyżowały się ich spojrzenia. Twarz Henryka Solicy pokryta była głębokimi bruzdami zmarszczek. Rzadkie, siwe, pozlepiane w strąki włosy zwisały mu do ramion. Miał na sobie podkoszulek, kiedyś zapewne biały, i dziurawe kalosony w równie niezidentyfikowanym kolorze. Ledwo trzymał się na nogach. Przez szparę w drzwiach widać było fragment przedpokoju, z którego ścian zwisała pożółkła tapeta w niegdyś białe róże. Po podłodze walały się puste butelki po tanim winie i nieliczne butelki po wódce.

- Dzień dobry. - Małgorzata przemogła się, by wykonać grymas mogący od biedy uchodzić za uśmiech.

Mężczyzna najpierw obejrzał ją dokładnie i dopiero po dłuższej chwili nieznacznie kiwnął głową. - Jestem...

- Wiem, kim pani jest - powiedział z trudem. - Poznałem panią.

- To pewnie się pan domyśla, dlaczego tu jestem?

- Nie - odpowiedź padła podejrzenie szybko.

- Czy moglibyśmy porozmawiać o pana byłej sąsiadce, Monice Zasławskiej?

Mężczyzna długo wpatrywał się w Małgorzatę, nie mówiąc ani słowa.

- Może pani przyjść jutro? - zapytał w końcu.

- Ale... - zawahała się Małgorzata - jutro jest Wigilia.



- Przeszkadza to pani?
- Nie, właściwie nie.

## ROZDZIAŁ 56

Boże Narodzenie tego roku zupełnie nie było białe. Można by stwierdzić nawet, że było kolorowe - z niektórych skrzynek balkonowych ciągle zwisały kwiaty, niezniszczone jeszcze przez mróz. Jediną oznakę świąt w willowej dzielnicy Wrocławia stanowiły choinki w ogródkach przystrojone kolorowymi lampkami i przemykające od domu do domu gromady Świętych Mikołajów.

Jeden z Mikołajów zatrzymał się właśnie przed ładnym, niedużym domkiem, obrośniętym dzikim winem. Sprawdził jeszcze raz zapisany na kartce adres i upewniwszy się, że trafił we właściwe miejsce, zarzucił na plecy wór z prezentami. Pchnął furtkę i po chwili dzwonił już do drzwi domu. Mężczyzna w średnim wieku, który mu otworzył, wydawał się widokiem Mikołaja zaskoczony.

- Dzień dobry - Święty Mikołaj zagrzmiął tubalnym głosem.
- Ale my... - mężczyzna zawahał się i popatrzył bezradnie w kierunku schodów, skąd oczekiwał nadciągającej pomocy - nie zamawialiśmy chyba Świętego Mikołaja?
- Kto przyszedł? - po chwili w przedpokoju dał się słyszeć kobiecy głos.
- Święty Mikołaj - odpowiedział mężczyzna, który na dźwięk głosu żony poczuł się pewniej. - Zamawiałaś Mikołaja?
- Mikołaja? - Anna Bazana była obecnością przybysza równie zaskoczona jak jej mąż. - Jakiego... - Głos uwiązał jej nagle w gardle, bo rysy niespodziewanego gościa wydały jej się znajome.

Z głębi domu wybiegła dwójka dzieci w wieku, w którym wierzy się jeszcze w Świętego Mikołaja bez zastrzeżeń.

- Święty Mikołaj! Hurra! - ich reakcja na gościa była absolutnie prawidłowa. - Święty Mikołaj! - Podbiegły do mężczyzny i chwyciły go za ręce.
- Czy są grzeczne dzieci w tym domu? - zahuczał Mikołaj głębokim basem.
- Są! Są!
- No nie wiem, nie wiem. - Anna szybko zdołała się opanować i zaczęła grać narzuconą jej rolę. - Myślę, że dla was Mikołaj powinien mieć chyba tylko różgi.
- Nie! Nie! - chórek dziecięcych głosików zabrzmiał wyjątkowo zgodnie.

- No, nawet jeśli byliście trochę niegrzeczne, to zawsze możecie obiecać poprawę. - Mikołaj dobrze odgrywał swą rolę. - Obiecujecie?

- Tak! Tak! - rodzeństwo znowu było jednomyślne, choć widać było od razu, że jest to tylko chwilowa solidarność zawiązana w celach merkantylnych.

- No to może się znajdą jakieś prezenty.

- Widzisz, mamó, widzisz, mówiłem. - Młodszy chłopiec aż podskakiwał radości. - Mówiłem, że jednak przyjdzie.

- Nie musiałeś nic mówić - jego siostra, osoba z doświadczeniem życiowym dłuższym o cały rok i dwa miesiące, ostudziła ten zapał - Święty Mikołaj zawsze przychodzi - odparła z przekonaniem. Wzięła Mikołaja pod ramię i nie wyobrażając sobie, że coś mogłoby jej w tym przeszkodzić, poprowadziła go w głąb domu.

W niedużym salonie, urządzonej bardzo gustownie i przytulnie, stała prawdziwa, pachnąca lasem choinka, wysoka aż do sufitu. W kominku trząsał ogień, roztaczając wokół przyjemne ciepło. Czternastoletni chłopiec stał na krześle i zawieszał bombki na wierzchołku drzewka. Trochę młodsza dziewczynka na przystrojonym świątecznym stole ustawiała talerze i układała sztuce. Na widok starszych dzieci mężczyźni w stroju Mikołaja ugięły się nogi. Zatrzymał się w drzwiach, nie mogąc dalej zrobić kroku.

- To tutaj, panie Mikołaju - cienki dziewczęcy głosik skutecznie przywołał go do porządku - tu jest choinka. Już może pan zaczynać.

## **ROZDZIAŁ 57**

Małgorzata stanęła przed mieszkaniem Henryka Solicy punktualnie o czwartej i tym razem drzwi otworzyły się, zanim w ogóle zdążyła nacisnąć dzwonek. Liczyła wprawdzie nieśmiało, że może z okazji jej wizyty Solica przynajmniej wywietrzy mieszkanie, ale to, co zobaczyła, przerosło jej wszelkie oczekiwania. W powietrzu wyczuwało się ciągle opary alkoholu, ale skutecznie tłamszone zapachem domestosa. Na podłodze w przedpokoju nie było już butelek. Sam Henryk Solica, ogolony, ostrzyżony, w czarnym garniturze, białej koszuli i krawacie znowu zaczął przypominać człowieka, którego zapamiętała sprzed lat. Pewien dysonans w stosunku do tego stroju stanowiły wprawdzie dziurawe, zdeptane kapcie na jego nogach, ale pomijając ten drobny szczegół, można było powiedzieć, że wyglądał całkiem elegancko.

- Dzień dobry. Jaki ładny garnitur - Małgorzata zareagowała spontanicznie na tak niespodziewany widok.

- Eee... - Solica zbagatelizował komplement - miał być do trumny - wyznał szczerze. - Nie myślałem, że jeszcze na coś się przyda. Proszę, niech pani wejdzie. - Ręką wskazał drogę do pokoju.

Małgorzata rozejrzała się po wnętrzu z zawodową ciekawością i nie znalazła w nim niczego, co by odbiegało od stereotypu mieszkania samotnego emeryta. Segment na wysoki połysk w kolorze jasny orzech z epoki późnego Gierka trzymał się jeszcze nieźle, za to wersalka obita przypominającą koc tkaniną w szaroburą kratę sprawiała wrażenie, że za chwilę rozpadnie się na kawałki. Podłoga z płytek PCV przykryta była dywanem o stopniu zużycia porównywalnym do zużycia obicia wersalki i w równie nieokreślonym kolorze.

Prace porządkowe Solicy nie objęły wprowadzenia prania zasłon i wywabiania plam z dywanu, ale trzeba przyznać, że jego wysiłki były widoczne gołym okiem. Na stole nakrytym białym, czystym obrusem przygotowana była zastawa dla trzech osób.

- Spodziewa się pan jeszcze kogoś? - zapytała Małgorzata, zanim zdążyła ugryźć się w język.

- Przecież to Wigilia - obruszył się Solica.

- Przepraszam, nie pomyślałam o tym.

- Proszę, niech pani siada.

Małgorzata usiadła, minę mając raczej niepewną. Na stole, oprócz talerzy i sztucców, stał spory półmisek wyładowany śledziami i butelka wódki.

- No, niech się pani nie krępuje. - Solica podsunął półmisek, a Małgorzata, nie zwlekając, nałożyła na swój talerz dwa kawałki śledzia. - Świeże są, dzisiaj kupiłem.

- Czy ma pan może... - Małgorzata zlustrowała stół znaczącym spojrzeniem.

- No tak - Solica szybko odgadł jej intencje - zapomniałem o chlebie, już niosę.

Wstał gwałtownie, zahaczając nogą o kluczyk wystający z segmentu. Drzwiczki otworzyły się z głośnym skrzypnięciem i uwolniły ze środka całą zawartość - kilkadziesiąt butelek po winie, tych samych, które jeszcze dzień wcześniej leżały na podłodze. Solica popatrzył na butelki nieżyczliwie. Schylił się z zamiarem upchnięcia ich z powrotem w segmentcie, jednak opór materii okazał się zbyt duży. Podał się łatwo i niedbałym kopnięciem usunął pod stół tylko te, które wykazały największą złośliwość i zagradzały mu drogę. Zniknął w kuchni, by po chwili przynieść stamtąd talerz z pokrojonymi niezgrabnie pajdami chleba. Rozlał wódkę do dwóch kieliszków. Jeden postawił przed Małgorzatą, a drugi wziął do ręki i wznosił toast, wyciągając rękę w kierunku swego gościa.

- No to wesołych świąt!

Wypił duszkiem, nawet nie czekając, aż Małgorzata weźmie kieliszek do ręki, i szybko nalał sobie jeszcze raz.

- No, zdrowie.

Jeszcze raz wyciągnął przed siebie rękę, tym razem czekając, aż Małgorzata weźmie kieliszek i umoczy usta w alkoholu. Dopiero wtedy swój opróżnił do dna.

- Co tak słabo? - zgnił Małgorzatę, widząc, że z jej przydziału prawie nic nie ubyło. - Kiedyś lepiej pani wychodziło. - Nawet udało mu się uśmiechnąć.

- Kiedyś jeździłam autobusami, a tam nie każą dmuchać w balonik.

- No tak, wszystkim lepiej się wiedzie.

- Wszystkim to raczej nie - Małgorzata taktownie zaprzeczyła, choć miała ochotę powiedzieć, że każdy ma to, na co sobie zasłużył.

- Wszystkim oprócz mnie - sprecyzował Solica. - Wie pani... - Wziął głęboki oddech i dopiero po dłuższej chwili zaczął mówić zmienionym głosem. - Cieszę się, że to już. Przez te wszystkie lata czekałem, aż wreszcie ktoś po mnie przyjdzie. Nawet jak już go wsadzili, to też nie było nocy, żebym nie słyszał kroków na korytarzu. Potrafi to pani sobie wyobrazić? - zapytał, nawet nie patrząc na Małgorzatę. - A kiedy wreszcie, tuż nad ranem, udawało mi się czasem zasnąć, potrafiło mnie obudzić każde skrzyknięcie drzwi od windy. Naoliwiłem zawiasy i nic - dalej słyszałem. Myślałem, że zwariuję. Tyle razy chciałem iść, powiedzieć wszystko, raz wreszcie mieć święty spokój, ale nie, nie mogłem, za bardzo się bałem. Bałem się, że mnie wsadzą... Dopiero, o... - nalał sobie kolejny kieliszek i wziął do ręki - znalazłem sobie usypiacza... No... sumienie też się tym dobrze usypia. Tylko nie na długo. Zawsze się obudzi i gryzie bez ostrzeżenia. I wtedy zupełnie... - przerwał na chwilę, jakby się zastanawiając, jak daleko może się posunąć w szczerości - nie da się z tym żyć - dokończył, przełykając ślinę.

Małgorzata słuchała tej spowiedzi z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony cierpienie bliźniego domagało się współczucia, z drugiej trudno jej było się na nie zdobyć.

- Z czym się nie da żyć? - zapytała ostrożnie.

- Ech... - Solica spłoszył się, jakby dopiero teraz odkrył, że w pomieszczeniu oprócz niego znajduje się ktoś jeszcze. Szybko wypił wódkę i odstawił kieliszek, natychmiast napełniając go znowu.

- No, niech pani spróbuje, chociaż trochę - zachęcił Małgorzatę, widząc, że nawet nie tknęła jedzenia.

Małgorzata posłusznie wzięła do ust kawałek śledzia i zagryzła chlebem. Solica niemrawo zaczął kroić rybę widelcem, wyraźnie odbiegając myślami od tego, co dzieje się wokół niego.

- Pan wie, że Jacek Jarecki wyszedł na wolność? - zapytała Małgorzata.

- Tak? - ożywił się Solica. - Chociaż tyle.

- Co pan ma na myśli?

- No... chociaż jemu się udało.

- No, tak nie do końca.

- Tak. - Solica zmarszczył czoło. - Chciałem tylko powiedzieć, że cieszę się, że go wypuścili.

- Pan się cieszy? A niby dlaczego?

- Bo on siedział przeze mnie.

Małgorzata znieruchomiała nad talerzem z widelcem w dłoni.

- Zdaje się, nie tylko przez pana - rzekła po dłuższej chwili - ale pan pierwszy ma odwagę, żeby się do tego przyznać.

- Niech pani tego nie nazywa odwagą. Jestem tchórzem.

Małgorzata zaczynała się niecierpliwić.

- Powie mi pan wreszcie, co pan wie o tej sprawie?

- Wiem, jak naprawdę zginęła ta dziewczyna.

- Opowie mi pan o tym?

Solica kiwnął głową.

- Ale... - zawahał się przez moment - ech, nic. Już mi wszystko jedno, czy mi ktoś uwierzy, czy nie.

## **ROZDZIAŁ 58**

W salonie Bazanów starsza dziewczynka przerwała nakrywanie do stołu i zaczęła obserwować popisy młodszego rodzeństwa. Maluchy odśpiewały wspólnie kolędę, po raz kolejny obiecały, że od dzisiaj to już zawsze, ale to zawsze będą grzeczne, i z niecierpliwością czekały, kiedy wreszcie dostaną podarki, na które przecież uczciwie zapracowały. Mikołaj jednak wcale się nie kwapił, by rozsypać wór z prezentami.

- No dobrze, wy już obiecałyście poprawę. - Pozostawił rozczarowane maluchy na środku pokoju, a sam podszedł do krzątającego się przy choince starszego chłopca. - A jak tam wasze rodzeństwo? Im też Mikołaj powinien przynieść różgi?

Dziewczyna przy stole uśmiechnęła się kurtuazyjnie, za to jej brat prychnął lekceważąco. Mikołaj poczekał, aż chłopiec zawiesi na choince bombkę, i stanął na wprost niego, zagradzając drogę do pudełka z ozdobami. Natarczywie popatrzył mu w oczy, wyraźnie oczekując odpowiedzi na pytanie. Chłopak przyparty do muru tylko wzruszył ramionami.

- To może zapytamy taty? - powiedział Mikołaj i podszedł do niespodziewającego się ataku Maciej a Bazany. - Jak się sprawują... - popatrzył na mężczyznę przenikliwie - syn i córka? - Te dwa ostatnie słowa przeszły mu przez gardło z widocznym wysiłkiem.

- Dobrze. - Stojąca z boku Anna czujnie wkroczyła do rozmowy, nie dając mężowi dojść do głosu. - Bardzo dobrze. Kasia ma same piątki w szkole, a Jasek wygrał w tym roku konkurs informatyczny.

Mikołaj odwrócił głowę w jej kierunku i rzucił karcące spojrzenie.

- A rodzice? - Podszedł do starszych dzieci i znowu zaczął natarczywie im się przyglądać. - Szanujecie swoich rodziców? - po raz kolejny zaatakował. - Kochacie ich? - Ton jego głosu był coraz bardziej napastliwy. - Tęsknicie, jak ich nie ma? A może sprawiacie im przykrość?

To ostatnie zdanie nie zabrzmiało jak pytanie, tylko oskarżenie. W oczach dziewczynki pojawiły się łzy. Chłopiec rozejrzał się bezradnie, szukając pomocy, i z wyraźną ulgą natknął się na wzrok Macieja Bazany.

- Tato! - Popatrzył na niego z wyrzutem, dając do zrozumienia, że nie bawi go uczestnictwo w takim przedstawieniu i prosi o wybawienie z kłopotu.

- Kochają i szanują. - Anna znowu była szybsza, bo w przeciwieństwie do zupełnie zdezorientowanego męża wiedziała, o co toczy się gra. - Jestem pewna, że zasłużyły na prezent.

- To dobrze - odparł Mikołaj po dłuższej chwili namysłu, zaskakująco spokojnym głosem. - Bardzo dobrze. Szacunek dla rodziców to podstawa.

Wyciągnął z worka prezenty i bez słowa wręczył je wszystkim dzieciom.

## **ROZDZIAŁ 59**

Kiedy Małgorzata wyszła od Henryka Solicy, na niebie świeciła już nie tylko pierwsza gwiazdka, ale cała Mleczna Droga. Popatrzyła na zegarek ze zgrozą i rzuciła się pędem w kierunku schodów. Było to jednak zadanie o tyle utrudnione, że jednocześnie w przepastnych zakamarkach torebki starała się odnaleźć swą komórkę. Zwolniła na chwilę tempo, a kiedy udało jej się trafić we właściwe klawisze telefonu, znowu przyspieszyła kroku. Z rozwianym

włosem, nie zapiętym płaszczem i szalikiem zwisającym prawie do stóp zaczęła zbiegać po schodach, wsłuchując się w serię kilku długich sygnałów. Po siódmym dzwonku ktoś z drugiej strony wreszcie odebrał telefon.

- Halo? - odezwała się słuchawka głosem pani Zofii.

- Dzień dobry pani, mówi Małgorzata.

- To ty, Małgosiu? Jak się cieszę, że dzwonisz, myślałam...

- Tak, ja - Małgorzata przerwała jej trochę zbyt gwałtownie, ale waga informacji, które właśnie udało jej się zdobyć, usprawiedliwiała takie zachowanie. - Mogę mówić z Jackiem?

- Jacka nie ma.

- Nie ma? Jak to nie ma? - Małgorzata nie kryła zawodu. W końcu jeśli ona poświęca Wigilię, żeby zajmować się jego sprawami, to on przynajmniej mógłby być w domu, kiedy do niego dzwoni. - Mówił, kiedy wróci?

- Raczej późno.

- Późno? - Irytacja Małgorzaty spowodowana faktem, że na moment triumfu będzie musiała jeszcze poczekać, rosła wprost proporcjonalnie do natężenia jej głosu. - Jak późno? - krzyknęła do słuchawki.

- Nie wiem - odparła pani Zofia trochę przestraszona. - Mówił tylko, że późno.

- No trudno - Małgorzata zdołała się opanować. - Niech koniecznie do mnie zadzwoni, jak wróci. O każdej porze. Powtórzy mu pani?

- Tak, ma zadzwonić - przytaknęła starszka potulnie.

- Świetnie. Wszystkiego dobrego, pani Zofio, wesołych świąt!

I nie czekając na odpowiedź, rozłączyła się, bo właśnie dotarła szczęśliwie do swego samochodu. Oznaczało to, niestety, że teraz będzie musiała w przepastnych zakamarkach swojej torebki znaleźć kluczyki, a do tej czynności już na pewno potrzebne jej będą obie ręce.

## ROZDZIAŁ 60

Jacek stał na środku pokoju obok pustego worka leżącego na dywanie i nie miał siły, żeby zrobić jakikolwiek ruch. Patrzył na swoje dzieci i powoli docierało do niego, że tego dnia stracił je na nowo. Z całą wyrazistością uzmysłowiło mu to jedno słowo - tato - wypowiedziane przez własnego syna, ale nie do niego, tylko do całkiem obcego mężczyzny. Schylił się po worek, zarzucił go sobie na plecy i z trudem się wyprostował.

- Trzeba dorzucić do ognia - zauważył, wskazując na dopalające się polana.

- Ach tak. - Maciej Bazana popatrzył ze zdziwieniem na dogasający ogień. - Rzeczywiście.

- Ja to zrobię. - Jasek pośpiesznie podszedł do kominka i dorzucił kawałek drewna. Jacek nie ruszał się z miejsca.

- Dziękujemy - głos Anny przywołał go do porządku - bardzo dziękujemy Mikołajowi za prezenty.

- Drobiazg. - Jacek spróbował się uśmiechnąć. - Przywiózłbym więcej, ale renifery zastrajkowały.

- Pan przyjechał reniferami? - ożywił się młodszy chłopiec i podbiegł do okna.

- Coś ty - jego zapal ostudziła starsza siostra. - Przecież słyszałeś, że za-straj-ko-wa-ły - wydekłamała, dumna ze znajomości trudnego słowa.

- Właśnie, i teraz Mikołaj musi już iść, żeby się nie spóźnić do innych dzieci - rzekła Anna.

- Tak. - Jacek zrozumiał aluzję. - Życzę wszystkim wesołych świąt. I żeby każdy...

- Pokażę panu drogę - Anna nie pozwoliła mu dokończyć.

Jacek skinął głową i posłusznie skierował swe kroki do wyjścia.

- Jakiś dziwny ten Mikołaj, nie? - z pokoju dobiegł go głos syna.

- Mogłeś przynajmniej zadzwonić - Anna syknęła mu do ucha, gdy tylko znaleźli się sami.

- Bałem się, że nie pozwolisz mi spotkać się z dziećmi.

- I nie pozwoliłabym.

- Przecież widzisz, że nic się nie stało.

- Ale mogło się stać!

- Ciągle nie masz do mnie zaufania?

- Dziwisz się?

- Nie, ale chciałbym to zmienić.

- Słuchaj, jeżeli chcesz wznowienia procesu, to...

- Ja właściwie w tej sprawie.

- Nie licz na mnie. - Anna podniosła nieco głos. - Ucieknę. Zabiorę dzieci i wyjadę za granicę.

- Uspokój się. Nigdzie nie musisz uciekać. Nie będzie żadnego procesu.

- Jak to?

- To mój prezent na Gwiazdkę. Umówmy się, że przeszłość nie istnieje.



## ROZDZIAŁ 61

Małgorzata stała przed lustrem, trzymając w jednej ręce wieszak ze skromnym kostiumem typu chanel w kolorze szaronieokreślonym, a w drugiej ręce efektowną sukienkę w intensywnym kolorze czerwonego wina, kiedy odezwał się dzwonek u drzwi. Sukienkę kupiła w przypiływie szaleństwa parę lat temu, wydając na nią pół pensji, ale do tej pory nigdy nie miała odwagi jej na siebie włożyć. Rozsądek nakazywał, żeby ubrać się w kostium, ale intuicja podpowiadała, by tym razem zapomnieć o rozsądku i pozwoliła sobie na odrobinę ekstrawagancji. Przyłożyła kostium do ciała i krytycznie oceniła swe odbicie w lustrze. Odrzuciła kostium na krzesło i ten sam manewr przyspieszonej przymiarki za pomocą przyłożenia stroju do figury powtórzyła z sukienką. Z jakiegoś powodu również nie była zadowolona z rezultatu i znowu sięgnęła po kostium. Walka karnawału z postem trwałaby jeszcze długo, ale przy drzwiach ponownie zadzwieczał dzwonek, natrętnie przypominając, że jakiś niezapowiedziany gość akurat w wigilijny wieczór postanowił złożyć jej wizytę. Przewiesiła sukienkę przez ramię, podeszła do drzwi i lekko zirytowana wyjrzała przez wizjer. Widok pani Zofii, mimo sympatii do staruszki, wzbudził w niej mieszane uczucia. Oznaczał kolejne minuty spóźnienia, co w sytuacji, gdy liczyła się każda chwila, miało istotne znaczenie. Małgorzata знаła jednak swą sąsiadkę na tyle, żeby wiedzieć, że łatwo nie ustąpi, nie tracąc więc czasu, otworzyła drzwi.

- Jacek dzwoni, chcesz z nim porozmawiać?

Nie próbując dociec, dlaczego Jacek nie zadzwonił po prostu do niej, Małgorzata kiwnęła głową. W pośpiechu podążyła za panią Zofią, nie zamykając nawet drzwi swego mieszkania i zupełnie zapominając o sukience, która ciągle zwisała jej z ramienia.

- Panie Jacku, mam dla pana dobre nowiny - bez wstępów odezwała się do słuchawki.

- Świetnie, ja też mam dobre nowiny. To kto pierwszy?

- Już wiem, że to nie pan zabił Monikę. - Małgorzacie bardziej się spieszyło.

- Dla mnie to akurat nic nowego, ale cieszę się, że wreszcie i pani się o tym przekonała.

- Nie chce pan wiedzieć, jak to było naprawdę? - Brak spodziewanych objawów radości zaskoczył Małgorzatę całkowicie.

- Czy to ważne? Monice i tak nie przywrócimy życia.

- Ale przecież chodziło chyba o pana życie.

- No właśnie. I to jest ta moja dobra wiadomość. Już dłużej nie będę pani wykorzystywać. Rezygnuję.

- Rezygnuje pan? - Do Małgorzaty z trudem dotarły słowa Jacka. - Żartuje pan?! Teraz, kiedy wreszcie wszystko się wyjaśniło?! Możemy wznowić proces...

- Nie chcę procesu. Chcę spokoju. Tak postanowiłem.

- To po co mnie pan w to wszystko mieszał? Po co pan w ogóle zaczynał?

- Wtedy były inne... okoliczności. Mogę tylko panią przeprosić. Straciła pani przeze mnie tyle czasu. Dziękuję pani, naprawdę, dzięki pani... - Zawiesił głos, jakby nie wiedząc, w jakie słowa ubrać swoje uczucia, ale Małgorzata nie pozwoliła mu dokończyć.

- Nie rozumiem, ale nic nie szkodzi. Później mi pan opowie. Wesołych świąt! - rzuciła słuchawkę na widełki.

- O, przepraszam - zauważyła zatroskaną twarz pani Zofii. - Może chciała pani jeszcze porozmawiać?

- Nie. - Staruszka pokręciła głową. - Może... zostaniesz jeszcze trochę? - zaproponowała nieśmiało. - Jacek pewnie nie wróci przed pasterką.

- Nie mogę, przepraszam, już i tak jestem spóźniona na Wigilię.

- To dlatego ta piękna sukienka. - Pani Zofia zwróciła uwagę na rekwizyt, który Małgorzata niechęć zabrała ze sobą. - Na pewno mu się spodoba - dodała z nutą zawodu w głosie. - Nowa?

- Tak. - Uwaga staruszki skutecznie zbiła Małgorzatę z tropu, przytaknęła więc szybko, nie wchodząc w szczegóły. - Myśli pani, że wypada ją włożyć na Wigilię? Nie wydaje się pani zbyt... nowoczesna?

- Jak najbardziej wypada.

Słowa pani Zofii utwierdziły Małgorzatę w przekonaniu, że czasami trzeba zaufać intuicji.

- A właściwie... - jej wzrok padł na stół nakryty do kolacji - dlaczego nie ma Jacka?

- To ty nic nie wiesz? Pojechał zobaczyć się z dziećmi.

- Ach tak? - Małgorzata patrzyła na panią Zofię zaskoczona. - Rozumiem... - Teraz wreszcie uczucia i motywy postępowania Jacka stały się dla niej jasne i poczuła się nieswojo. - Jak przyjdzie, to... - odwróciła wzrok zawstydzona - proszę go ode mnie przeprosić.

- Przeprosić? Za co?

- On będzie wiedział.

## ROZDZIAŁ 62

Zawsze, nawet wtedy, gdy mieszkał już za granicą, Józef starał się, by przynajmniej Wigilię spędzać razem z Małgorzatą. Wpadał w ostatniej chwili, bo kiedy tuż przed Gwiazdką szczęśliwie przypominał sobie, że wypadałoby kupić bilet na samolot, okazywało się zwykle, że do Polski można dolecieć już tylko przez Bejrut albo Rejkiawik i tak też nieraz podróżował.

Małgorzata miała 19 lat, gdy na raka zmarła jej matka. W tym czasie Józefowi, po paru latach klepania biedy na emigracji, dopiero co udało się stanąć na nogi. Otwierał właśnie wystawę w Nowym Jorku i dowiedział się o wszystkim już po pogrzebie. Przyleciał do Warszawy pierwszym samolotem. Przeplakali wtedy z Małgorzatą całą noc. Chciał zabrać ją ze sobą do Edynburga, gdzie w końcu osiadł, jak się wydawało na stałe, ale Małgorzata charakter miała twardy, tak samo jak jej matka. Uparła się, żeby zostać i studiować prawo. Józef miał cichą nadzieję, że może obleje wstępne egzaminy, ale gdzie tam, zdała, i to do tego z pierwszą lokatą. I tak już było do końca studiów - zawsze najlepsza, zawsze twarda. Zaraz po studiach zdawała na aplikację adwokacką. Z egzaminu pisemnego otrzymała maksymalną liczbę punktów. Wydawało się, że egzamin ustny będzie tylko formalnością - na wszystkie pytania komisji odpowiadała jasno i rzeczowo. Jakież było jej zdumienie, gdy na liście przyjętych nie znalazła swego nazwiska. Były na niej za to osoby, których nazwiska były członkom komisji znane o wiele lepiej niż jej własne. Dzieci kolegów z palestry musiały przecież godnie kontynuować tradycje rodzinne i nie mogła im w tym przeszkodzić jakaś tam Małgorzata. Nawet wtedy nie płakała. Była tak wściekła, że zapomniała o żalu. Natychmiast przeniosła papiery na aplikację prokuratorską, bez problemu zdała egzamin i została przyjęta. Nie chcą, żeby była adwokatem? Dobrze, zostanie prokuratorem, i to tak dobrym, że żaden z tych przyjętych po znajomości dupków nie będzie miał przy niej szans. Odegra się za wszystko - za przedwczesną śmierć ojca, potem matki, za narzeczonego, który porzucił ją bez słowa, i za ucieczkę Józefa, bo choć nigdy mu tego nie mówiła, wiedział, że jego wyjazd na Zachód zawsze uważała za ucieczkę. Miała tyle pretensji do świata i taką żądzę jego naprawy, że wykonywanie zawodu polegającego na doraźnym, niemal mechanicznym tępieniu zła, stawało się swego rodzaju uzależnieniem. Józef zauważył, że jej żal do świata powoli zaczął brać górę nad zdolnością obiektywnego postrzegania. Nieposkromiona ambicja skazywała ją na samotność, dumna nie pozwalała przegrywać. Samodzielne podejmowanie decyzji tak bardzo weszło jej w nawyk, że nawet kiedy próbował czasami oprotestować jakiś jej nierozważny krok, lubiła mu się sprzeciwiać dla samej zasady. Z każdym rokiem rósł jej żal do świata i Józef czuł się za to częściowo odpowiedzialny. Chciał przecież, żeby była szczęśliwa, a obserwował z niepokojem, jak się ze szczęściem konsekwentnie i z premedytacją rozmija. Inna sprawa, że ich

wspólna definicja szczęścia mimo wielu prób nigdy nie została uzgodniona, ale gołym okiem było widać, że Małgorzata została ubrana w kostium, którego tak naprawdę nigdy nie miała ochoty nosić. Józef był pewien, że potrzebowała jakiejś odmiany. Dlatego gdy Woliński pokazał mu jej zdjęcie, uznał to za zrządzenie losu.

Pracownia Józefa, ogołocona z obrazów zabranych na wystawę, wyglądała dziwnie, bo bez obrazów nie przypominała wcale pracowni, a ze względu na symboliczną liczbę mebli nie przypominała również mieszkania. Okrągły stół przykryty czerwonym obrusem i wielka choinka stojąca na środku pustego pokoju robiły wrażenie teatralnej scenografii, niemającej wiele wspólnego z rzeczywistością. Na stole zaczęły się jednak pojawiać zupełnie prawdziwe potrawy: ryba w galarecie, śledź w śmietanie, kapusta z grzybami, a kiedy Józef dostawił jeszcze półmisek ze smażonym karpem i talerz pełen parujących pierogów, oczy Małgorzaty już szerzej nie mogły się otworzyć ze zdumienia.

- Nie mów, że jeszcze coś będzie.

- Nie, to już chyba wszystko. - Józef usiadł naprzeciwko Małgorzaty i uśmiechnął się zadowolony.

- Jesteś niesamowity. Myślałam, że będę musiała dopiero gotować.

- No wiesz - Józef szczerze się oburzył - w końcu cię zaprosiłem.

- Sam to wszystko przygotowałeś?

- Jedy, bo stygnie.

- Chętnie, od rana jestem tylko na setce i śledziku.

Józef popatrzył na Małgorzatę pytająco.

- No, jedną Wigilię już dzisiaj zaliczyłam - pośpieszyła z wyjaśnieniem.

- Aha - powiedział Józef, nic nie rozumiejąc.

- Nie wiem, czy nie najważniejszą w moim życiu.

- Aha - powtórzył Józef. - Coś się stało? - zapytał zaniepokojony.

- To nie Jacek zabił Monikę.

- Uwierzyłaś mi wreszcie, czy coś wiesz?

- Wiem.

## **ROZDZIAŁ 63**

Wszystko wskazywało na to, że dla Henryka Solicy to będzie dobry dzień. Rano mógł pospać trochę dłużej, bo poprzedniego dnia do późna w nocy oglądał w świeżo założonej kablówce porucznika Columbo. Dzięki temu poprzedniego wieczora wyprowadził psa na ostatni

spacer na tyle późno, że ominęła go brutalna pobudka o świcie. Lulek zwykle budził swego pana serdecznym pociągnięciem mokrego jęzora po jedynej części ciała, której nie sposób było ukryć pod kołdrą, czyli twarzy, ale nawet jemu zdarzało się zasnąć.

W sklepiku na dole, mimo późnej pory, Solicy udało się jeszcze kupić świeże bułeczki, co w innych miesiącach roku było zupełnie nie do pomyślenia. Tego lipca jednak upał był tak nieznośny, że każdy, kto tylko mógł, natychmiast opuszczał rozpalone mury i w mieście pozostali już tylko ci, którzy naprawdę nie mieli innego wyjścia.

Z tych samych powodów w pobliskim parku zdołał bez trudu znaleźć miejsce na ławeczce w cieniu, gdzie wytrwał cierpliwie aż do obiadu, czytając od deski do deski ogórkowe wydanie „Gazety Wyborczej”.

W tym samym parku po południu wziął udział w Podwórkowym Turnieju Pokera Sportowego Emerytów i Rencistów. Karta szła mu tak dobrze, że rozbił bank. Wygrana wystarczyła na cztery piwa, które od razu wypił w pobliskim barze. Do domu wrócił w dużo lepszym humorze, niż mógłby się tego spodziewać.

Po kolacji przerzucił starannie wszystkie pięćdziesiąt pięć kanałów telewizora w poszukiwaniu kolejnego odcinka porucznika Columbo lub czegoś równie zajmującego, lecz nie znalazł nic, co by przyciągnęło jego uwagę na dłużej, tym razem więc wcześniej wyprowadził psa na spacer. Nic nie wskazywało na to, że ten dzień miałby się zakończyć inaczej niż wszystkie poprzednie dni w jego życiu. Tak jak to robił codziennie, wracając z wieczornego spaceru, już na schodach spuścił psa ze smyczy. Lulek, korzystając z ostatniej chwili swobody, zaczął sumiennie obwąchiwać wszystkie schodki. Zwykle zajmowało mu to sporo czasu, bo starał się tak długo, jak tylko się da opóźnić moment zamknięcia w czterech ścianach. Tym razem jednak gdzieś w okolicy między windą a zsysem na śmieci poczuł jakiś świeży trop. Precisnął się przez szparę pozostawioną w drzwiach prowadzących z klatki schodowej na korytarz i puścił się pędem w kierunku mieszkania, zupełnie nie zwracając uwagi na swojego pana.

Dla Moniki Zasławskiej również zapowiadał się dobry dzień. Obudziła się rano i pierwsza rzecz, którą zobaczyła, gdy tylko otworzyła oczy, od razu wprawiła ją w dobry nastrój. Był to stojący na nocnym stoliku w cienkim jak próbówka flakonie bukietek stokrotek. Dostała go wczoraj od Jacka z pytaniem, czy zdąży skompletować wszystkie dokumenty w ciągu tygodnia, bo może wzięliby ślub za granicą, w jakimś romantycznym i egzotycznym miejscu.

Uśmiechnęła się do stokrotek, ubrała szybko, zjadła lekkie śniadanie i zaraz pobiegła do urzędu gminy, gdzie chyba ze względu na swój stan udało jej się wydostać metrykę urodzenia od ręki. Idąc za ciosem, udała się ze zdobytym dokumentem do tłumacza przysięgłego i w ciągu pół godziny, bez dodatkowej opłaty za usługę ekspresową, miała w ręku tłumaczenie metryki na język angielski. Zadowolona ze swych osiągnięć pomaszzerowała do pracy, gdzie czekała ją miła niespodzianka - jej wychowankowie z Domu Dziecka cudem zdobyli dla niej bilety na koncert Basi Trzetrzelewskiej.

Ponieważ Jacek miał być zajęty w czasie tego weekendu, umówiła się z koleżanką na wyjazd na działkę za miasto.

Zaraz po powrocie z pracy z ulgą zdjęła z siebie prze poczone ubranie i włożyła lekki szlafrok, nie spodziewając się już żadnych gości. Przygotowała na kolację wyjątkowo wysokokaloryczne kanapki i zjadła je z lekkim poczuciem winy, śledząc przed telewizorem losy bohaterów ulubionego serialu *Przystanek Alaska*. Po filmie przygotowała wannę do kąpieli. W filizance wymieszała dokładnie kasztanową farbę do włosów i postawiła ją na brzegu wanny. I wtedy, chyba w przerwie spektaklu, zadzwonił Jacek. Był bardzo zdenerwowany. Powiedział, że wpadnie do niej wieczorem, choć miał tego nie robić, i tak jakoś dziwnie ją pouczał, żeby nigdy nikomu nie wierzyła. Odłożyła słuchawkę i wróciła do łazienki, a wtedy znowu usłyszała dzwonek, tym razem do drzwi.

Wizyta żony Jacka zupełnie wytrąciła ją z równowagi. Gdy tylko drzwi za Anną Jarecką się zamknęły, dała upust emocjom i rozplakała się. Ryczała jak bóbr, bezsensownie krążąc po mieszkaniu i usiłując znaleźć sobie jakieś zajęcie, które odciągnęłoby jej myśli od bolesnego tematu. A przede wszystkim pozwoliłoby odsunąć w bliżej niesprecyzowaną przyszłość odpowiedź na zasadnicze pytanie: co dalej? Weszła do łazienki i napuściła do wanny gorącej wody. Jej wzrok padł na puste opakowanie po farbie. Jak automat pozbierała buteleczki po odczynnikach i upchnęła do kartonika. Weszła do kuchni i otworzyła szafkę pod zlewem, chcąc wyrzucić pudełko, ale do kosza nic już się nie mieściło. Wyjęła z kosza worek ze śmieciami, dorzuciła opakowanie po farbie i założyła nowy worek. Wyszła na korytarz, żeby wyrzucić śmieci do zsypu. Usłyszała ruch na klatce schodowej, przyspieszyła więc kroku, nie mając ochoty pokazywać nikomu swoich zapuchniętych, czerwonych oczu. Wyrzuciła śmieci i natychmiast zawróciła do mieszkania. Przed ludzkim okiem pewnie udałoby się jej umknąć, ale nie przed Lulkim, który zamknięty przez większość dnia w czterech ścianach okazywał tak wielką miłość do rodzaju ludzkiego, że każdemu, kto kiedykolwiek okazał mu nawet odrobinę sympatii, odwdzięczał się ze wzmożoną życzliwością. Monika często okazywała Lulkowi sympatię, co zawsze wywoływało u psa wybuchy Czułości. Podskakiwał aż do skut-

ku, dopóki nie udało mu się polizać jej twarzy. Tym razem było tak samo. Lulek, gdy tylko wyczuł Monikę, rzucił się w jej stronę, i tak jak zwykle podskoczył, chcąc dosięgnąć policzka.

Monika zupełnie nie miała ochoty na psie czułości. Odsunęła się od psa, chcąc szybko schować się do domu, ale Lulek już podskoczył. Jego łapy, zamiast na ramiona Moniki, opadły całym ciężarem na jej brzuch. I wtedy Monika zrobiła coś, na co w innych okolicznościach pewnie nigdy by się nie zdobyła. Z całej siły, z furią, o którą nigdy by się nie posądzała, odplacając z nawiązką za ból zadany jej i dziecku, i rewanżując się za wszystkie inne swoje krzywdy, kopnęła Lulka w podbrzusze. Pies zaskowyczał głośno i popatrzył na Monikę z wyrzutem, nie dowierzając, że mogła mu coś takiego zrobić.

Henryk Solica pojawił się na korytarzu dokładnie w momencie, gdy stopa Moniki wylądowała na brzuchu jego psa.

- Co pani robi?! - Natychmiast podbiegł do Moniki i chwycił ją za ramiona.

- Niech mnie pan puści! - Monika starała wyrwać się z uścisku. - Pan jest pijany!

- Co mu pani zrobiła?! - Solica, bardziej oburzony posądzeniem, że mógł się upić czterema piwami, niż skrzywdzeniem swojego pupila, potrząsnął Moniką i nie zamierzał jej puścić, dopóki nie otrzyma odpowiedzi.

- Niech pan zabierze tego kundla! - Monika wciąż starała się wyszarpać z uścisku.

- Tylko nie kundla! - Solica ochłonął trochę i zwolnił uścisk, lekko odpychając Monikę od siebie.

Monika, korzystając z chwili swobody, szarpnęła się do tyłu, w kierunku gdzie stała wystawiona przez sąsiadów stara szafka ze zlewozmywakiem. Potknęła się niefortunnie, straciła równowagę i runęła w dół, uderzając tyłem głowy o kant zlewu. Chwilę potem osunęła się bezwładnie na podłogę.

- O Jezu! - Solica natychmiast pochylił się przy niej. - Proszę pani, nic pani nie jest? - Delikatnie poklepał jej policzki. - Niech się pani obudzi! - Trochę silniej potrząsnął nią za ramiona. - O Jezu!

Szybko podniósł się z kolan i trzęsącymi się rękami otworzył drzwi swojego mieszkania. Sięgnął po słuchawkę telefonu i wykręcił numer pogotowia. Zajęte. Spróbował jeszcze raz. To samo. Spróbował po raz trzeci. Z ulgą usłyszał w słuchawce długi sygnał, ale choć czekał i czekał, nikt nie odebrał telefonu. Rzucił ze złością słuchawką i wyjrzał na korytarz. Monika leżała wciąż w tej samej pozycji. Lulek stał obok i lizał jej rękę, skomląc cicho.

- Lulek, do nogi.

Pies niechętnie opuścił Monikę i podszedł do swego pana. Solica zamknął go w pokoju i jeszcze raz wykręcił numer pogotowia. Znowu zajęte. Wszedł do kuchni i nalał wody do szklanki. Wyjął z szafki jakąś butelkę z lekarstwem, dolał parę kropli do wody i wrócił do Moniki.

- Proszę pani - jeszcze raz próbował doprowadzić ją do przytomności, uderzając lekko w policzki - to pani dobrze zrobi, proszę pani.

Nie doczekawszy się reakcji, sam wypił przygotowane lekarstwo. Odstawił szklankę na zlewozmywak, wziął Monikę na ręce, zaniósł do jej mieszkania i ułożył wygodnie na kanapie.

- O Jezu! Niechżesz się pani obudzi! - Znowu potrząsnął dziewczyną, ta jednak ani drgnęła, tylko jej ręka zwisała bezwładnie i oparła się o podłogę.

Solica popatrzył na Monikę przerażony. Pochylił się nad twarzą dziewczyny, starając się wyczuć oddech. Spróbował znaleźć puls na przegubie ręki i na szyi - Monika nie dawała oznak życia. Usiadł na krześle, naprzeciwko kanapy. Dopiero wtedy dotarło do niego, co się stało, i że w to, co się stało, jest zamieszany.

- Boże, ona nie żyje - odważył się wyrazić głośno swoje przypuszczenia.

W głowie miał pustkę. Nie zdawał sobie sprawy, jak długo przesiedział na krześle, wpatrzony w nieruchome, jak on sam, ciało Moniki.

Kiedy ocknął się z odrętwienia, pojawił się strach. Przez jego głowę zaczęły przebiegać tysiące myśli. Zabiłem ją. Nie, to przecież wypadek. Ale ją popchnąłem. Nie, to nie moja wina, popchnąłem ją wcześniej. Sama się potknęła. Ale wystarczy, że się z nią szarpałem. I po co w ogóle ją stamtąd zabierałem na tę kanapę. Boże! Teraz siedzę w jej mieszkaniu i wszędzie są moje odciski palców. Wsadzą mnie jak nic. Nie, przecież nic właściwie nie zrobiłem. Jak to nic, wystarczy, że tam byłem. Gdyby mnie nie było, to by nie upadła. Nawet jak mi uwierzą, że to niechcący, to i tak odpowiem za nieumyślne spowodowanie śmierci. Na pewno mnie wsadzą. Kierowców też wsadzają, co tu daleko szukać, Wojtka brat odsiedział, choć przecież nie chciał wjechać maluchem w drzewo i zabić swojej narzeczonej. Ale to przecież nie ja, ona sama upadła. I chciałem ją ratować, dzwoniłem na pogotowie. Ale się nie dodzwoniłem. Nie było połączenia, więc nie ma dowodu. O Boże! Nie chcę iść do więzienia. Nie mogę iść do więzienia. Nie chcę. Nie mogę.

Spośród tysięcy myśli na plan pierwszy zaczęła wybijać się ta jedna. - Najlepiej, żeby mnie tu wcale nie było. Najlepiej, żeby mnie tu wcale nie było. Nie było mnie tu, to ktoś inny. Drzwi balkonowe są otwarte na oścież, mógł wejść włamywacz, na przykład, gdy... się kąpała.



Ta ostatnia myśl przyszła Solicy do głowy, gdy zauważył światło sączące się z łazienki. Wszedł do środka, i rzeczywiście, w wannie była chłodna już woda.

Od tej pory jego umysł zaczął pracować tak jasno i precyzyjnie, jakby planował morderstwo doskonałe.

Najpierw wziął ręcznik, startł z klamek i innych sprzętów swoje ślady. Spuścił z wanny zimną wodę i nalał gorącej, biorąc przykład z wczorajszego odcinka porucznika Columbo, w którym przestępca, podgrzewając zwłoki kocem elektrycznym, wprowadził w błąd lekarza, mającego ustalić godzinę zgonu. Przyniósł do łazienki Monikę, zdjął z niej szlafrok oraz bieliznę i ułożył ciało w wannie z wodą. Wrócił do pokoju, gdzie jak wcześniej zauważył, na komodzie leżała damska torebka. Nie zapominając o użyciu ręcznika, rozsypał jej zawartość na podłogę. Odwiesił ręcznik na wieszak w łazience, używając tym razem do zatarcia odcisków palców swej rozpiętej koszuli, i ostrożnie wyjrzał na korytarz. Upewniwszy się, że nikogo nie ma, wyszedł z mieszkania Moniki, zamykając za sobą drzwi. Jeszcze tylko zgarnął do kieszeni spodni szklankę, którą zostawił na szafce w korytarzu, i właściwie można było powiedzieć, że go tu w ogóle nie było. Wziął Lulka na smycz i wyszedł po chleb do nocnego, gdzie dobrze go znali, choć bynajmniej nie z nocnych zakupów pieczywa. Potem poszedł jeszcze na stację benzynową po papierosy i też się postarał, żeby go tam zapamiętali, bo dobre alibi nigdy nie zaszkodzi. Gdy po godzinie wrócił wreszcie do domu i zauważył Jacka Jareckiego wymykającego się z klatki chyłkiem, pomyślał z dziwnym spokojem, że chyba jednak uda mu się wyjść z tej opresji cało.

## **ROZDZIAŁ 64**

Małgorzata skończyła mówić. Rozejrzała się po zastawionym stole z pożądaniem, bo od rana prawie nic nie jadła, ale Józef nie pozwolił jej odetchnąć.

- I to wszystko? - zapytał zawiedziony.

- Co znaczy wszystko? - obruszyła się Małgorzata.

- No, że to przypadek, właściwie taka głupia śmierć, zupełnie bez powodu. I potem cały ten bezsensowny łańcuch zdarzeń.

- Nic się nie dzieje bez powodu. Powtarzałeś mi to prawie codziennie, odkąd skończyłam sześć lat.

- Mam tylko mnóstwo wątpliwości.

- Na przykład jakich?

- Wierzysz mi?

- Tak, inaczej bym ci tego nie opowiadała.  
- A jeśli on faktycznie ją popchnął, może uderzył?  
- To niczego nie zmienia. Przecież nie chciał jej zabić.  
- Skąd wiesz? A jeśli było coś, co ukrył przed tobą? Może miał jakiś powód?  
- To nie ten typ. Zresztą wiedział, że nie ma żadnych dowodów. Nie musiał się przyznać, zwłaszcza po tylu latach. Mógł nic nie mówić albo powtórzyć to, co zeznał w sądzie. Przyznał się, bo nie mógł z tym żyć.

- I co teraz?

- Nic.

- A rewizja procesu? Mogłabyś wrócić do zawodu, i to w wielkim stylu.

- Jakiego zawodu? Zapominasz, że już nie jestem prokuratorem.

- To akurat może dałoby się załatwić. - Józef przypomniał, że jego kontakty w Ministerstwie Sprawiedliwości są nadal żywe.

- Nawet o tym nie myśl. Na próbę protekcji też są odpowiednie paragrafy. - Małgorzata pogroziła Józefowi palcem.

- Rozumiem, że twoje uczucia do byłego szefa są nadal tak gorące jak kiedyś.

- I tu się mylisz.

- O! - Józef wyraził zdumienie w sposób nadzwyczaj lapidarny.

- Woliński to już przeszłość. Jest mi tak obojętny, że nawet gdyby dzisiaj tu przyszedł, mogłabym razem z nim usiąść do stołu.

- Muszę mu to zakomunikować. Na pewno się ucieszy.

- O nie, nie ma mowy. - Gwałtowna reakcja Małgorzaty przeczyła złożonej wcześniej deklaracji. - Wystarczy, że mu odpuściłam, sprawianie przyjemności to już by była przesada.

Józef uśmiechnął się.

- I co teraz? - zapytał znowu. - Co chcesz zrobić z tym Solicą?

- Nic - powtórzyła Małgorzata.

- Chyba cię nie poznaję. - Józef odsunął się od stołu i spojrzał na Małgorzatę, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu. - Od kiedy tak łatwo odpuszczasz winy?

- Nielatwo. - Małgorzata uśmiechnęła się wprawdzie, ale jej głos zabrzmiał poważnie. - Zapewniam cię, że zajęło mi to trochę czasu. W tej sprawie nie ma winnych, a raczej... wszyscy są winni. Wszystkich nie można oskarżyć, zresztą każdego należałoby oskarżyć o coś innego... a na niektóre winy nie ma paragrafu. Po tylu latach o wiele łatwiej darować im grzechy. Zawsze mówiłeś, że najprostsze rozwiązania są najlepsze.

- Nie myślałem, że mnie kiedyś pokonasz moją własną bronią. Nie chciałabyś się wpi-  
sać na listę adwokatów? - Józef zmienił temat.

- Mogłabym, teoretycznie. Ale jak by to wyglądało, gdybym teraz stanęła po stronie  
tych, których tak do tej pory tępiłam?

Józef patrzył na Małgorzatę w skupieniu.

- Czy Jacek już wie?

- Można tak powiedzieć.

- I co? Szuka sobie innego adwokata?

- Nie sędzę. On już nie chce tego procesu.

- On nie chce? Myślałem, że ty nie chcesz.

- On nie chce, a ja to rozumiem.

- Za to ja nie rozumiem. - Józef pokręcił głową. - Jacek nie chce? - upewnił się. - Dla-  
czego?

- Myślę, że chyba wreszcie udało mu się dorosnąć.

- A coś bliższego?

- Zapytaj go przy najbliższej okazji. - Małgorzata uśmiechnęła się i sięgnęła po pierogi.

- A teraz - popatrzyła na zegarek - właściwie, to... - przerwała, wyraźnie zmieszana.

- Spieszysz się gdzieś? - Józef natychmiast dostrzegł jej gest.

- Nie... - zaprzeczyła bez przekonania - a właściwie trochę.

- Cieszę się, że jednak nie obcięłaś włosów. - Józef uśmiechnął się. - On też na pewno  
tak woli - dokończył z przekonaniem.

- Skąd wiesz? - zapytała zaskoczona.

- Wszyscy mężczyźni są tacy sami - Józef bez mrugnięcia okiem wyrecytował prawdę,  
którą zwykle lubią wygłaszać kobiety w całkiem innych okolicznościach.

- A w ogóle to kto niby ma tak woleć? - Małgorzata usiłowała bronić się ponieważ.

- No ten, dla kogo włożyłaś taką odlotową sukienkę. Bo przecież nie uwierzę, że to dla  
mnie.

Małgorzata popatrzyła na swój strój z niepokojem.

- Odlotowa, mówisz? Nie za bardzo odlotowa?

- W sam raz. To gdzie się wybierasz?

- Karol zaprosił mnie na Wigilię do swojej mamy - przyznała się wreszcie, nie bez opo-  
rów.

- No nareszcie! Gratulacje!

- Zaraz, to tylko kolacja - zaprotestowała słabo, choć normalnie zapytałaby złośliwie, co niby miał oznaczać okrzyk „nareszcie”.

- Tak czy inaczej, gratulacje.

- Niech ci będzie... A nie chciałbyś zobaczyć wreszcie, co ci Mikołaj zostawił pod choinką?

## ROZDZIAŁ 65

O tej porze roku ulica Wiktorii Wiedeńskiej wyglądała tak nieszczególnie, jak tylko może wyglądać osiedlowa uliczka w dużym mieście w tej szerokości geograficznej na początku marca. Śnieg stopniał już dawno. W tym roku w ogóle śniegu było jak na lekarstwo - pokrywająca chodnik szarobrunatna breja świadczyła raczej o tym, że mieszkańcy tej ulicy na mieszaninie piasku i soli nie musieli oszczędzać. Ogołocona z liści przyroda jeszcze nie miała zamiaru budzić się do życia. Nawet roślinność iglasta, zatem teoretycznie zawsze zielona, przyjęła kolorystykę chodnika, postanawiając na wszelki wypadek nie odróżniać się od otoczenia.

Józef zatrzymał się przed willą Wolińskiego i rozejrzał uważnie, na wypadek, gdyby wbrew zapewnieniom gospodarza musiał znów stoczyć nierówną walkę z ochroniarzem. Nikogo takiego jednak nie dostrzegł, podszedł więc do furtki i nacisnął dzwonek. Chwilę potem dało się słyszeć charakterystyczny brzęczyk. Józef pchnął furtkę i ruszył w kierunku domu. Drzwi wejściowe natychmiast się otworzyły i stanął w nich mężczyzna w dresie. Józef zaważał się przez moment. A jednak nie pozbył się goryla - przemknęło mu przez myśl, dopóki nie zorientował się, że mężczyzna w dresie to Stanisław Woliński we własnej osobie.

- No nie - zatrzymał się kilka metrów przed wejściem i popatrzył na kolegę zaskoczony - w takim stroju to cię nie widziałem ze czterdzieści lat.

- Właż szybko, zimno leci - Woliński uchylił się od komentarza.

- Nie masz do mnie żalu? - Józef niepewnie uścisnął dłoń kolegi i przekroczył próg.

- Ja? Do ciebie? Wręcz przeciwnie.

- Nie wiem, czy tak to się miało skończyć.

- Tak się skończyło, jak miało. Nie zgłaszam reklamacji. Ale nie stój tak.

Józef posłusznie ruszył w kierunku schodów.

- Nie - zaprotestował Woliński i machnął ręką w głąb domu. - Zostańmy na dole, nie chce mi się wspinać.

Józef rozejrzał się po wielkim salonie w poszukiwaniu miejsca, gdzie można by usiąść.

- Siadaj. - Woliński ułatwił mu zadanie, wskazując obitą bordowym pluszem kanapę. - Napijesz się czegoś? Właściwie dużego wyboru nie ma. Tu na dole mam tylko martella.

- Może być.

Woliński wyjął z kredensu butelkę koniaku i wypełnił pękate kieliszki prawie do połowy. Jeden z nich podał Józefowi, a swój odstawił na stolik. Już miał usiąść, ale o czymś sobie przypomniał, wrócił do kredensu i otworzył szufladę.

- Mam jeszcze coś - zagaił tajemniczo i wyciągnął ze środka nieduże, drewniane pudełko. - Spróbujesz? - Otworzył wieczko i podsunął Józefowi pudełko pod nos.

Józef zaciekawiony zajrzał do środka.

- Kubańskie? - zapytał na widok cygar.

- Muszę się przyzwyczajać. - Józefowi wydało się, że w głosie Wolińskiego zadźwięczała ironia. - Miałem jeszcze do wyboru Sudan, Irak i Mongolię. Na Kubie przynajmniej rosną pomarańcze.

Józef wziął do ręki cygaro, a Woliński przyciął mu specjalnym nożykiem końcówkę i podał ogień. To samo zrobił ze swoim cygarem. Rozsiadł się wygodnie w fotelu naprzeciwko Józefa, wciągnął trochę dymu i po chwili wypuścił z ust zgrabne kółko.

- No, teraz wyglądasz jak prawdziwy ambasador. - Józef uśmiechnął się, wydmuchując dym wąską stróżką. - Na pewno będziesz godnie reprezentować nasz kraj.

- Daruj sobie - Woliński uciał wążek patriotyczny, bo nuta drwiny w głosie Józefa trochę go zirytowała. - Dzięki tobie mam płatne wakacje na koszt państwa. Naprawdę jestem ci wdzięczny.

- Cieszę się, że jednak nie traktujesz tego wyjazdu jak zesłania.

- Skończ już z tym. - Woliński zniecierpliwiony machnął ręką. - Ty się dziwisz, że mam dość kraju, w którym wymienia się rząd na dwa miesiące przed wyborami?

Józef swoim zwyczajem nie skomentował. Woliński pociągnął trochę dymu z cygara i wypuścił kolejne kółko.

- A co tam u Małgorzaty? Co ona teraz robi?

- Pracuje w Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka.

- Nieźle, były prokurator w roli obrońcy uciśnionych. - Woliński zachichotał. - I co, wreszcie zadowolona?

- Z tego, co wiem, nie narzeka. - Józef nie zamierzał wprowadzać byłego szefa Małgorzaty w kulisy jej nowego życia. Pociągnął głęboki łyk koniaku i zaczął bawić się kieliszkiem, przechylając go w różne strony i obserwując z uwagą, jak złotobrazowy płyn pełza powoli po szklanych ściankach.

- Powiedz mi jeszcze - Woliński taktownie zmienił temat - dlaczego twoje znajomości są lepsze od moich?

- Moje są po prostu... bardzo dobre.

- Nie mów! Pierwszy? Józef wzruszył ramionami.

- Pamiętasz, mówiłem ci, że zaraz po moim powrocie odezwała się do mnie policja?

Ledwo zdążył powiedzieć ostatnie słowo, gdy za kanapą rozległ się głośny chrobot. Po chwili wyłonił się stamtąd czarny kot, który stanął przed Józefem, przęcając grzbiet w promieniach zachodzącego słońca.

- O, Myszkina - ucieszył się Woliński i uprzedzając rozwój wypadków, gwizdnął, wskazując dłonią miejsce na podłodze. Kot bez protestów ułożył się u stóp swego pana.

- To powiesz mi wreszcie, u kogo mi załatwiłeś tę fuchę?

- No więc właśnie wtedy zadzwonił do mnie mój dawny znajomy - Józef, pamiętając o gwałtownej reakcji kota na hasło policja, na wszelki wypadek postanowił nie używać tego słowa - nie wiedziałem jeszcze, że nie pracuje już w tej instytucji - dokończył trochę zawile.

- Potrzebował jasnowidza? - błysnął dowcipem były minister.

- Nie, chciał tylko zagrać ze mną w szachy.

Woliński popatrzył na Józefa nieufnie.

- Coś kręcisz, ale to bez znaczenia. - Machnął w końcu ręką. - Mam teraz większy problem - rzekł zupełnie poważnie.

- Co znowu? - zmiana nastroju kolegi nieco Józefa zaniepokoiła.

- On. - Woliński wskazał kota. - Nie pozwalają mi go zabrać ze sobą, jakieś zezwolenia, kwarantanny i diabli wiedzą, co jeszcze. Może chciałbyś się nim zaopiekować?

- Ja? - Józef aż się wzdrygnął. - Ja mam alergię - natychmiast się rozgrzeszył.

- Cóż, pewnie pójdzie do schroniska. Szkoda Myszkina, to takie mądre i poczciwe zwierzę. Jak już muszę go oddać, wolałbym w dobre ręce.

- Poczekaj. - W oczach Józefa pojawił się dziwny błysk. - Wiesz, chyba znam kogoś, kto chętnie się nim zajmie.

## **ROZDZIAŁ 66**

Karol wbiegał po schodach, przeskakując od razu po dwa stopnie. Na półpiętrze zatrzymał się na chwilę, żeby złapać oddech, i wtedy go zobaczył.

Na szerokim parapecie, w pierwszych promieniach wiosennego słońca wygrzewał się czarny kot, wpatrując się w Karola z taką bezczelnością, na jaką tylko czarne koty potrafią się zdobyć.

Karol odwrócił wzrok. Nie spiesząc się i nie oglądając za siebie, wszedł po schodach pół piętra wyżej, stanął przed drzwiami Małgorzaty i nacisnął dzwonek. Drzwi otworzyły się już po krótkiej chwili, ale reakcja ukochanej była niezupełnie zgodna z jego oczekiwaniami. Owszem, Małgorzata ucieszyła się wyraźnie, ale zamiast zwykłego powitania z jej ust wydobył się radosny, choć nieco egzaltowany okrzyk.

- Myślałam, że mnie zostawiłeś!

Karol spojrział przez ramię, słusznie nie dowierzając, by słowa te mogły być skierowane do niego, jednak za plecami nie zauważył nikogo.

- Myszkin! Ty brzydalu! - Małgorzata przykucnęła, a adresat tych słów - czarny kot z parapetu, który w tajemniczy sposób zmaterializował się nagle tuż obok Karola, z ochotą wskoczył jej na rękę. Małgorzata pogłaskała kota, delikatnie drapiąc go za uszami, co wywołało całą gamę pełnych zadowolenia pomruków.

- Cześć, Karol - przypomniała sobie o swoim gościu. - Poznaj Myszkin. Co za niesfor-ny kocur!

- Myszkin? Powiedziałaś Myszkin? - upewnił się Karol.

- Wskoczył wczoraj przez okno - ciągnęła Małgorzata. - Myślałam, że już go nigdy nie znajdę.

- Skąd masz tego kota? - zapytał Karol podejrzliwie.

- Józef przyniósł. Jakiś jego znajomy wyjeżdża za granicę i nie może go ze sobą zabrać.

- Tak myślałem. A co na to Wacek?

- Wacek? A właśnie, gdzie jest Wacek? Wacek!

Biała myszka, zwana Wackiem, jak zwykle nie odpowiedziała na wezwanie.

- Pewnie znowu się gdzieś zapodział.

- Nawet chyba wiem gdzie. - Karol wycelował swój palec w kota, gdyż mógłby przysiąc, że Myszkin, słysząc słowo Wacek, prowokacyjnie się oblizał.

- No coś ty - obruszyła się Małgorzata.

Myszkin, wyraźnie zdegustowany podejrzeniami Karola, prychnął pogardliwie, zeskończył z ramion Małgorzaty i dostojnym krokiem udał się w kierunku kuchni.

- No widzisz, wystraszyłeś mi kota.

Karol wzruszył ramionami i rozpiął płaszcz, spod którego wyłoniła się dżinsowa koszula w drobną, wesołą kratkę. Natychmiast rozejrzał się czujnie w poszukiwaniu wzroku Małgo-

rzaty. W kwestii garderoby męskiej ciągle czuł się niepewnie i potrzebował nieustannej aprobaty dla swojego nowego wizerunku.

- Fajna koszula - od razu zauważyła Małgorzata, sprawiając, że Karol natychmiast urósł w swych oczach.

- Co będzie na kolację? - zapytał zadowolony, lecz nie doczekał się odpowiedzi. Małgorzata ruszyła już śladem Myszkina w stronę kuchni. Po chwili dobiegł go stamtąd rozdzierający serce jęk. Niezwłocznie rzucił się na ratunek, ale na pomoc było już za późno.

Na blacie kuchennym, tuż przy kuchence gazowej, wciśnięty między pojemnik na chleb i mikrofalówkę siedział Myszkini, i przytrzymując jedną łapą rączkę patelni, kończył właśnie wylizywanie jej zawartości.

- Chyba o kolacji możemy mówić w czasie przeszłym - zauważył Karol, wybuchając serdecznym śmiechem.

- Bardzo śmieszne - skomentowała Małgorzata ponuro.

- A co miało być na kolację? - próbował dociec Karol, nie przestając się śmiać.

- Haggis - odparła Małgorzata tym samym nieprzyjaznym tonem.

- A co to takiego?

- Już to u mnie kiedyś jadłeś, taka szkocka zapiekanka.

- Ach, to wreszcie się dowiem, z czego to jest. Widzę, że Myszkiniowi bardzo posmakowało?

- Z jagnięcych podrobów.

Z twarzy Karola w ułamku sekundy zniknął uśmiech.

- To znaczy z flaków.

- Nie tylko. Coś nie tak? - zaniepokoiła się Małgorzata.

- Przecież ci smakowało.

Karol popatrzył na kota i już po chwili znowu zaczął się śmiać.

- Kocham cię, Myszkini - zadeklarował z wdzięcznością.

Kot zeskoczył na podłogę, podszedł do Karola i beztrudnie wytarł sobie wąsy o jego spodnie.

- Kocham cię, Myszkini, mimo wszystko - powtórzył Karol.

Kot, słysząc te słowa, przysiadł na podłodze na wprost swego nowego znajomego, głęboko popatrzył mu w oczy i, w dowód przyjaźni, podał Karolowi swą miękką, czarną łapę.



Redakcja Joanna Czarkowska  
Korekta Dorota Wojciechowska, Maria Kaniewska  
Projekt okładki i strony tytułowej Janusz Fajto  
Druk Cieszyńska Drukarnia Wydawnicza  
Copyright © by  
Przedsiębiorstwo Wydawnicze Rzeczpospolita SA, Warszawa 2007  
Copyright © by Izabela Szyłko, Warszawa 2007  
Wydanie I Warszawa 2007  
ISBN 978-83-60192-37-5  
Przedsiębiorstwo Wydawnicze Rzeczpospolita SA  
AL Jerozolimskie 107  
02-011 Warszawa  
[www.pwrsa.pl](http://www.pwrsa.pl) [ksiazki@pwrsa.pl](mailto:ksiazki@pwrsa.pl)  
Infolinia 0-800-777-778